

Paul Christopher

Duch Rembrandta

Przełożyła DOROTA MALINOWSKA

Gabrielowi, amerykańskiemu chłopcu, którego klasyczne gusta były inspiracją do napisania tej powieści, dedykuję ją w podziękowaniu za niezliczone wspiane godziny spędzone razem. Z czułością - dziadek i autor.

Jeśli żeglarskie pieśni i gawędy Żyją dziś - z przygód przeróżnych się splótłszy, Jeśli okręty, wyspy, burz zapędy, Ukryte skarby oraz morscy łotrzy I wszystkie baśnie, klecone trzy po trzy Na stary temat - zabawią mądrzejszą Od starych dziadów młodzież terażniejszą, Jak mnie bawiły, kiedy byłem młodszy, Niech i tak będzie! Może spocznę właśnie I młódź się dawnych swych mistrzów wypiera, Jeśli zachwyków już nie budzą tyle Kingston, Ballantyne o niezłomnej sile Lub morsko-leśne powieści Coopera, Niechaj tak będzie! A jeśli się myślę, Wraz z korsarzami mymi w tej mogile, Gdzie dawno leżą - oni i ich baśnie...

- Robert Louis Stevenson *Wyspa skarbów* przeł. Józef Birkenmajer

1

Fiona Katherine Elizabeth Ryan - w ostatnich latach mieszkanka Nowego Yorku, a wcześniej Columbus w Ohio, tym, którzy ją lubili lub kochali, znana jako Finn - stała w oknie swojego mieszkania nad restauracją przy Crouch End Broadway w Północnym Londynie i przyglądała się Emirowi, sprzedawcy wyrobów tytoniowych, który po drugiej stronie ulicy zwijał roletę i otwierał sklep dla porannych klientów czekających na przystanku autobusowym na ciemnym od deszczu chodniku.

Oczywiście w Anglii chodnik nazywał się inaczej - pawiment, a Broadway nie jest dzielnicą teatrów, ale główną ulicą i to nie miejscowi odróżniali się akcentem, tylko Finn. Westchnęła i dopiła herbatę z dużego kubka - wodę podgrzała grzałką. Herbata smakowała jak palone żołądźcie. Siódma rano, kwiecień i pada deszcz. Oczywiście, że padał. W Londynie, jeśli akurat nie prószył śnieg, z pewnością siąpił deszcz, niezależnie od pory roku.

Jeszcze raz westchnęła. Londyn nie spełnił jej oczekiwań. Po przygodach w Nowym Yorku, eskapadach na Pustynię Libijską i w głąb Karaibów, które przeżyła w minionym roku, gotowa była wziąć się do poważnej pracy w kulturalnym, wyrafinowanym otoczeniu. Praca w roli doradcy klientów w prestiżowym domu aukcyjnym Mason-Godwin oznaczała

przestawanie z inteligentnymi i wykształconymi ludźmi, zaś życie w mieście, które wciąż stanowiło centrum świata sztuki, zapewniało odpowiednie zaplecze kulturalne.

Przykro powiedzieć, ale nic z tego nie wyszło. Stanowisko „doradcy klientów” w Mason-Godwin oznaczało wyglądać świetnie podczas wieczorów aukcyjnych, czyli obowiązkowe wysokie obcasy i krótką czarną, koktajlową suknię, a do jej zadań należało ocenianie z wyprzedzeniem, do jak wysokich sum gotów jest przebijać stawkę potencjalny klient, ile może wypić oraz ile jest w stanie wydać podczas jednej aukcji, zaś w czasie normalnych godzin pracy parzenie kawy i herbaty oraz podawanie ciasteczek oblesnym palantom na wysokich stanowiskach, w tym Upiornemu Ronaldowi, generalnemu dyrektorowi Mason-Godwin.

Jeśli chodzi o wyrafinowanie Finn stwierdziła, że w Londynie więcej jest Starbucks niż w Seattle, więcej KFC niż w Kentucky, oraz że Anglicy mają własną wersję *Amerykańskiego Idola*. A szczytem wszystkiego był fakt, że płaciła więcej za dwupokojowe mieszkanie z wnęką kuchenną i wspólną łazienką na Crouch End niż za swój schludny apartamencik na Manhattanie, nie wspominając już o burgerze z frytkami w „Pick More Daisies”, samozwańczej „kalifornijskiej” restauracji na parterze jej domu, za jedenaście funtów - co oznaczało dwadzieścia pięć dolców, oczywiście wraz z podatkiem i napiwkami. Mówiąc krótko, Londyn to żdzierstwo.

Wzdychając kolejny raz, Finn narzuciła na siebie deszczowiec, złapała leżącą na półce przy drzwiach składaną parasolkę i zbiegła na dół, by dołączyć do kolejki dojeżdżających do pracy autobusem numer 41. Czekala ją długa jazda w stronę odległej Tamizy i centrum.

Nieco ponad dwa tysiące lat wcześniej na skrzyżowaniu dwóch rzymskich dróg, które łączyły się u zachodniego krańca portowego miasta Londinium, zaczęła wyrastać niewielka wioska. Takie były początki Mayfair, którego nazwa pochodzi od wiejskiego rynku i pogańskiego festiwalu, obchodzonego każdej wiosny.

W latach 1720-1740 całą wioskę zawłaszczyła rodzina Grosvenor i hrabia Chesterfield, słynący z aksamitnych kołnierzy przy swoich płaszczach, wynalazca wyściełanej sofy. Około tysiąc osiemsetnego roku Mayfair stała się najmodniejszą dzielnicą Londynu, zabudowaną gęsto majestatycznymi rezydencjami przy eleganckich brukowanych ulicach. U progu nowego tysiąclecia Mayfair dotknęło wiele zmian, z których część spowodowały bomby podczas drugiej wojny światowej. W wyniku nieuchronnego kryzysu na giełdzie kamienice podzielono na mieszkania i apartamenty, następnie wskutek wzrostu gospodarczego mieszkanie frontowe stały się najdroższymi nieruchomościami na świecie,

mieszkania zaś wynajmowali tu wszyscy od Fortnuma i Masonów do Prądy oraz Dolce & Gabbana.

Środkiem całego tego obszaru przebiegała Cork Street, na długości jednej tylko przecznicy pomiędzy Clifford Street i Burlington Gardens, o rzut kamieniem od Piccadilly, zakończona wyjściem z Burlington Arcade, gdzie James Bond kupował pióra marki Mont Blanc, a tuż za rogiem ręcznie zwijane papierosy Morland.

Przy Cork Street mieszczą się dwadzieścia trzy galerie sztuki, w których można kupić wszystko od starych mistrzów holenderskich po drobne bazgroły Basquiata i delikatne esy-floresy Keitha Haringa. Obiekty sztuki, autorstwa każdego znacniejszego artysty, żyjącego lub nie, warte łącznie, w dzisiejszych czasach, ponad miliard dolarów, sprzedawane są po cenie zależnej w dużej mierze od łatwości kupca i wszystko to na odcinku jakichś stu siedemdziesięciu metrów. A w samym środku, pod numerami od 26 do 28 mieści się firma Mason-Godwin, dom aukcyjny Sztuki przez wielkie „S”, założona w 1710 roku - trzydzieści dwa lata przed tym, jak Sotheby's dokonał pierwszej sprzedaży używanych książek, które poszły za niecałe trzysta funtów - fakt ten, zdaniem zarządu Mason-Godwin, miał wywoływać u każdego zainteresowanego odruch szacunku.

Lokal początkowo należał do firmy dekoratorów i stolarzy specjalizujących się w wyrobie mebli dla utytułowanych klientów. Firma koniec końców zbankrutowała w związku z niefortunnym zwyczajem tychże klientów, by nie płacić na czas, jeśli w ogóle, swoich rachunków. Pracownie i warsztaty zamieniono na mieszkania i apartamenty dla osób zamożnych, następnie na biura dla już mniej bogatych, a wreszcie, na dziesięć lat przed wybuchem II wojny światowej, wykupiła je para ukrywających swoją orientację gejów. Otworzyli tam fabrykę czekolady wraz z salonem sprzedaży i specjalizowali się w niezwykle popularnych deserowo-miętowych mieszankach znanych pod nazwą Minto-Bits Turnera & Townsenda.

Fabryczka prosperowała aż do wybuchu wojny, która kompletnie zniszczyła czekoladowy biznes. Cukier był racjonowany, a ludzie między trzydziestym dziewiątym a czterdziestym piątym mieli ważniejsze sprawy na głowie niż wytwarzanie, a potem zjedanie Minto-Bist czy równie popularnych Hinto-Minto. A Mason-Godwin zarówno przed wojną, podczas, jak i po niej radził sobie wyjątkowo dobrze, kupując i sprzedając z równą gorliwością zarówno od okupantów, jak i od okupowanych, głównie przez szwajcarskich pośredników. W 1946 Mason-Godwin, z nadmiarem gotówki i towarów w magazynach, szukając kolejnych lokali, rzucił się na pomieszczenia przy Cork Street, która była dopiero na początku swej drogi do sławy. Reszta jest historią. Wszystkie te informacje, z wyłączeniem

upodobań seksualnych Turnera i Townsenda oraz działań w Szwajcarii podczas wojny i tuż po niej, zostały umieszczone w broszurze informacyjnej, którą wręczono Finn, kiedy podjęła pracę w firmie.

Mason-Godwin, gdzie nie pracował żaden Mason ani Godwin od ponad stu lat, nie był tak wielki jak Sotheby's ani, Boże uchojaj, ten parweniusz, Christie's, ale przynajmniej jego morale było nieskażone. Na aukcjach wystawiano jedynie sztukę, nie tak jak w Sotheby's, w którym sprzedawano wszystko od nieruchomości po stare zegarki na rękę lub jak w Christie's, też wyspecjalizowanym w sprzedaży dzieł sztuki, który zniżył się ostatnio do sprzedawania rekwizytów ze starych programów telewizyjnych, w tym kompletnego, przepoconego munduru kapitana Jean-Luc Picarda z pierwszego sezonu *Star Trek - następne pokolenie*. Upiorny Ronald mawiał, że hasło *arsgratia artis* - sztuka dla sztuki - stanowiło motto Mason-Godwin na sto lat przed powstaniem MGM.

Na parterze starego budynku z georgiańskim frontonem mieściła się niewielka elegancka recepcja umeblowana antykami i obrazami dziewiętnastowiecznych malarzy z Akademii Królewskiej - robiącymi wrażenie acz mało znaczącymi. Chodziło o to, by potencjalny nabywca lub sprzedawca od razu wiedział, iż Mason-Godwin nie wypadł sroce spod ogona i traktuje sprawę sprzedawania obrazów klienta z najwyższą uwagą. Dalej znajdowała się duża galeria dla kupujących, którzy mogli obejrzyć obrazy przed aukcją; białe ściany, profesjonalne oświetlenie i strażnicy w nieskazitelnych mundurach - wszystko to pokazywało skalę zabezpieczeń w Mason-Godwin. Na tyłach budynku mieściła się przepastna sala, niegdyś hala fabryczna Turner & Townsend i Finn mogłaby przysiąc, że nadal czuje się tam lekki zapach Minto-Bits. To w tym miejscu odbywały się aukcje, a urzędnicy-dowcipnisie nazywali je mennicą. Po lewej stronie wisiał rząd telefonów, a po prawej znajdowały się windy bagażowe i pokoje do przechowywania obrazów przed aukcją, pośrodku podium dla licytatorów, z tyłu zaś znajdował się olbrzymi ekran. Poza tym w pomieszczeniu stało trzysta pięćdziesiąt bardzo wygodnych krzeseł dla ludzi, którzy podnosząc karty, z każdą upływającą minutą wieczoru aukcyjnego podnosili jednocześnie stawki, a co za tym idzie, prowizje domu aukcyjnego.

Na pierwszym piętrze mieścił się departament badawczy, gdzie młodzi mężczyźni i kobiety badali pochodzenie licytowanych przedmiotów, oraz małe biura, w których Finn i kilkanaście innych młodych podobnych do niej kobiet troszczyło się o to, by cenni klienci dostali komfortowe apartamenty, jeśli przybywali spoza miasta i żeby wszyscy otrzymali na czas katalogi. Zdarzało się, że doradcy klienta mogli nawet przez chwilę popatrzeć na obiekt sztuki dostarczony do wyceny, ale generalnie ich praca polegała na jak najszybszym

wprowadzeniu, a potem odprowadzeniu klienta do wyjścia lub wysłaniu go do biura ekspertów na drugim piętrze, gdzie wszyscy wydawali się mieć imiona typu Philoda, Felix lub Alistair, czy nawet w jednym przypadku Jemimah, i gdzie wszyscy byli absolwentami St. Edmund Hall w Oksfordzie lub Trinity College w Cambridge. W pomieszczeniach na trzecim, czwartym i piątym piętrze odbywały się bardziej prozaiczne czynności, takie jak oczyszczanie, rekonstrukcja, oprawa i magazynowanie przyjętych do sprzedaży obrazów.

Finn szybko zorientowała się, iż zatrudniono ją jako doradcę klienta, by zajmowała się potencjalnymi klientami ze Stanów, którzy niekiedy nie czuli się w Londynie komfortowo. Jej swojskie, środkowozachodnie przeciąganie samogłosek miało działanie terapeutyczne. Posiadała jeszcze jedną cechę, zdecydowanie podnoszącą jej wartość. Była niewiarygodnie piękna. Ciało modelki, szmaragdowe oczy i długie rude włosy wydawały się znacznie ważniejsze niż wykształcenie uniwersyteckie.

To, że miała licencjat z antropologii i magisterium z historii na nowojorskim uniwersytecie, nie mówiąc już o rocznej praktyce we Florencji, wydawało się nie mieć większego znaczenia. Była trybikiem w dobrze naoliwionej maszynie, zabierającej z grubszą dwadzieścia procent wylicytowanej ceny od sprzedawcy oraz podobną kwotę od nowego właściciela.

Na przykład obraz Jeana Dubuffeta, ponad pół metra na metr, olej i emalia na płótnie, sprzedany za 111 000 dolarów amerykańskich, w rzeczywistości kosztował nabywcę 140 000, ponieważ M-G dodało z góry swoją prowizję, z kolei sprzedawca musiał oddać 28 000, ponieważ prowizja sprzedaży została policzona od pełnej sumy. W rezultacie Mason-Godwin zarobił na tej transakcji, która tak naprawdę polegała na przedstawieniu sobie sprzedającego z kupującym, 56 000, czyli połowę ceny dzieła. Nie wspominając już o wpływach z katalogu, który traktowano jako wydawnictwo całkowicie komercyjne, mimo że było to sprzedawanie komuś jego własnej listy zakupów, w dodatku obciążone przekazywaniem części egzemplarzy „specjalnym klientom”, przy czym pod określeniem „specjalny” krył się każdy, kto o to poprosił i był gotów zdrowo przepłacić za sam fakt otrzymania katalogu dwa tygodnie wcześniej niż inni.

No i oczywiście jest jeszcze ów najsubtelniejszy czynnik, który równoważy wszystkie elementy całego procesu, czyli zręczny trik licytatora polegający na przekonaniu sprzedawcy, że wystawiony obiekt stał się już dla niego bezwartościowy, a kupującego, że musi go mieć, i to za każdą cenę. Im wyższą, tym lepiej.

Jeśli obie strony odniosą wrażenie, że ich potrzeby zostały zaspokojone, jest też wielce prawdopodobne, że zamienią się rolami i kupujący stanie się sprzedającym, a

sprzedający kupującym, tworząc korowód biegnący przez całe życie lub nawet dłużej. I tak jeden przedmiot sztuki może wędrować od klienta do klienta, za każdym razem pozostawiając prowizję w rękach właścicieli M-G.

Upiorny Ronald chełpił się, że podczas swojej kariery w Mason-Godwin udało mu się przepchnąć pewien wschód słońca Turnera przez aukcje jedenaście razy, dzięki czemu zarobił dla firmy ponad milion funtów. Jednym słowem wszystko to było szachrajstwem. Podczas minionego roku Finn odkryła, że na rynku sztuki malarz i jego dzieło traktowani są wyłącznie jako towar, niczym pomarańcze czy buraki cukrowe, i że rynek sztuki, podobnie jak rynek giełdowy, jest wynalazkiem, w którym tyle da się znaleźć uczciwości, co smrodu w huraganie, jak zwykł mawiać jej ojciec. Czy jakoś tak.

Finn wsiadła do brzydkiego jaskrawoczerwonego piętrowego autobusu, dojechała do stacji Euston, gdzie przesiadła się do metra. Linia Victoria dotarła do Green Park. Kiedy wyszła na powierzchnię, okazało się, że ciągle pada. Pomaszerowała do Albemarle Street, tam kupiła największy z dostępnych kubek kawy i jagodziankę w lanczowni Pret-a-Manger. Niosąc śniadanie, dotarła wąskimi krętymi uliczkami do dyskretnie osłoniętego wejścia Mason-Godwin, starannie otrząsnęła parasolkę i złożyła ją, po czym weszła przez mosiężne, oszklone drzwi do środka. Orientalny dywan w barwach krwistej czerwieni i czerni zakrywał politurowaną drewnianą podłogę pomieszczenia recepcyjnego o ścianach wyłożonych dębową boazerią.

Była ósma rano i po spędzeniu godziny w przegrzanych środkach londyńskiego transportu miejskiego, pełnych równie przegrzanych pasażerów, Finn Ryan nie była w najlepszym humorze. Jej nastroju nie polepszył bynajmniej widok Upiornego Ronalda stojącego przy ozdobnym sekretarzyku w stylu Ludwika XV, który pełnił rolę recepcji, gawędzącego z Doris, pospolitym babskiem działającym jako pierwsza linia obrony przed każdym, kto wkraczał w święte progi Mason-Godwin.

Upiorny Ronald w rzeczywistości nazywał się Ronald Adrian DePanay-Cottrell, przez znajomych nazywany był Ronnie, a niekiedy, za plecami, Lady Ron. Zgodnie z tym, co sam mówił, Ronnie był skoligacony z królową, ale nigdy nie potrafił wyjaśnić, w jakim stopniu. Mówił z silnym oksfordzkim akcentem, miał stopień naukowy z czegoś, o czym nigdy nie wspominał, przerzedzone czarne włosy, wilgotne usta i inteligentne ciemne oczy, które wydawały się być w nieustannym ruchu. Długie, nieco niezgrabne ciało mogłoby pasować do zespołu Monty Pythona, gdyby wygląd Johna Cleese'a nie został zatarty kosztowną walizeczką z cielecej skóry Crockett & Jones w stylu „niegrzeczny student Oksfordu” oraz jeszcze droższym garniturem w prążki od Anderson & Sheppard, oraz klubowym,

granatowym, w maleńkie złote korony krawatem z delikatnego jedwabiu kupionym w Dege & Skinner, mającym przypominać związki z rodem królewskim, do czego - Finn była całkowicie pewna - nie miał najmniejszych podstaw.

Ronnie i Doris podnieśli wzrok na wchodzącą Finn, spoglądając na nią z lekką dezaprobatą, jakby popełniła właśnie gafę, mieszając się do poufnej i ważnej rozmowy. Finn poczuła się natychmiast skrępowana, o co im oczywiście chodziło, więc zakłopotanie zmieniło się w urazę. Cała ta atmosfera snobizmu i tysiącletniej tradycji arogancji brytyjskiej arystokracji zaczynała ją lekko nużyć.

- Ach, panna Ryan - wycedził Ronnie. - Jak widzę, zjawiała się pani w pracy.

A przecież nie była spóźniona; do granicy ustalonej ruchomej godziny przyjscia brakowało jeszcze prawie pół godziny.

- Ach, pan DePanay-Cottrell - odpowiedziała równie oschłym tonem, odrobinę podkreślając słowo „pan”, wiedząc, jak bardzo pragnie, by zastąpiło je coś w rodzaju „jaśnie oświecony”, ewentualnie „baron” czy „jego lordowska mość” lub ostatecznie „sir”, wskazujące na tytuł szlachecki. Po moim trupie, pomyślała Finn.

- Człowiek powinien jeść śniadanie w domu, panno Ryan, a nie kruszyć na biurku w miejscu pracy.

Finn zastanawiała się, jak często Ronnie może używać słowa „człowiek”. Naprawdę potrafił ją wyprowadzić z równowagi.

- Nie wtedy, gdy człowiek musi brać poprawkę na londyński transport, przez który człowiek traci niepotrzebnie godzinę - odpowiedziała.

- Mieszka pani w Tooting? Czy może w Stepney?

- Na Crouch End.

- Ach tak? Crouch End? Oczywiście Ronnie mieszkał w domu przy Cheyne Walk, który niegdyś zajmował amerykański malarz James McNeill Whistler i jego słynna matka.

- Ach tak - odparła Finn i obdarzywszy Ronnie'ego najbardziej nieszczerym uśmiechem, odwróciła się. Jak na jeden poranek miała go już szczerze dosyć. Prawdopodobnie skwasił śmietankę w stygnącej kawie.

- Bardzo proszę uważać na okruszki, panno Ryan! - krzyknął Ronnie, kiedy zaczęła się wdrapywać po schodach na piętro.

- Nie rozsypię ani odrobiny! - odkrzyknęła, nie odwracając się nawet. - Pacan - mruknęła pod nosem. Doszła do podestu i ruszyła korytarzem w stronę swojego biura.

Biuro Finn było jednym z wielu boksów na tyłach płataniny pomieszczeń i korytarzy pierwszego piętra Mason-Godwin. Finn nie mogła się przyzwyczaić, że nazywano je pierwszym piętrzem, ponieważ dla niej było to piętro drugie, ale tu pierwsze piętro zwano parterem, co miało pewien sens, ale również było nieco irytujące. Mieszkanie w Anglii wydawało się niekiedy mieszkaniem na stronach *Alicji w Krainie Czarów*, co także było dość logiczne - myślała sobie - ponieważ autor tej książki tak naprawdę wcale nie nazywał się Lewis Carroll, a co więcej - wcale nie był pisarzem, tylko pastorem anglikańskim i profesorem matematyki w Oksfordzie.

Anglia była miejscem, które mąciło jej w głowie, pełnym dziwnych ludzi. Zdaniem matki Finn, która zmarła zaledwie rok wcześniej, Anglia, podobnie jak cała reszta Europy, cierpiała od nadmiaru historii. Ujęła to w ten sposób: „Przez to są nieco ekscentryczni, jakby cywilizacja zmuszała ich, by wszystko komplikowali, począwszy od ludzi, a skończywszy na pornografii”. Wiedza Finn, jeśli chodzi o pornografię, nie wykraczała poza leżące w każdej budce telefonicznej ulotki zachwalających rozliczne specjalizacje prostytutek, ale jeśli chodzi o ekscentryków, w pełni zgadzała się z matką. Weszła do swojego boksu, zjadła bułkę, popijając kawą, i zagłębiła się w pracy, próbując zapomnieć o Ronniem i wszystkim, co się z nim wiąże.

Tego dnia Finn wertowała stare katalogi sprzedaży, by odkryć zmiany w zainteresowaniach stałych klientów, których mogli się spodziewać na kolejnej aukcji pod koniec miesiąca. Kwietniowa sprzedaż nie była zadawalająca; zamiast koncentrować się na jakimś prostym temacie, jak na przykład: „Brytyjscy malarze współcześni okresu międzywojennego 1918-1939”, aukcja przypominała raczej wiosenne porządki, podczas których zagląda się do wszystkich kątów. Sprzedano kilka płócien szkoły z Delft, które spoczywały w magazynach od lat pięćdziesiątych, oraz małego Cezanne’a, którego Ronnie trzymał w ukryciu, czekając, aż jego cena wzrośnie.

Magazyn, brzydkie słowo w przemyśle aukcyjnym, ale jakże ważne. Niewiele osób wie, jak bardzo jest to spekulacyjny rynek. Wszystkie wielkie domy aukcyjne stosują od setek lat tę samą metodę - skupują obrazy i inne przedmioty sztuki dla siebie, nie dla klientów, a wyprzedają wtedy, gdy potrzebują gotówki albo gdy ceny odpowiednio wzrosną, zgarniając pełną wartość, a nie tylko prowizję.

Ten kwiecień nie był wyjątkiem, ponad połowa przedmiotów wystawionych na aukcję pochodziła z magazynów na górnych piętrach. Złośliwa plotka mówiła, że Ronnie w ostatnim roku poświęcił zbyt wiele czasu na zdobywanie przedmiotów niejasnego pochodzenia lub nawet wątpliwej autentyczności. Finn wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Lady Ron

ostatnimi czasy zakupił piętnastowieczne popiersie Pieroa de'Medici, jakoby wykonane przez współczesnego Leonardowi Mino de Fiesole, które okazało się świetnym falsyfikatem sporządzonym przez Giovanniego Bastianini mniej więcej w 1850 roku. Różnica między tymi dwoma rzeźbiarzami była jak różnica między platyną a surówką żelaza. Koszty pomyłki popełnionej przez Ronnie'ego trzeba było jakoś wyrównać. Nie śmiał sprzedać podróbki jako prawdziwego Fiesole, więc prawdopodobnie przypisze mu określenie „szkoła okresu renesansu”, ale i tak strata będzie ogromna.

Do drugiej trzydziści zakończyła przeglądanie w katalogu komputerowym klientów do litery „D” włącznie i zrobiła sobie przerwę na lunch. Ponieważ nie było jej stać na ekskluzywny irlandzki gulasz w „Mulliganie”, poszła do „Europy” na kawałek pizzy, potem wróciła za biurko i zabrała się za „E”. Około czwartej zaczęła żałować, że nie pali, bo wtedy miałaby wymówkę, żeby wyjść na dwór; było już jej wszystko jedno, czy pada, czy nie. Uratowała ją Doris. Jak zwykle poczuła irytację, słysząc w słuchawce jęczący głos recepcjonistki:

- Mam tu nieumówionego klienta. Mówiłam mu, że nie robimy wyceny bez wstępnej rezerwacji, ale twierdzi, że to Jan Steen. Pomyślałam, że wyślę go do pani. Pozna go pani po jednej z tych śmiesznych koszulek z napisem HARVARD na piersiach. Fioletowa. Ma też sportowe buty, dość zniszczone.

Innymi słowy, nie był to typ osoby, która powinna trzymać pod pachą holenderskiego mistrza z XVII wieku. W głosie Doris brzmiało lekceważenie. Kłopotliwy gość, więc podrzuciła go Finn.

- Czy to Amerykanin?

- Nie. Anglik. Bardzo uparty. Chciał widzieć pana DePanay-Cottrell, ale poinformowałam go, że to pani go przyjmie, panno Ryan. Proszę sobie z nim poradzić. - Doris odwiesiła słuchawkę, nie dając jej szans na odpowiedź. Fakt, że na koszulce był napis HARVARD, spowodował, że padło na nią. Szybko sprawdziła w bazie komputerowej, czy pojawi się tam nazwisko Steena. Pojawiło się. Niewielki obraz przedstawiający wieśniaków tańczących wokół umajonego kwiatami słupa sprzedano za niewiele poniżej miliona funtów. Sporo ponad milion dolarów. Jan Steen zawsze był renomowanym artystą, nawet za życia.

Dwie minuty później zapowiadana postać stanęła w drzwiach jej pokoju. Wszystko zgadzało się z opisem Doris: fioletowa koszulka Harvardu, znoszone buty Nike i niechlujnie wyglądająca paczka pod pachą zawinięta w pakowy papier, przewiązana czymś, co ludzie ze środkowego zachodu, jak ona, zwykli nazywać powrozem, a czego używano raczej do związywania snopków słomy. Poza podkoszulką i butami miał na sobie wytarte na kolanach,

a gdzieś poplamione dzinsy. Zdecydowanie nie była to osoba, u której pod pachą można by się spodziewać Jana Steena czy jakiegokolwiek arcydzieła.

Doris nie wspomniała tylko o jednym: mężczyzna był irytująco przystojny. Miał szczupłą, opaloną twarz pod strzechą jasnych niczym słońce włosów i ciało pływaka olimpijskiego. Był potężnie zbudowany, a jego błękitne oczy spoglądały pogodnie zza druczianych okularów w stylu Harry'ego Pottera. Nieco starszy od niej, musiał mieć jakieś trzydzieści parę lat. I na mężczyźnie, i na paczce, którą niósł, widać było ślady deszczu. Nie miał parasola. Finn uśmiechnęła się. Nie bardzo wiedziała, co może innego zrobić.

- Czym mogę służyć?

- Mam tutaj obraz - powiedział, wyciągając paczkę spod ramienia. Akcent miał zdecydowanie oksfordzki, nic podrabianego w wersji Lady Ron. Paczka była prostokątna, jakieś trzydzieści na czterdzieści centymetrów, w sam raz jak na Jana Steena. Mężczyzna położył ją ostrożnie na biurku.

- Niech pan siądzie. - Finn wskazała jedyne krzesło w pokoiku. - A tak przy okazji, nazywam się Finn Ryan. - I znowu się uśmiechnęła.

- William Pilgrim - zrewanżował się. - Pani jest Amerykanką?

- Z Columbus w Ohio.

- *Goodbye, Columbus.*

- Philip Roth.

- Jego pierwsza książka.

- Ali McGraw i Richard Benjamin w hollywoodzkiej wersji „My Mom made me watch it on TV once”.

- No cóż - uśmiechnął się Billy Pilgrim - myślę, że wyczerpaliśmy ten wątek.

- Proszę pokazać obraz - odezwała się Finn.

- Obraz, oczywiście. - Zachęcił ją skinieniem głowy, by rozwinęła paczkę.

Olej na płótnie, bez ram, płótno przymocowane do blejtramu za pomocą zardzewiałych żelaznych półksiężyców. Na obrazie widniała typowa pogodna scenka rodzajowa, kilku piwoszy na ławie pod drzewem. Właśnie takie obrazy przyniosły mu sławę. Na dole widniały inicjały JHS, Jan Havickszoon Steen.

- Bardzo ładne - powiedziała Finn. - Ładne, ale nieautentyczne.

- Ładne, tyle że nie malował tego Jan Steen - Pilgrim podtrzymał jej ton.

- Nie sądzę, żeby o niego chodziło - potwierdziła Finn.

- Dlaczego? Obraz jest u nas w rodzinie od zawsze. Mamy holenderskich przodków.

Wszyscy zawsze mówili, że to Jan Steen.

- Tej wielkości obraz Jan Steen namalowałby na dębowej desce - wyjaśniła Finn. - A jeśli już na płótnie, zostałyby ono przybite gwoździami do blejtramu, a nie przymocowane w ten sposób. Ponadto po trzech wiekach płótno potrzebowałoby ponownego naciągania i dodatkowego wzmocnienia.

- Naprawdę?

- Podpis też nie jest dobry. Sygnował swoje obrazy jako J. Steen, nie używał inicjałów. Przede wszystkim nienawidził imienia Havickszoon. Ale to koniec złych wieści - dodała.

- Tak?

- Jeśli ma pan szczęście, może się okazać, że to Keating.

- Keating?

- Tom Keating. Znakomity brytyjski fałszerz, który malował po drugiej wojnie światowej. Specjalizował się w mistrzach holenderskich. Jego obrazy warte są same z siebie mnóstwo pieniędzy.

- Ale nie tyle, ile bym dostał za Jana Steena.

- Zdecydowanie nie tyle - odparła Finn.

- Całkiem sporo pani wie na ten temat - stwierdził Pilgrim. W jego głosie nie było kąśliwości, jedynie bardzo duża ciekawość.

Finn wzruszyła ramionami.

- Skończyłam dwie specjalizacje, robiąc licencjat ze sztuk pięknych. Złoty wiek holenderski i malarze renesansu. A mój profesor doktoryzował się z Jana Steena.

- Balon przekłuty, można powiedzieć. - Pilgrim uśmiechnął się.

- Można tak powiedzieć - zawtórowała mu Finn. Jak to dobrze, że nie przejął się zbyt porażką. - Dam panu telefon do Courtauld Institute, tam można zadzwonić w sprawie Toma Keatinga, jeśli miałby pan ochotę. Na pewno się temu przyjrzą.

Pilgrim przez chwilę się zastanawiał, ale potrząsnął głową.

- Nie, panno Ryan. Lubię ten obraz, a skoro nie jest wiele wart, zatrzymam go i powieszę w salonie.

- Salonie? - powtórzyła ze zdziwieniem Finn. Nie wyglądała na fryzjera, ale może miał na myśli coś innego. Ostatecznie w Anglii wszystko miało inne znaczenie niż w Ameryce. I rzeczywiście.

- Mieszkam na łodzi - oświadczył blondyn. - Nazwałem ją *Busted Flush*.

- Zabawna nazwa - powiedziała Finn obwiązując paczkę sznurkiem. - Jakież kłopoty z toaletą?

Teraz roześmiał się Billy Pilgrim.

- To termin pokerowy.

- Tak jak królewski poker. - Finn kiwnęła ze zrozumieniem głową.

- Pęknięty poker jest wtedy, jeśli nie uda się skompletować całości: dziesiątka, walet, królowa, król, ale bez asa. W moim przypadku to także termin literacki. Tak się nazywała łódź Trávisa McGee w książkach Johna D. MacDonalda. Pisałem z niego dysertację.

- Ma pan na myśli pracę doktorską?

- Zgadza się - Pilgrim poczerwieniał z zakłopotania.

- Wie pani, byłem czymś w rodzaju cudownego dziecka. Praca licencjacka z literatury francuskiej, magisterska z hiszpańskiej, a doktorat z amerykańskiej. - Wydał z siebie krótkie parsknięcie. - Gdyby się dobrze zastanović, nie na wiele mi się to zdało. Przez chwilę rozważałem, czy nie zostać nauczycielem, ale jednak uznałem, że lepiej nie, wolę się włóczyć na mojej łodzi, no i tak wylądowałem tutaj.

Finn uświadomiła sobie, że ich rozmowa już nie dotyczy sprawy, z którą mężczyzna się tu zjawił, ale i tak miała ochotę dalej z nim gawędzić.

- Kim jest Travis McGee?

- Dobry Boże! - wykrzyknął Billy. - I pani jest Amerykanką? To tak, jakby nigdy pani nie słyszała o Johnie Wayne'ie.

- Zamilkł na chwilę. - Naprawdę pani nie wie?

- Nie mam pojęcia.

- A widziała pani film *Przylądek strachu*?

- Jasne. Z Robertem De Niro i Nickiem Nolte. Świetny thriller.

- Przede wszystkim chodzi mi o wersję z Gregorym Peckiem i Robertem Mitchumem, ale to już inna historia. - Pilgrim zmarszczył brwi. - Człowiek, który napisał książkę, na podstawie której zrealizowano ten film, to właśnie John D. MacDonald, twórca dwudziestu jeden powieści, których bohaterem był Travis McGee, a w każdym tytule znalazł się jakiś kolor: *Ciemniejsze niż bursztyn*, *Cynamonowa skóra*, *Puste miedziane morze*.

- I McGee mieszkał na łodzi *Pęknięty Poker*.

- Tak naprawdę na barce mieszkalnej. Slip F18, Bahia Del Mar, Fort Lauderdale. - I pan też ma barkę?

- Nie, ja mam Hout Bay 40 z ozagłowaniem Marconiego. Jeden z projektantów z Południowej Afryki, zanim Dix przeniósł się do Wirginii.

Finn nie miała pojęcia, o czym Pilgrim mówi, ale słuchanie sprawiało jej przyjemność.

- Czy ten Travis McGee, o którym rozmawiamy, jest bohaterem książkowym?

- Owszem.

- Mówi pan o nim tak, jakby znał go osobiście.

- Były piłkarz, po kontuzji kolana zajął się ratowaniem ukradzionych rzeczy i dam w niebezpieczeństwie. Połączenie Robin Hooda i Mike'a Hammera. Archetyp ukochanych amerykańskich łotrzyków. Mężczyzna, jakim w głębi serca chciałby być każdy pełnokrwisty Amerykanin. Ideał *Playboya*.

- I którego każda pełnokrwista Amerykanka miałaby za dupka - roześmiała się Finn.

- Możliwe. - Pilgrim westchnął. - Ale był człowiekiem swoich czasów. Waszym Danielem Boone i Davym Crockettem, Johnem Wayne'em, Huckiem Finnem i Tomkiem Sawyerem w jednej osobie. Ostatni wielki amerykański awanturnik, pierwszy wielki amerykański antybohater. - Pilgrim poczerwieniał znowu. - Chyba się mądrzę - stwierdził.

- Może jednak powinien pan zostać nauczycielem - odparła Finn.

- Dobry Boże, co za koszmarny pomysł! - wykrzyknął Pilgrim. - Te wszystkie dzieciaki, którym trzeba wycierać nosy, z gameboyami w tornistrach, zwariowałbym. - Nagle zamilkł. - Chyba zająłem pani dużo czasu. Strasznie przepraszam.

- Cała przyjemność po mojej stronie, uczciwie mówiąc, był to najmiłszy moment dnia.

- Podniosła się, podając mu zawinięty w papier obraz. Uścisnęli sobie ręce. Jego dłoń była mocna i ciepła, wyczuła odciski. Ręce, które wiedzą, czym jest praca. I to się jej spodobało. W ogóle spodobał jej się Billy Pilgrim. Zastanawiała się, czy zaproszenie na drinka nie wystraszy go, nigdy nie była zbyt dobra w takich sprawach.

- Bardzo dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu, panno Ryan, to było bardzo uprzejme.

Wyglądał na strasznie speszonego.

- Nic takiego, naprawdę. A poza tym jestem Finn. Panna Ryan brzmi jak nauczycielka w przedszkolu.

- Mogłabyś uczyć maluchy o *myrheerze* Janie Steenie - stwierdził Billy.

- I wycierać im nosy.

- Na Boga! - skrzywił się odpowiednio efektownie, a potem uśmiech rozjaśnił mu twarz, w oczach pojawiły się ogniki.

- A teraz w rejs? - szukała tematu, czując się trochę jak idiotka.

- Niezupełnie. Mam w mieście mieszkanie, a jutro jestem umówiony w centrum. Prawnicy i takie tam. Próbuję sprzedać nieruchomość w Kornwalii tuż nad morzem.

Najpierw obraz, teraz dom. Prawdopodobnie się gdzieś wyprowadzał.

- Dom letniskowy? - zapytała.

- Coś w tym rodzaju - przytaknął.
- Wybierasz się na wakacje?
- Pomyślałem, że dobrze by było trochę popływać.
- Uciec przed deszczem.
- Przydałoby się. - Jakiś konkretny cel?
- Nie zastanawiałem się jeszcze.
- A co by zrobił Travis McGee w takich okolicznościach?
- Przygotował sobie martini i przegadał sprawę z Meyerem.
- Kim jest Meyer?
- Jego przyjaciel-filozof, mieszkający o kilka kroków od niego przy Bahia del Mar.

Jego łódź nosi nazwę *John Maynard Keynes*.

- Musiał być ekonomistą.
- Coś w tym rodzaju, nigdy to nie zostało dokładnie wyjaśnione.
- W typie facetów z Wall Street?
- Na emeryturze.

Teraz naprawdę wyczerpali temat.

- Więc... - odezwał się.

- No tak - odpowiedziała. - Bardzo miło było cię poznać. Może spotkamy się gdzieś znowu. - To była próba ostatniej szansy, jeśli nie skorzysta z zachęty, znajomość zakończy się już raz na zawsze.

- Mam nadzieję. - Grzeczny uśmiech, nieco nieśmiały. Odwrócił się i już go nie było. Finn opadła na krzesło. Brytyjski Travis McGee właśnie odjechał w deszczowy zachód słońca. Na domiar złego dziesięć minut później w drzwiach jej biura stanął Ronnie. Wyglądał jak jej kolega kujon z podstawówki Arthur Beandocker podczas jednego ze swych ataków astmy. Twarz nad węzłem kosztownego krawata była czerwona niczym pomidor, oczy wychodziły z orbit, a żyłka na skroni pulsowała.

- Książęca mość był tutaj i nikt mnie nie poinformował - powiedział przyduszonym szeptem.

Finn spojrzała na niego zaskoczona. - Kto?

- Jego lordowska mość, książę oczywiście. Finn wyobraziła sobie nagle Ronnie'ego, który wita w drzwiach Mason-Godwin Johna Wayne'a.

- Nie było tu żadnego księcia.

- Doris przysłała ci mężczyznę, który przedstawił się jako William Pilgrim, zgadza się?

- Był tu Billy. Zgodnie z jego własnymi słowami to tramp, który włóczy się łodzią.

- Billy, jak go pani raczy nazywać - Ronnie'ego przeszedł dreszcz - to lord William Wilmot Pilgrim, baron Neath, hrabia Pendennis, księżę Kernów.

- Przedstawił się jako Bill. Nie wspominał, że jest kimś jeszcze.

- Czego chciał?

- Miał obraz, który chciał wycenić.

- I co mu pani powiedziała?

- Myślał, że to Jan Steen. Ale to był tylko bardzo dobry falsyfikat.

- Nie ma pani kwalifikacji, żeby odróżnić obraz Jana Steena od podróbki, do tego zatrudniamy specjalistów.

- Płótno było przypięte zszywkami, panie Ron.

- To o niczym nie świadczy. Mogło zostać przepięte!

- Nie w tym przypadku - odparła Finn chłodno i zacisnęła wargi. - Było na oryginalnym płótnie. Oryginalne płótno Steena miałooby trzysta lat. Niewzmocnione rozpadłoby się lata temu. To był falsyfikat. Nie ma żadnych wątpliwości. Nie zgadzał się również podpis. Mógł to najwyżej namalować Tom Keating, jak miał słabszy dzień.

- I to mu pani powiedziała?

- Oczywiście, czemu miałabym kłamać?

- Mówienie mu czegokolwiek nie należy do pani obowiązków. To ja powinienem być zostać poinformowany o jego przyjściu. Księżę jest potencjalnie bardzo cennym klientem i nie powinien być obsługiwany przez pracownika niższego szczebla.

- Pracownika niższego szczebla? - powtórzyła chłodno Finn.

- Jego lordowska mość wymaga pewnego poziomu, którego, obawiam się, nie jest pani w stanie osiągnąć. - Ronnie pociągnął nosem, a Finn wstrzymywała się z całych sił, by nie kopnąć tego pompatycznego idioty, co z pewnością wyszłoby mu na dobre. Zamiast tego wstała zza biurka, wzruszyła ramionami i sięgnęła po płaszcz przeciwdeszczowy.

- Wracam do domu - oświadczyła. - Do domu, w gorszej dzielnicy, na Crouch End. - Sięgnęła po parasolkę.

- Nigdzie pani nie pójdzie! - Ronnie ruszył na nią jak burza i stanął, zagroziwszy jej drogę. Spojrzał na swój kosztowny, cieniutki Patek-Phillipe lśniący na przegubie niczym wielka złota moneta. - Nie ma jeszcze piątej.

- Idę do domu - powtórzyła Finn. - I jeśli nie zejdziesz mi pan z drogi, zamierzam zrobić dokładnie to, co mój trener samoobrony kazał mi robić takim ludziom jak pan.

Czerwień na twarzy Ronnie'ego pogłębiła się, ale odsunął się.

- Już tu nie pracujesz, moja w tym głowa - wysyczał, kiedy się przeciskała koło niego.

- Sam się wylej - mruknęła zbiegając po schodach. Miała dość Ronalda DePanay-Cottrella, dość Mason-Godwin i dość całego tego cholernego kraju.

To, że umiał dotrzymać słowa, potwierdziła wiadomość nagrana przez Doris na automatycznej sekretarce - oczekiwała już na Finn, kiedy ta dotarła do domu. Została zwolniona w trybie natychmiastowym. Czek z ostatnią wypłatą otrzyma pocztą, a jednocześnie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zostanie powiadomione o jej statusie osoby niezatrudnionej, by wziąć pod uwagę tę informację w związku z wizą. Wszystko bardzo oziębłe i sprawnie. Natomiast w skrzynce pocztowej leżał list z jakiejś londyńskiej kancelarii prawnej. Idealne zakończenie idealnego dnia. Żeby się pocieszyć, zeszła na dół do restauracji, gdzie zaszalała zamawiając potężny kotlet serowy, do tego surówkę z kiszonej kapusty z majonezem, frytki posypane chili i polane gęstym sosem guacamole z awokado. Do diabła z dietą South Beach, do diabła z całą cholerną Anglią.

3

SIR JAMES R. TULKINGHORN, Q.C., KCBE.

Adwokat i Radca prawny

47 Great Russell St., No. 12, London WC1.

Telefon: 020 7347 1000 Adres telegraficzny: Tulkingław

Szanowna Panno Ryan,

Przybycie na spotkanie do mojego biura jutro o godzinie 14.00 może okazać się dla Pani bardzo korzystne. Gdyby zdecydowała się Pani w nim uczestniczyć, uprzejmie proszę wziąć ze sobą dokument ze zdjęciem, najlepiej ważny paszport.

Pozostaję z szacunkiem

James Tulkinghorn

List był podpisany nieczytelnym gryzmołem. Datowany poprzedniego dnia, został doręczony przez posłańca, bez żadnego znaczka ani stempla pocztowego. Napisany najwyraźniej piórem, bo na kremowym liniowanym papierze listowym pozostały ślady kropelek atramentu.

Samo nazwisko, list, a nawet adres miały w sobie coś dickensowskiego. Wiedziała to dobrze, ponieważ znajdowała się o trzy domy dalej w „Starbucks”. Biuro Tulkinghorna znajdowało się nad antykwariatem książkowym o nazwie „Jarndyce”, który ze swą małą

zakurzona wystawą i przyćmionym oświetleniem wyglądał równie dickensowsko. Tablica na ścianie informowała, że w domu tym żył kiedyś słynny w czasach wiktoriańskich ilustrator książek dla dzieci Randolph Caldecott.

Włożyła z powrotem list do koperty, a kopertę do torby, obok paszportu. Nie po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, co właściwie tutaj robi. O człowieku nazwiskiem Tulkinghorn nigdy wcześniej nie słyszała i nie przychodziło jej do głowy, jaką szczególną korzyść mogłaby odnieść ze spotkania z nim. Z drugiej jednak strony, kiedy Mason-Godwin zniknęło tak nagle z jej życia, niewiele zatrzymywało ją w starej dobrej Anglii.

Co zdumiewające, deszcz przeniósł się do jakiejś innej pechowej części tego kraju, przynajmniej na jakiś czas. Było słonecznie i ciepło, zdecydowała się więc przysiąść przy jednym z wystawionych na ulicy stolików kawiarnianych. Piła americano pogryzając ciasteczko. Na końcu Great Russell Street, kawałek dalej za tłumem zgromadzonym przed British Museum, stało coś, co wyglądało jak ogromna, przeniesiona na sam środek Londynu grecka świątynia.

Na zewnątrz parkanu z kutego żelaza ogromne niemieckie autokary z przyciemnianymi szybami lśniły niczym potężne żuki, turyści wysypywali się z nich jak czerwie, trajkocząc w podnieceniu i przebiegając przez oświetlony słońcem plac, by zniknąć w chłodnym mroku potężnej kolumnady, gotowi spędzić kulturalne popołudnie na wpatrywaniu się w słynny kamień z Rosetty, równie słynnego Człowieka z Torfowiska oraz niesławne Marmury Elgina, stanowiące scenografię *Mumii* i jej kontynuacji. Jeśli czuł się tam dobrze Brendan Fraser, dobrze też powinna się poczuć *hausfrau* ze Stuttgartu i jej mąż, *nicht wahr* Finn cichutko parsknęła śmiechem i wypła łyk kawy. Zbyt wiele spędziła czasu pod kontrolą Lady Ron, by nie stać się nieco cyniczną.

- Witaj - odezwał się znajomy głos.

Podniosła wzrok, oceniając oczy przed mocnym wczesnopołudniowym słońcem. Stał przed nią Billy Pilgrim, a właściwie Jaśnie Oświecony Książę czegoś tam i czegoś tam jeszcze. Tym razem nie w koszulce Harvardu lecz w znakomicie skrojonym garniturze, w jasnoniebieskiej płóciennej koszuli i z odpowiednim krawatem. Jego buty lśniły, włosy były wyszczotkowane, a na policzkach i brodzie nie dostrzegła nawet cienia zarostu.

- Jego wysokość po generalnych porządkach - powiedziała Finn.

- A więc wiesz.

- Powiedziano mi to bez ogródek. Prawdę mówiąc, wylano mnie z pracy, bo nie znałam twojego rodowodu. - Nie potrafiła powstrzymać się od goryczy.

- O nie! - Blondyn wyglądał na przerażonego. Opadł na krzesło naprzeciwko niej. - Jeśli chcesz, mogę z nimi porozmawiać, wyjaśnić okoliczności... żeby zrozumieli. - Finn wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Rodowód, o którym wspomniała, miał swoją wagę i on ją znał.

Odrzuciła propozycję wzruszeniem ramion.

- Nie ma mowy. I tak musiało się to stać wcześniej czy później. Nie mogłam już znieść tego miejsca.

- Ale ja naprawdę...

- Wszystko w porządku. - Popatrzyła mu prosto w oczy. Zapadła cisza. Po drugiej stronie ulicy, ktoś krzyczał coś głośno po niemiecku. Bardziej jak kapral w wojsku niż matka przyzywająca dzieci. Wreszcie Finn odezwała się:

- To nie jest przypadkowe spotkanie, prawda?

Pilgrim poczerwieniał. Rumieńce dodawały mu uroku. Przypomniała sobie nazwę jego łodzi. Z takimi reakcjami musiał być naprawdę kiepskim graczem.

- Obawiam się, że nie - odparł Pilgrim. - Wiedziałaś, że tu będę?

- Nie byłem pewien miejsca, ale przypuszczałem, że możesz się pojawić dziś po południu w okolicy Great Russell Street, a przynajmniej miałem nadzieję, że się tu pojawisz.

- Jak na to wpadłeś? - A potem nagle skojarzyła. - Tulkinghorn.

Pilgrim przytaknął.

- Sir James jest adwokatem mojej rodziny. Przynajmniej jednym z nich.

- I jak się okazuje wizyta w domu aukcyjnym też nie była przypadkowa.

- Nie. Zostałaś wymieniona jako beneficjentka testamentu mojego kuzyna. Okoliczności są dość szczególne. Chciałem zobaczyć, kim jesteś.

- Wiedziałaś, że obraz jest podróbką?

- Nie, zawsze mi mówiono, że to Jan Steen. Powinienem być mądrzejszy. Połowa biżuterii mojej matki to też świecidełka - uśmiechnął się nieśmiało. - Obawiam się, że skarbiec naszego księstwa świeci pustkami. Nie tak jak dawnymi czasy, kiedyśmy plądrowali i zwozili łupy do spółki z Ryszardem Lwie Serce, walczyli z Saracenami i w ogóle. - Teraz już śmiał się na całego.

- Musieliście się wtedy nieźle bawić - przyznała Finn. - Więc naprawdę chciałeś go sprzedać, chodzi mi o obraz.

- Miałem taki pomysł - powiedział zdecydowanie. - Łodzi przydałby się remont, łącznie z wymianą kadłuba, nie wspominając już o siedzibie rodu na wybrzeżu, która po prostu się rozpada, nawet Fundacja Narodowa jej nie chce, a podatki trzeba płacić. *Meur ras*

agas godrik dhe'n wiasva ma! - Ostatnie słowa zabrzmiały melodyjnie, rytmicznie i bardzo pięknie. Finn miała natychmiastowe skojarzenie z *Władcą Pierścieni*.

- Co to za język? - spytała zachwycona.

- Język Pendragona i Trebarwith Strand, język Tintagel i króla Arthura.

- Kornwalijski.

- To mowa moja - powiedział książę i wyciągnął w jej stronę ponad stolikiem rękę. -

Czy moje oszustwo zostanie wybaczone?

- Myślę, że tak, Wasza Wysokość.

- Billy, proszę - odpowiedział. - Nikt nie zwraca się do mnie Wasza Wysokość, poza Tulkingshornem i moją stryjeczną babką Elizabeth.

- Twoją stryjeczną babką Elizabeth?

- Królową - doprecyzował Billy.

- Żartujesz!

- Niestety nie. Ku wielkiemu niezadowoleniu wszystkich moich kuzynów nie ma żadnych wątpliwości. Jestem jednym z licznych potomków Victorii i Alberta, wielokrotnie dawano mi do zrozumienia, że nie udaje mi się sprostać tej sytuacji, ja nawet nie gram w polo!

- Okropność. Pomachał palcami.

- Jestem leworęczny. Leworęcznym nie pozwalają grać w polo, zrobili tylko mały wyjątek dla mojego kuzyna Charlesa.

- Księcia?

- Właśnie - uśmiechnął się. - Nie ma też leworęcznych pilotów.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Największa mniejszość świata. Jesteśmy bardzo ciemieni. Poza Billem Gatesem.

On też jest leworęczny.

- Podobnie jak Bill Clinton.

- Zgoda, ale również George Bush senior.

- Michał Anioł - dodała Finn.

- Leonardo Da Vinci - wyliczał dalej Billy Pilgrim.

- Kurt Cobain. - Kto?

- Nieżyjący już muzyk - wyjaśniła Finn.

- Moja stryjeczna babka Elizabeth.

- Nie wiedziałam o tym.

- Królowa Victoria również, a także mój drugi kuzyn, William. W naszej rodzinie to częste.

- Stajemy się dziecinni - głośno roześmiała się Finn. - Wystarczy.

- Zgoda. - Billy zerknął na zegarek w stalowej kopercie, jaki świetnie pasowałby nurkowi. Diametralnie różny od małej cienkiej błyskotki, którą nosił Ronnie. - Dochodzi druga. Sir James już na nas czeka. Wypiłeś kawę?

Finn skinęła głową i wstała. Skierowali się chodnikiem w stronę wąskiego wejścia prowadzącego do biur nad księgarnią pod numerem 47.

- Wspomniałeś o szczególnych okolicznościach, co miałeś na myśli? - zapytała Finn, kiedy wdrapywali się na górę schodami.

- Nie jestem do końca pewny. Tulkinghorn podczas rozmowy telefonicznej stosował uniki.

Dotarli na drugie piętro, po czym przeszli krótkim korytarzem. Do biura Tulkinghorna wchodziło się pierwszymi drzwiami po prawej. Billy otworzył je i zaprosił Finn do środka. Jeżeli list prawnika był jak z Dickensa, to biuro, w którym się znaleźli, zostało przeniesione wprost z epoki króla Edwarda. Składało się z trzech pomieszczeń, sali konferencyjnej po prawej stronie, małej, pełnej książek biblioteki po lewej i właściwego biura, stanowiącego środkową część apartamentu. Nie było osobnego sekretariatu. Pomiędzy dwoma oknami, które wychodziły na Great Russell Street, stało potężne dębowe biurko, którego blat wyłożono ciemnoczerwoną skórą. Ściany po obu stronach okien ozdobiono kolorowymi sztychami przedstawiającymi sceny z polowań na lisa.

Szeroką klepkę znakomicie wyfroterowanej podłogi pokrywał cienki, wytarty dywan, a po prawej znajdował się ceglany kominek z elektrycznym płomieniem w palenisku. Ściany pokrywała boazeria z ciemnych kawałków egzotycznych drzew, takich jak limona, czarny orzechowiec czy brazylijska wiśnia. Staroświeckie krzesło przy biurku tapicerowane było skórą w tym samym ciemnym odcieniu czerwieni marokańskiej jak biurko, na którym widniał kompletny staroświecki zestaw do pisania atramentem z onyksową podstawą i prostym ebonitowym piórem zakończonym jaskrawo złotą stalówką.

Po lewej ręce stała lampa z zielonym kloszem, stojak na fajki i puszka z tytoniem, porcelanowa, z mosiężnym wieczkiem i obrazkiem przedstawiającym postać Hindusa w turbanie. Od strony, z której patrzyła Finn, widniał herb i trzy splecione litery VOC.

Mężczyzna, który siedział na krześle, nosił ciemny garnitur i koszulę z wysokim kołnierzykiem. Wyglądał jak bohater filmu *Merchanta Ivory*'ego, a jego edwardiańska twarz pasowała do mebli: ciemnozielone oczy nad zapadniętymi woreczkami popękanej skóry,

wydłużone policzki, cienkie, bezkrwiste usta i przerzedzone szpakowate włosy, zaczesane do tyłu ponad szerokim pobrużdżonym czołem, które w tej chwili służyło parze okularów osadzonych w bardzo ciężkie, rogowe oprawki jako miejsce odpoczynku.

- Dzień dobry, sir James - powiedział Billy. Mężczyzna uniósł się ze skrzypiącego krzesła i lekko skłonił.

- Jego Wysokość - odparł na powitanie. Wyciągnął dłoń, którą Billy uściskał. Tulkinghorn miał pewnie z siedemdziesiątkę, a jego dłoń była wychudzona i poskręcana artretyzmem. Finn zauważyła, że uścisk Billy'ego był niezwykle delikatny.

- To jest panna Fiona Ryan - przedstawił ją Billy.

- Finn - powiedziała uśmiechając się i równie delikatnie jak on uścisnęła wyciągniętą ku sobie dłoń. Tulkinghorn opadł na siedzenie, a im wskazał skórzane fotele stojące przed biurkiem. Żadnych rozmów o pogodzie. Siwowłosa mężczyzna spojrzał na stos papierów leżących przed nim na biurku, zsunął na nos okulary do czytania i zasznurował surowe cienkie wargi. Finn pomyślała sobie, że ten mężczyzna rzadko się uśmiecha, a nie śmieje się prawdopodobnie nigdy.

- Sprawa, dla której spotkaliśmy się dzisiaj, ma związek z kuzynem od strony twojej matki, Wasza Wysokość, panem Pieterem Boegartem zamieszkałym między innymi... - tu zerknął na biurko i zaszeleścił papierami - pod numerem 9 przy 51 South Street w Mayfair, W1.

- Z tego co pamiętam, ten człowiek zniknął - powiedział Billy.

- Zgadza się - potwierdził Tulkinghorn. - Dokładnie dwanaście miesięcy temu. Wydaje mi się, że gdzieś na Dalekim Wschodzie, w Sarawak czy Brunei. - Tulkinghorn wysunął szufladę biurka i wyjął z niej kolorową fotografię. Wyglądała jak powiększone zdjęcie paszportowe. Przedstawiała mężczyznę w średnim wieku o wąskiej twarzy, przerzedzonych rudawych włosach i z gęstą brodą. Wyglądał jak wiking.

- Poszukiwacz przygód - stwierdził Billy.

- Z pewnością i tak można go nazwać - mruknął prawnik, jasno dając do zrozumienia, że on sam z pewnością użyłby innego określenia. - W każdym razie pan Boegart pozostawił dla mnie instrukcje na wypadek, gdyby nie powrócił do Londynu po upływie roku, chyba że skontaktowałyby się ze mną w celu zmiany poleceń. Instrukcje te mają również zastosowanie w przypadku jego gwałtownej śmierci z przyczyn, których nie dałoby się nazwać naturalnymi. Rok minął w środę.

- W jakim on był... to znaczy jest, wieku? - spytała Finn.

- Pan Boegart ma pięćdziesiąt osiem lat, tyle skończył trzeciego tego miesiąca.

- A jaki to ma związek ze mną?

Starszy pan wyrównał stos papierów przed sobą. Jego usta zacisnęły się jeszcze bardziej, a zmarszczki na czole pogłębiły. Sięgnął do stojaka na fajki, wyciągnął jedną z nich i nabił tytoniem z puszki. Po czym z kieszeni wy dostał zwykłą kuchenną zapalną i zapalił ją, pocierając o żółty od siarki paznokieć kciuka. Wydmuchał aromatyczny dym. Wyciągnął fajkę z ust i zakasłał. Wreszcie odezwał się: - Jak rozumiem, pan Boegart był przez wiele lat kochankiem pani matki. - Odchrząknął ponownie, wyglądając na niesłychanie zażenowanego całą sytuacją. - Pan Boegart uważał, że istnieje prawdopodobieństwo, iż to on w rzeczywistości jest pani ojcem.

- Co?! - wykrzyknęła Finn.

- Dobry Boże - wydusił z siebie Billy.

- Hmm - wymruczał prawnik poprzez ustnik fajki.

- Nic z tego nie rozumiem - oświadczyła Finn, dochodząc trochę do siebie. - Uważam, że to jakieś szaleństwo. Moim ojcem był Lyman Andrew Ryan, profesor archeologii na Uniwersytecie Ohio.

Tulkinghorn przekładał jakieś papiery, mrużąc do siebie, wreszcie wyciągnął coś i pokiwał głową.

- Dobrze, znalazłem - powiedział. - Zgodnie z moimi informacjami pani ojciec był starszym wykładowcą w Magdalene College w Cambridge, będącym jego macierzystą uczelnią.

- Zgadza się. Studiował tam podczas drugiej wojny światowej. Potem w latach sześćdziesiątych prosili go, żeby wrócił do nich z wykładami.

- Dokładnie w 1969 roku - uzupełnił szybko Tulkinghorn. - Spędził w Cambridge dziesięć lat, z przerwami, podczas których wyjeżdżał na wykopaliska. Wrócił na uniwersytet w Ohio w lecie 1979, żeby pokierować wydziałem archeologii.

- Mama chciała, żebym się urodziła w Stanach - potwierdziła Finn.

- W rzeczy samej - mruknął Tulkinghorn. - W każdym razie między 1970 a 1973 Pieter Boegart studiował w Magdalene archeologię. Lyman Ryan był jego opiekunem naukowym i promotorem. Między 1973 a czerwcem 1979 roku był on zarówno asystentem pani ojca, jak i kierownikiem wykopalisk podczas kilku wypraw do Afryki Środkowej.

- Znajomość z moim ojcem nie oznacza jeszcze, że był kochankiem matki.

- Oczywiście - zgodził się Tulkinghorn. Odłożył fajkę na biurko i wysunął środkową szufladę, z której wyjął paczuszkę listów spiętych grubą gumką. Wyglądały na stare. Bładozielone koperty. Ulubiony kolor matki. - Wynika z nich, że Pieter Boegart był

kochankiem pani matki. - Kościstym palcem popchnął listy w stronę Finn. Nie mogła od nich oderwać wzroku.

- Co to jest?

- Listy miłosne. *Billet-doux*, jak zwykli nazywać je Francuzi. Od pani matki do pana Boegarta. Są datowane i, obawiam się, nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

- Czy pan je czytał?

- Pan Boegart zażądał tego, kiedy wyraziłem swoje wątpliwości w sprawie spadku.

- Dlaczego wyrażał pan wątpliwości? - zapytała sucho Finn, wciąż nie odrywając wzroku od leżącej przed nią paczki.

- Panno Ryan, Pieter Boegart jest większościowym udziałowcem jednej z największych linii oceanicznych świata. Ne-therlands-Boegart jest w istocie największą światową spółką specjalizującą się w przesyłaniu drogą morską kontenerów. Chodzi o ogromną fortunę. W takiej sytuacji branie pod uwagę możliwości ojcostwa, a tym bardziej zaakceptowanie go, ma poważne skutki prawne. Pani osoba, jak to się mówi, pokrzyżuje innym szyki.

- Słucham? - nie zrozumiała Finn.

- Jesteś jak kij wsadzony w szprychy - przetłumaczył spokojnie Billy.

- To znaczy, że jestem problemem - bardziej stwierdziła, niż zapytała Finn.

- Właśnie - potwierdził Tulkinghorn, spoglądając ponad szklami okularów na Pilgrima.

- Dlaczego Boegart uważał, że jestem jego dzieckiem?

- Zgadza się czas - wyjaśnił stary człowiek. - Zgodnie z tym, co mówi Boegart, jego związek z pani matką zakończył się w sierpniu 1979, tuż przed tym, zanim opuściła wraz ze swoim mężem Anglię. Pani urodziła się w maju 1980, jakieś dziewięć miesięcy później. Mamy więc prawie całkowitą pewność, że została pani poczęta w tym kraju. Zapewne w Cambridge.

- To jeszcze nie oznacza, że za jego sprawą.

- Z listów wynika, że pani ojciec był niezdolny do aktu poczęcia.

- Co to w ogóle ma znaczyć? - zapytała Finn. - Ze mój ojciec był bezpłodny?

- Nie - odparł Tulkinghorn. Cała sytuacja była dla niego nieznośnie niezręczna. - Z listów wynika, że nie mógł dokonać tego aktu. - Zamilkł i bezwiednie podniósł dłoń, by poprawić węzeł krawata. - Aktu spółkowania. - Słowo zabrzmiało tak archaicznie i wręcz klinicznie, że gdyby cała sprawa nie była po prostu okropna i tak posępnie intymna, Finn pewnie by się roześmiała. Starszy pan mówił dalej: - Wszystko wskazuje też na to, że

milcząco akceptował związek pana Boegarta z pani matką. - Na chwilę zamilkł. - Jak rozumiem, w grę wchodziła znaczna różnica wieku.

- Dwadzieścia lat - odpowiedziała bezbarwnym głosem Finn. W momencie, gdy poznał jej matkę, ojciec skończył właśnie czterdzieści lat, ona zaś miała zaledwie dwadzieścia jeden. Małżeństwo maja z grudniem, nauczyciel i studentka. Minęło dziesięć lat i sytuacja się odwróciła. Ona miała wówczas trzydzieści jeden, a młody student, Boegart, ledwie dwadzieścia.

Finn myślała o tym, wpatrując się w fotografię leżącą przed nią na biurku. Jej ojciec nie był rudy ani piegowaty, ale włosy matki po lecie nabierały głęboko kasztanowej barwy, a drobne piegi zdobiły jej nos. To było możliwe, a nawet prawdopodobne. W tym wszystkim tkwiła jakaś okropna ironia. W kilka minut dowiedziała się więcej na temat rodziców, niż kiedykolwiek chciała wiedzieć. Takich rzeczy żadne dziecko nigdy nie powinno poznawać.

- Dlaczego pan mi to mówi? - zapytała gniewnie.

- Przykro mi - powiedział Tulkinghorn. - Nie chciałem pani ani obrazić, ani rozgniewać. Pani związki krwi nie mają wpływu na zapisy testamentu i pani status beneficjentki. Jakiegokolwiek roszczenia w stosunku do pozostałej części holdingu Boegart, który w większej części pozostaje w zarządzie powierniczym, będą wymagały właściwego potwierdzenia. Mam na myśli badanie DNA. Uważałem, że należy panią o tym uprzedzić. Informacje na ten temat z pewnością przedostaną się do prasy. Konsekwencje będą nieuniknione.

- Nie mam zamiaru o nic występować - oświadczyła Finn.

- W porządku. - Tulkinghorn skinął głową. - Niech będzie jak ma być, ale instrukcje pana Boegarta w stosunku do was obojga są całkiem jasne.

- Instrukcje w stosunku do nas obojga? - powtórzył jak echo Billy.

- Zapisy są połączone. Dotyczą trzech rzeczy. - Jakich? - spytała Finn.

- Obrazu, który czeka w pokoju obok, domu w Amsterdamie oraz S.S. *Batavia Queen*, którą ostatnio widziano gdzieś przy zachodnim brzegu Sarawak.

4

Conrad „Briney” Hanson, kapitan drobnicowca *Batavia Queen*, wyciągnął papieros marki Djarum Filter, zaciągnął się głęboko korzennym goździkowym dymem, po czym wyrzucił go z siebie, wzdychając jak człowiek doprowadzony do rozpacz i krzywiąc się od ostrego tropikalnego słońca. Stał na pomoście nawigacyjnym starej zardzewiałej krypy i patrzył przed siebie, oparty łokciami o skorodowany solą reling.

Dziób statku podczas odpływu obrócił się wokół kotwicy i teraz półtora kilometra przed sobą miał gęstą dziewiczą dżunglę Tandjung Api. Hanson widział z oddali biel piany łamiących się fal na piaszczystej plaży. Wszystko wyglądało spokojnie, ale wiedział, że to tylko iluzja. Przy najniższym poziomie odpływu dno morza było tam paskudne, ledwie metr osiemdziesiąt wody pod kilem.

Jeżeli ten stary głupiec, inżynier, nie uruchomi szybko silników, zostaną uwięzieni na godziny, jeśli w ogóle nie osiada na mieliźnie. Słyszał McSeveneya walącego w coś młotkiem na dolnym pokładzie i przeklinającego mieszanką malajskiego z tak wulgarnym angielskim obciążonym silnym szkockim akcentem, że wprawiłby w zakłopotanie najbardziej wytrawnego lingwistę.

Ciemnowłosa, mocno ogorzała kapitan zaciągnął się kolejnym miejscowym papierosem, po czym zdusił go w piasku wypełniającym puszkę przywiązaną do relingu w tym właśnie celu. Spojrzał w dół na pokład dziobowy piekący się w gorącym słońcu. Potężny Eli, utalentowany żeglarz z Mozambiku, malował to, z czego jego kościsty przyjaciel Lazło zeszlifował wcześniej rdzę. Eli był czarny jak wnętrze węglowego pieca, a Lazło, który pochodził gdzieś z Bałkanów, biały niczym wampir, nigdy nie zdejmował dziwnej winylowej czapki kozackiej z nausznikami, która miała chronić przed słońcem jego ogoloną głowę. To była dziwna para, czarny Eli cały w tatuażach, z długą wężową blizną na plecach, o której nie chciał rozmawiać i białoskóry Lazło w czapce.

Briney Hanson gapił się w kierunku dżungli. A kim on był, żeby uważać tamtych za dziwaków? Co robił dobry duński chłopak z Thorsminde na terenie łowców głów i piratów Morza Chińskiego, przewożąc ładunek fluorescencyjnych żarówek albo rowerów z Bangkoku do Szanghaju czy kakao wraz z częściami samochodowymi z Kaohsiung do Manili? Człowiek, który spędza życie snując się pomiędzy rafami i wyspami, a nocami walczy z terrorystami Abu Sayyafa pływającymi na ukradzionych kutrach rybackich lub z fanatykami z Islamskiego Frontu Wyzwolenia Moro wymachującymi granatnikami przeciwpancernymi lub karabinami typu AK-47 S produkcji chińskiej. Nie mówiąc już o dowodzeniu tą starożytną, przywróconą do życia korwetą z czasów drugiej wojny światowej, którą prowadził przez tajfuny, monsuny i tsunami.

Odpowiedź była stosunkowo łatwa. Nie znosił śledzi. Nie cierpiał ich wyglądu, smaku, szczególnie kiedy były w zalewie octowej, a już najbardziej mierzła go myśl, że będzie musiał łowić je przez całe życie, tak jak ojciec.

Jako zwolennik prostej filozofii - żyj i pozwól żyć innym - chciał trzymać się z daleka od śledzi i marzył, by śledzie trzymały się z daleka od niego.

Reszta była prosta. Po średniej szkole pięć kolejnych lat spędził w Duńskiej Królewskiej Akademii Marynarki, trzy na lodołamaczach, dwa na kontenerowcach, zdolny marynarz Duńskiej Marynarki Handlowej. Ciężko pracował wdrapując się powoli, ale skutecznie w hierarchii zawodowej, aż doszedł do uprawnień oficerskich, a potem zaprzepścił wszystko podczas pijackiej burdy na noże w Kowloon. Obudził się w jakiejś taniej noclegowni w Manili, z kieszeniami opróżnionymi przez jakiegoś dziesięciolatka. Potem była rozmowa w nabrzeżnym barze z kapitanem Nickiem Lumberą, o twarzy niczym dobrze wyprawiona skóra, do którego najął się jako mat na *Queen*, a wreszcie zajął jego miejsce, kiedy kochany stary Nicomedes zmarł na wylew podczas sztormu o sile 9 stopni w Cieśninie Malakka. Statek był akurat wypełniony mentolowymi pastylkami na kaszel, które mieli dostarczyć do Bombaju i cały śmierdział niczym lazaret.

Przeprowadził go zarówno przez sztorm, jak i przez cieśninę, z Lumberą zabezpieczonym w chłodni, i dostarczył pastylki na czas do Bombaju. Zadowolony właściciel statku, dyrektor Korporacji Przewozów Morskich Szanghaj-Sumatra, małego podwykonawcy morskiego imperium Boegarta, zapytał Brineya, nie zadając mu zbyt wielu pytań, czy nie zechciałby pozostać jako kapitan na statku. Ostatecznie nie tak łatwo znaleźć fachowców gotowych znieść wyczerpujące podróże na drugorzędnych szlakach pomiędzy prymitywnymi portami na płytkich wodach. Wziął tę robotę, wiele się nie zastanawiając, bo szanse na coś lepszego miał niewielkie.

To było dekadę temu. Za kilka następnych lat będzie mógł powiedzieć o sobie, że jest facetem w średnim wieku. Nic nie zaoszczędził, nie zabezpieczył sobie emerytury, nie miał rodziny. *Batavia Queen* dobijała siedemdziesiątki i wkrótce nie będzie się nadawała do niczego. Bez generalnego remontu, który byłby nadmiernie drogi, to tylko kwestia czasu, kiedy Hanson otrzyma polecenie, by złożyć swoją dziewczynkę w grobie, w Alang, ponurym miejscu na Wybrzeżu Indyjskim zwanym Brzegiem Zagłady. I to będzie też koniec jego zawodowego życia. Dla niego takim ostatnim brzegiem okaże się najprawdopodobniej dno butelki w dusznym pokoiku nad barem w Rangunie. Wdusił kolejnego papierosa w puszkę z piaskiem. Zdziwiło go, jak łatwo przeniósł się z tamtego świata w ten, z tamtego czasu tutaj.

- *Jakolin mo ako!* - Wodoszczelny właz w lewej burcie głównego pokładu dokładnie pod pomostem nawigacyjnym otworzył się z trzaskiem i ukazał się w nim McSeveney Jego wąska, mocno piegowata twarz była cała w smarze, włosy miał związane nylonową siatką zrobioną z jednej nogawki damskich rajstop. - *Putang inang trabaho itolya wee*

houghmagandie Jockbrit! Ya bluidy ming mowdiewark sasunnach sheepshagging shite-skitter!

Odkaszlnął i splunął czymś w miarę twardym w głąb statku.

- *Cackarse hamshanker! Gwes me the diareaky it do, tam-tit fannybawz thing!* - Kopnął wylot kanału wentylacyjnego w kształcie grzyba o podstawę pokładówki. - *Yah Hoor! Yah pok-pok Ang okie mo amoy ang pussit!* - zamilkł. - *Cao ni zu zongshi ba dail* - dodał po mandaryńsku, na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości. Hanson wiedział, że Willy potrafi przeklinać przez godzinę bez powtarzania się.

- Jakiś problem, Szkocie? - zapytał.

McSeveney łypnął na niego, w jego czarnych jak paciorki oczach malowała się złość. W starym kombinezonie w prążki wyglądał niczym rozwścieczony suseł.

- Dobrze wiesz, że nienawidzę, jak ktoś się do mnie w ten sposób zwraca! - warknął Willy, jego akcent rodem z Edynburga był ostry niczym ocet winny i gęsty jak melasa. - Ten facet nie był Szkotem, tylko cholernym Kanadyjczykiem. A ta gówniana łajba zaraz się rozwali, więc lepiej zamknij swoją cholerną gębę. - Znowu splunął i spojrzał wojowniczo na Hansona.

William Tung McSeveney był, przynajmniej w jego wersji, wynikiem niecodziennego związku rudowłosego szkockiego urzędnika, który pracował dla Jardine-Matheson, księgując w dziewiętnastym wieku zyski z opium, z dziwką z Macau imieniem Tung Lo May, które Hansonowi zawsze kojarzyło się z chińskim żarciem. Krzyżowanie narodowości, kontynuowane z entuzjazmem przez kolejne pokolenia, dało w rezultacie Willy'ego, który wychował się w slumsach Fountainbridge w chińskiej pralni, a potem zaciągnął do Szkoły Morskich Kadetów w Bruntsfield, którą kilka lat wcześniej ukończył Sean Connery. Jego jedynym marzeniem było wyrwać się z Edynburga i okolic tak szybko, jak to możliwe. Jako czternastolatek zaciągnął się na S.S. *Lanarkshire*, podawszy się za inżyniera bez papierów, i ruszył w stronę Afryki i Orientu. Już nigdy w życiu nie postawił nogi w Szkocji, pracując kolejno w pięćdziesięciu różnych handlowych firmach od Hong Kongu do Rangun, by wreszcie znaleźć swój dom i stare szkockie kotły na *Batavia Queen*.

Queen była starsza od wszystkich na pokładzie. Oryginalnie zbudowana jako Flower Class Corvette K-49 w dokach Vancouveru na zachodnim brzegu Kanady, została wynajęta przez Królewską Australijską Marynarkę Wojenną i lata wojny spędziła, wymykając się japońskim torpedom - przewoziła wojsko z Darwin do Rabulu przez Filipiny. Spłacona z końcem wojny, wylądowała w zatoce Subic, a wtedy kupił ją Burns Philips, nadał jej imię, które nosiła do teraz, i służyła przez kolejne dwadzieścia lat jako statek handlowy

obsługujący tutejsze wyspy. Wtedy też została całkiem wypatroszona, by pomieścić jak najwięcej towaru.

W latach sześćdziesiątych znowu została przerobiona, tym razem na holownik ratowniczo-badawczy, i była używana przez poszukiwaczy wraków zatopionych podczas działań wojennych statków, z których odzyskiwano budulec. Ten przemysł po jakimś czasie upadł i wtedy *Queen* wróciła znowu do handlu, przechodząc z rąk do rąk, jak starzejąca się ulicznica, by wreszcie wylądować przez jakieś niedopatrzenie w zasobach firmy Boegart.

Miała zaledwie sześćdziesiąt jeden metrów długości i dziesięć metrów szerokości, oraz trzy metry zanurzenia przy pracujących pompach. Oryginalnie wyekwipowana w bomby głębinowe, czterocalowe działko przednie, automatyczne działko przeciwlotnicze i dwa dwudziestomilimetrowe moździerze, dawno została z tego wszystkiego odarta, tak, że pozostał tylko zardzewiały kadłub, którego mógł bronić jedynie karabin kalibru. 12 leżący w kajucie kapitana i parę innych egzemplarzy uzbrojenia pochowanych tu i ówdzie na wszelki wypadek. Początkowo pływało na niej siedemdziesiąt osób załogi, a teraz jedenaście, licząc od Hansona na mostku do McSeveneya w maszynowni i jego pomocnika, samońskiego ociężałego niemowy, Kuan Konga. Miała jedną łódź ratowniczą na wypadek sytuacji awaryjnej - szalupę o długości ośmiu metrów, prowizorycznie przyczepioną żurawikami do rufy, w miejscu gdzie kiedyś przymocowana była bomba głębinowa. W najlepszym wypadku robiła dwanaście węzłów, ale zazwyczaj raczej około siedmiu.

Oryginalnie pomalowana na niebiesko i szaro, przez lata przeszła wiele zmian kolorystycznych: od czarnego przez zielony do zgaszonego czerwonego i z powrotem do czarnego, z białą nadbudówką, jaskrawoczerwonym kominem z wielkim czarnym „B”, a wszystko to pokrywała teraz rdza.

Drewniane kwatery na dziobie i rufie, a także mostek, były okropnie zużyte, całą resztę natomiast pokrywała stalowa blacha. To, że łódź nadal pływała po prawie siedemdziesięciu latach zmagania wojennych, sztormów i nieustannego oddziaływania wody morskiej, świadczyło wspaniale o jej budowniczych, choć wygląd i wydawane dźwięki dobitnie określały jej wiek.

Jakby w odpowiedzi od strony dziobu statku rozległ się nagle straszliwy hałas, co oznaczało, że stareńki parowy silnik z miedzianym kotłem obudził się do życia. Kilka sekund później McSeveney zagrzmiał przez tubę od strony sterówki.

- Kapitanie, czy słyszy pan ten cudowny dźwięk? - zawołał.

Hanson zszedł z pomostu nawigacyjnego w kierunku małej budki, w której mieścił się ster.

- Dziękuję, Willy! - usiłował przekrzyczeć staroświeckie urządzenie. Po czym wydał polecenie: - Powoli przed siebie, schodzimy z rafy.

Kilka sekund później łopatki śruby zaczęły się obracać i *Batavia Queen* wypłynęła znowu na morze niczym oporna matrona, którą przecież w istocie była.

5

Dwieście czterdzieści kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża cieszący się złą sławą pirat, znany po prostu jako Khan, a niekiedy jako Tim-Timan, Wyznawca, odpoczywał w swym tymczasowym domu - tubylczym *rumah*, zbudowanym na palach u ujścia północnozachodniego kanału prowadzącego do rzeki Renang. Jego ciężkie od złotych pierścieni palce bawiły się, niczym paciorkami różańca, naszyjnikiem wykonanym z kilkunastu ludzkich zębów, niektórych żółtych ze starości, innych białych i świeżych. Przy jednym czy dwóch wisiaty wciąż poskręcane kawałki nerwów i miazgi. Naszyjnik był prezentem od dziadka ze strony matki, cieszącego się złą sławą *Penghulu*, Temonggong Koha.

Ze swego kołyszącego się hamaka na szerokiej werandzie Khan widział inne domy nadrzecznej wioski, takie jak jego *rumah*, kilka baraków zbudowanych tu przez Japończyków podczas wojny, a także jeden czy dwa długie domy wybudowane przez jego dziadów, wypełnione dymem, śmiechem oraz duchami mężczyzn, kobiet i dzieci, których skurczone, wyschnięte głowy przyczepione były rząd za rzędem do krokwi - trofea dzikiej przeszłości.

Jak wielu współczesnych członków swego klanu Khan był częściowo Malajczykiem, częściowo Chińczykiem, częściowo rdzennym Melenau, jednak jak nikt inny mógł wywieść swe pochodzenie wprost od samego Białego Radzy, Charlesa Brooke'a, awanturnika, który przybył do Sarawak w połowie dziewiętnastego wieku i którego rodzina rządziła tu przez ponad sto lat. I to nie tylko wywieść, ale i dowieść, bo choć po swych chińsko-malajskich przodkach odziedziczył brutalne rysy twarzy, Khan miał jasno-niebieskie oczy, oczy, które potrafiły rzucać czar, rozpoznać prawdę i przewidzieć przyszłość, a przynajmniej wierzyło w to wielu przesądnych poddanych w jego pirackim królestwie. Budował tę legendę i z czasem też w nią sam, przynajmniej częściowo, uwierzył.

*

Nad oceanem przeszedł szkwał i nagle powietrze pełne było szelestu deszczu, który bębnił po starym cynowym dachu *rumah*, jakby ktoś rzucał garściami kamienie. Khan zsunął się z hamaka i przeszedł na skraj zadaszanej werandy, przyglądając się smaganej deszczem rzece. Stał boso na pleconej macie, a na sobie miał tylko prosty sarong w czarnej kratkę. Był

mocnej budowy, wysoki, muskularny, jego złotobrazowa skóra lśniła od potu. Wciąż jeszcze czarne włosy obcięte miał „przy garnku”, tak jak to robili jego przodkowie. Był Ibanem, czyli Morskim Diakiem z Kalimantanu na Borneo i w każdym calu wojownikiem *penghulu* swojego klanu.

Sięgnął po miseczkę spoczywającą na poręczy werandy i wlał w usta pałące ryżowe wino *tuak*, przepłukał usta, a potem wypuł płyn do rzeki. Deszcz powoli się uspokajał, teraz dźwięk dochodzący z dachu przypominał nerwowe stukanie palcami.

Kiedyś, dawno temu Khanowi wydawało się, że może wybrać inną drogę. Nazywał się wtedy James How Ling Singbat Alaidin Sulaiman Khan i był młodszym synem ministra zdrowia Sarawak, kiedy krajem rządził Stephen Kalong Ningkan, uprzywilejowanym młodym człowiekiem, który ukończył prestiżową Lodge School, następnie dostał się do Phillips Academy Andover w Ameryce, a później na Harvard, gdzie skończył administrację i prawo międzynarodowe.

Kiedy przebywał za granicą, a był to długi pobyt, ponad dziesięć lat, listy, jakie otrzymywał od rodziny, opisywały zachodzące zmiany w jego kraju, a żadna z nich nie była zmianą na lepsze. Korupcja roznosiła się jak zaraza. Ojca pozbawiono pracy, zabrano mu majątek, a w końcu parang zabójcy w zaułku Kuching uciszył jego głos sprzeciwu na zawsze.

Po powrocie do rodzinnego kraju Khan zastał matkę chorą z rozpacz, starszego brata zajmującego wysokie stanowisko w skorumpowanym systemie sadowym, a sam kraj powoli umierający pod rządami Haji Abdul Taib Mahmuda wyprzedającego naturalne bogactwa za najwyższą proponowaną cenę, lasy i rzeki zniszczone, ludzi krzywdzonych i mordowanych. Matka umarła i został sam.

Zebrawszy resztki majątku James How Ling Khan umknął w górę rzeki do dżungli Renangu, odnowił związki rodzinne i stworzył imperium pirackie, które miało tylko wrogów i żerowało na wszystkich, którzy nie mieli dość rozumu i pchali się na teren patrolowany przez jego flotę, a rozciągający się od Sumatry do Zamboangi. Jego ludzie kryli się niczym węże morskie w bazach rzecznych jak ta, w której teraz przebywał.

Miał też inne interesy. Jego statki nieustannie przywoziły amfetaminę z Korei Północnej, fałszywe banknoty z Ameryki, czyste opium z Wietnamu, storczyki z Sabah w Malezji, a czasami nawet podrzucały ludzkie ładunki na opustoszałe plaże w zatoce Carpentarii w północnej Australii. Broń - wyjątkowo opłacalny ładunek - dostarczano terrorystom z organizacji Kumpulan Mujahidin Malaysia, Darul Islam, Abu Sayyaf, Islamski Front Wyzwolenia Moro, Jemaah Islamiya i tak naprawdę każdemu, kto gotów był zapłacić Khanowi niebotyczną stawkę za przewóz.

Poprzez plusk deszczu Khan usłyszał inny, głębszy dźwięk, który okazał się znajomym terkoczącym grzmiotem jego osobistej łodzi o nazwie *Black Dragon*, jednym z sześciu ścigaczy podwodnych z czasów drugiej wojny światowej, które odkrył, zamaskowane, zapomniane i porzucone na niezamieszkałej wyspie na morzu Sulu. Zbudowane na podstawie ukradzionych planów przedwojennych amerykańskich patrolowców straży granicznej, jego *karo-tei* miały osiemnaście metrów długości i były kutrami o niskim zanurzeniu wyposażonymi w dwa silniki o mocy ośmiuset koni mechanicznych, co pozwalało im rozwinąć prędkość trzydziestu ośmiu węzłów.

Te małe stateczki zostały ciężko uzbrojone podwójnymi dwudziatomilimetrowymi działkami i karabinami maszynowymi na rufie. Całe z drewna, dla radarów były właściwie niewidzialne, mieściły piętnaście osób załogi, co wystarczało całkowicie, żeby przejąć jakikolwiek nieuzbrojony statek pływający po jakichkolwiek wodach. Te statki były najbardziej śmiertelną bronią w całym arsenale Khana, a udoskonalenia uczyniły je z czasem jeszcze bardziej przerażającymi. Dołożył im rosyjskie wyrzutnie rakietowe, skomplikowaną nawigację elektroniczną, równie dobrą, a nawet lepszą niż ta, jaką kiedykolwiek wystawiono przeciwko niemu, a do tego silniki z odzysku, dzięki którym były szybkie jak wiatr i równie trudne jak on do zobaczenia i złapania.

*

Wąska łódź, o kadłubie w kształcie litery V, która wyłoniła się z deszczowej mgły, łagodnie tnąc płytkie wody ujścia, przez szarość burt wydawała się nieuchwytna niczym mgła. Khan spoglądając w jej stronę, uśmiechał się zimno, wsłuchany w śpiew silników. *Black Dragon* bardziej niż cokolwiek innego od powrotu na tereny Morza Południowo-chińskiego kojarzył mu się z pojęciem dom.

Silniki eleganckiej kanonierki zamarły i *Black Dragon* ostatnie kilkanaście metrów przepłynął w kompletnej ciszy. Na pokładzie pojawił się bosy żeglarz i sięgnął po linę cumowniczą. Statek delikatnie uderzył w pływający pokład tuż pod *rumah*, żeglarz wyskoczył i zawiązał linę na pachołku. W drzwiach sterówki pojawiła się niska przysadzista postać, mężczyzna przeszedł pokład i wskoczył na nabrzeże. Sięgnął po ciężką bambusową drabinę i bez wysiłku wdrapał się na werandę. Ubrany w zielony maskujący strój, wojskowe buty, na epoletach błyszcząły trzy bardzo oficjalnie wyglądające gwiazdki. Miał ciemną skórę zniszczoną przez wiele lat przebywania na słońcu i rysy typowe dla Chińczyka. Nazywał się Fu Sheng i był zastępcą Khana. Obaj mężczyźni znali się prawie od dwudziestu lat.

Przyjaciel wszedł na werandę.

- *Apa kabar, Dapu Sheng?* - zapytał Khan w narzeczu tanjong, starożytnym dialekcie obecnie używanym przez niewiele ponad setkę osób, w większości należących do jego klanu znad rzeki Rejang. Dapu było przezwiskiem Fu Shenga i znaczyło Wielki Pistolet. A pytanie brzmiało: „Jakie wieści?”

- *Kaba baik, tuan* - odparł Fu Sheng z lekkim ukłonem. Przywożę dobre wieści, panie. I mówił dalej: - Rozmawiałem z naszymi ludźmi w towarzystwie żeglugowym. Potwierdzili wcześniejsze informacje. Statek jest nadal na południe od nas.

- A jak sytuacja w Londynie?

- Zgodnie z planem - odparł Fu Sheng i wzruszył ramionami. Londyn był dla niego tylko nazwą, nigdy go nie widział i sprawy toczące się tam tak naprawdę go nie interesowały.

- Masz śledzić statek, ale nie rób nic. A co do Londynu, informuj mnie na bieżąco.

- Tak, *tuan*. Czy pozostaniesz tutaj?

- Tylko trzy dni, potem przyplyniesz po mnie. Te błazny z Agencji Egzekwowania Prawa Morskiego wybierają się na jeden z tych swoich patroli. Nic tu nie znajdują.

- Nie wiem, dlaczego przywiązujesz taką rolę do tego, by się ukrywać, *tuan* - powiedział Fu Sheng. - W ich piórach nie ma atramentu - szydził. - Mamy więcej statków niż oni i więcej broni.

- Ja nie chcę wojny, Dapu Sheng, tylko pieniądze. Przekupujemy ich i atrament wysycha.

- To niehonorowo, *tuan* - warknął Fu Sheng, nie chcąc się poddać, w jego głosie brzmiała złość i żal.

- Być może nie, przyjacielu, ale rozważnie. Żyjemy w świecie, w którym honoru się nie poważa. Honor to umarłe pojęcie, jak język, którym mówimy. - Wyciągnął rękę i położył ją na szerokim ramieniu Fu Shenga. - Jeszcze nie czas.

- Czy ten czas kiedykolwiek nadejdzie?

- Może szybciej niż myślisz, Fu Sheng. Nasi przodkowie wzywają nas. Jeśli zadbamy o nich, nasz dzień nadejdzie.

- Mówisz zagadkami, *tuan*.

- Możliwe. - Khan uśmiechnął się. - Ale czym są zagadki, jak nie tajemnicami, które trzeba odkryć?

6

- Bardzo tajemnicze - powiedział Billy Pilgrim, wpatrując się w obraz na niewielkich sztalugach stojących na stole. Oboje z Finn Ryan stali wraz z Jamesem Tulkinghornem w

wypełnionym książkami pokoju konferencyjnym. Stół, na którym umieszczono sztalugi, był dębowy, ciemny i bardzo stary. Wyglądał tak, jakby został tu przywieziony z jakiegoś klasztoru i Finn widziała oczami wyobraźni milczących zakapturzonych mnichów zebranych wokół niego przy prostym posiłku.

Sam obraz był niewielki, jakieś trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Przedstawiał wręcz komicznie mały statek, płynący pod pełnymi żaglami po burzliwym morzu. W tle łamały się nad rafą fale, a dalej rozciągała się dżungla. Niebo czerwieniało zachodem słońca. W dolnym prawym rogu grube litery w kształcie ulubionym przez Włochów układały się w słynny podpis: *Rembrandt*.

- Zgodnie z informacjami, jakie otrzymałem z archiwów Boegartów, na obrazie został uwieczniony *Vleigende Draeck*, czyli Latający Smok - statek, dzięki któremu Willem van Boegarts zbił fortunę we Wschodnich Indiach. Został namalowany w 1671. Obraz zniknął tuż po wybuchu drugiej wojny światowej, a niedawno został znaleziony w skarbcu jednego ze szwajcarskich banków.

- To jacht, takie statki na samym początku używane były przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską. Od niego pochodzi w ogóle słowo jacht - wyjaśnił im Billy.

- Zgadza się - przytaknął Tulkinghorn.

- Może to i jest jacht - wtrąciła się Finn. - Ale z pewnością nie Rembrandt.

- Słucham? - odezwał się Tulkinghorn, a w jego głosie czaiła się uraza. - Przecież jest podpisany.

- To nie ma większego znaczenia - odparła Finn. - Rembrandt prowadził pracownię i zatrudniał kilkunastu pomocników, którzy mieli prawo podpisywać się jego nazwiskiem. Taki podpis znaczył mniej więcej to samo, co dzisiaj pieczętka. Ponadto Rembrandt jest dobrze znany z tego, że podpisywał obrazy, przy których nie maznął nawet pędzlem.

- Ale nie może być pani tego pewna.

- Mogę - Finn uśmiechnęła się - jeśli obraz został namalowany w 1671 roku.

- Dlaczego ta data jest taka ważna? - zapytał Billy.

- Ponieważ Rembrandt zmarł w 1669 - odparła. - Nie jestem tu specjalistką, ale tyle przynajmniej pamiętam z historii sztuki. - Wyciągnęła rękę i niepewnie przejechała palcem po ozdobnej, połączanej ramie. - Interesujące - szepnęła.

- Co w tym interesującego? - spytał Billy.

- Rama. Jestem prawie pewna, że to dzieło Fogginiego.

- Czyje? - zapytał Tulkinghorn.

- Florentyńczyka żyjącego w siedemnastym wieku - powiedziała Finn. - Przed studiami magisterskimi spędziłam rok we Florencji. Tam się nim zainteresowałam. Był artystą, rzeźbiarzem, ale obecnie ceni się głównie rami, które wykonywał. Złoto, zdobienia, dużo ozdób.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, do czego zmierzamy i dlaczego rama miałaby być taka ważna?

- Jeśli obraz jest podróbką, dlaczego ktoś miałby go oprawiać w tak kosztowną ramę?

- Może po prostu właściciele obrazu wierzyli w jego autentyczność - odpowiedział Billy.

- Ale jeśli ktoś zadał sobie tyle trudu - odezwał się Tulkinghorn w zamyśleniu - po co przypisał obrazowi datę, nie dość że niedobłą, to jeszcze taką, którą można bardzo łatwo podważyć.

To niesamowite, pomyślała Finn, on zachowuje się jak żywy Sherlock Holmes. Ale stary prawnik miał rację.

- Czy mogę się przyjrzeć? - zapytała Finn.

- Oczywiście. - Sir James skinął głową. - Szczególnie że obraz należy teraz do pani i Jego Wysokości.

Finn zdjęła go ze sztalugi. Nawet biorąc pod uwagę ciężar ozdobnej rami, sam obraz też musiał ważyć niemało, co znaczyło, że został namalowany na desce, prawie na pewno dębowej. Chodziła na wykłady w Courtauld Institute z określania wieku drewna, na którym malowano obrazy, za pomocą analizy dendrologicznej - liczenia słoii przyrostu rocznego. Przyjrzała się uważnie powierzchni obrazu i natychmiast dostrzegła nici płótna w kilku przetartych miejscach przy krawędziach. Płótno na drewnie? Nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak malował, a już z pewnością nie w siedemnastym wieku. Ze zmarszczonym czołem odwróciła obraz, którego tył zakryty był starym, wyglądającym bardzo krucho papierem pakowym.

- Czy ktoś ma scyzoryk?

Sir James skinął głową i sięgnął do kieszonki w swojej kamizelce po stary scyzoryk z trzonkiem z macicy perłowej, otworzył go z trzaskiem i podał jej. Finn bardzo ostrożnie przecięła papier, w pewnej odległości od krawędzi wewnętrznej rami, czyli blejtramu. Odłożyła papier odsłaniając tylną stronę deski. Na ciemnym drewnie wydrapano kilka inicjałów, napisano chyba za pomocą kredy numer 273, z siódmką przekreśloną na europejską modłę, i przyklejono tam dwie nalepki, jedną wyraźnie z czasów nazistowskich i drugą, będącą zwykłym, wyciętym z papieru prostokątem, która głosiła: KUNSTHANDEL J. GOUDSTIKKER NV.

- To nazwa bardzo znanej galerii w Amsterdamie - powiedziała Finn. - Naziści za pomocą oszustwa zabrali stamtąd wszystko w 1940 roku; rząd holenderski rozwiązał tę sprawę dopiero niedawno. Było to wielkie wydarzenie w całym artystycznym świecie.

- Czy Goudstikker był osobą? - spytał Billy. Finn przytaknęła.

- Jacques Goudstikker. Jeśli dobrze pamiętam, odziedziczył galerię po swoim ojcu.

- I co się z nim stało?

- Opuścił Holandię z innymi uchodźcami i udał się statkiem do Anglii, ale nie wpuścili go, ponieważ był Żydem, został internowany. Statek popłynął wraz z nim na pokładzie do Afryki Południowej. Podobno miał tam wypadek i umarł. - Wpatrywała się w górną krawędź obrazu. Wystrzępione krawędzie płótna przez lata przylepiły się wręcz do drewna. - Ale nie chodzi o Goudstikkera.

- A o co? - zapytał Billy.

Wskazała na brzeg płótna ledwie widoczny przy wewnętrznym brzegu ramy.

- Większość tak starych płócien wymaga nowego podbicia mniej więcej co pięćdziesiąt lat, oryginalne płótno łączy się z nowszym gładkim płótnem, żeby je wzmocnić; robi się to zazwyczaj za pomocą wosku albo żywicy. Tutaj zrobiono inaczej. Płótno przedstawiające statek jest maską, cieniem, który przesłonił oryginalny obraz na desce.

- Myśli pani, że tam coś jest? - zapytał sir James.

- Nalepka, którą przykleili naziści, prawdopodobnie datuje się na 1940 rok. Nalepka GOUDSTIKKER jest prawdopodobnie dużo starsza. Myślę, że ktoś wziął starego fałszywego Rembrandta i przykleił go na drewnianej desce, aby ukryć tożsamość oryginalnego obrazu przed ludźmi Goeringa.

- Nie możesz być tego pewna - powiedział Billy.

- Znam kogoś z Courtauld, kto może nam pomóc.

- Dzisiaj? - chciał wiedzieć Tulkinghorn.

- Skąd ten pośpiech?

- Chodzi o dom w Amsterdamie - wyjaśnił Tulkinghorn.

- Co z nim?

- Obawiam się, że instrukcje pana Boegarta są całkiem jasne - odparł stary człowiek. - Zarówno dom, jak i inne części spadku muszą zostać objęte w posiadanie osobiście przez was dwoje w ciągu piętnastu dni, w przeciwnym wypadku powrócą do masy spadkowej.

- Łódź też? - spytała Finn. - Czy to oznacza, że musimy pojechać do Amsterdamu, a potem do Malezji? I to wszystko w dwa tygodnie?

- Dokładnie tak, panno Ryan. - Sir James odchrząknął. - A *Batavia Queen* jest statkiem, nie łodzią.

- Co to za różnica? - spytała Finn, którą nagle poirytowała staroświecka precyzja.

- Stosowane rozróżnienie mówi, że statek jest na tyle duży, by można było pomieścić na nim łódź - wyjaśnił Billy. - Ale to jest jakieś wariactwo. Dlaczego, na Boga, Boegart tak postanowił?

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że starał się wam coś powiedzieć - zaproponował rozwiązanie Tulkinghorn.

- Stara się nas zmusić, byśmy podążyli jego śladem - powiedziała Finn.

- Ale dlaczego? - spytał Billy. Finn patrzyła na leżący przed nimi obraz w ozdobnej ramie, z brzydkim emblematem brutalnej przeszłości i nazwiskiem człowieka nieżyjącego od wielu lat.

- Wydaje mi się, że wszystko zaczyna się od obrazu - odpowiedziała. - A to oznacza wycieczkę do Courtauld.

7

Somerset House jest gigantycznym neoklasycystycznym budynkiem o boku długości czterystu metrów. Powstawał w 1775 roku głównie po to, żeby być większym, bardziej okazałym i ważniejszym od wszystkich innych, mieszczących państwowe urzędy budynków na świecie. Poza tym miał pomieścić wszystkie możliwe urzędy Anglii, od Urzędu Podatkowego przez Urząd Morski po Zarządcę Królewskich Łodzi, Loterię Publiczną i urząd zajmujący się domokrążcami. Mijały lata, urzędnicy przychodzili i odchodzili, znowu przychodzili i znowu odchodzili, a ogromny budynek pozostał. Zajmuje obszar ograniczony StranDEM, Lancaster Place, Surrey Street i Victoria Embankment.

Kiedy w 1989 roku Instytut Sztuki Courtauld, ze wszystkimi należącymi do niego galeriami, pracowniami, salami wykładowymi i bibliotekami, przeprowadził się ze swojej starej siedziby przy Portman Square do północnego skrzydła Somerset House przy Strandzie, zajął tylko małą część i niewiele osób spoza subtelnoświata historii sztuki wiedziało o jego istnieniu, gdyby nie fakt, że posadę dyrektora, a przy okazji rzeczoznawcy zbiorów należących do królowej, piastował sir Anthony Blunt, który okazał się szpiegiem KGB. Jednakże samemu instytutowi udało się przeżyć ujawnienie ciemnej przeszłości jednego z dyrektorów i z biegiem lat stał się jedną z najważniejszych instytucji na świecie, która skupia ludzi zajmujących się sztuką we wszystkich jej aspektach.

Doktor Alpheus Duff Schneegarten, emerytowany profesor w katedrze konserwacji, był niziutkim, okrągłutkim mężczyzną około osiemdziesiątki, który znakomicie mógł służyć za model Tolkienowskiego hobbita. Miał dużą głowę, której dziesięć procent stanowiły śnieżnobiałe włosy, czterdzieści - haczykowaty, patrycjuszowski nos, a pozostałą część - wystający podbródek, nad którym sterczała wetknięta między duże, ciemne od nikotyny zęby staroświecka fajka wrzoścowa oraz duże uśmiechnięte usta. Jego inteligentne niebieskie oczy błyszczały wesoło. Wyglądał, jakby miał właśnie zamiar opowiedzieć jakiś niezwykle sprośny kawał. Niezależnie od pogody Schneegarten chodził zawsze w trzyczęściowym garniturze, niezmiennie szarym, w odcieniu, który wyszedł z mody jakieś dziesięć lat wcześniej. Na dużych stopach miał wygodne sandały. Urodził się w Niemczech lub w Argentynie. Nikt nie był do końca pewien gdzie. Zgodnie z jego własnymi słowami, w Anglii mieszkał wciąż na studenckiej wizie. Sam o sobie tak kiedyś powiedział do Finn: „Jestem jedyny w swoim rodzaju. Jeśli będziesz szukać Schneegartena w swoim Śmichlu-Guchlu, czy jakkolwiek to nazywacie, nie znajdziesz nic. Ja też ci nic nie powiem. Jestem niepowtarzalny, tylko jeden taki egzemplarz istnieje na całej ziemi!”

Staruszek pracował w Instytucie jeszcze przed wojną i był przyjacielem oraz doradcą wszystkich trzech fundatorów, przemysłowca Samuela Courtaulda, dyplomaty i kolekcjonera lorda Lee z Fareham oraz historyka sztuki sir Roberta Witta.

Schneegarten był pionierem w dziedzinie badania obrazów metodą spektrometrii fluorescencyjnej i analizy w podczerwieni; przy użyciu tych metod sporządził bazę odcisków palców artystów, która uratowała niejednego kustosza muzealnego przed zakusami sprytnych fałszerzy.

Wiele lat temu zrezygnował z aktywnego nauczania, zajmował teraz mysią dziurkę na wysokim poddaszu stanowiącym ostatnie piętro Instytutu, gdzie można się było dostać jedynie, pokonawszy kolejne kondygnacje zakurzonych schodów, z których jedne były wyjątkowo chwiejną spiralą z żelaza, i gdy Finn Ryan wraz z Billym Pilgrimem wdrapywali się po nich, trzęsły się i dygotały.

W jednym z pomieszczeń na poddaszu znaleźli profesora pochylonego nad ogromnym płótnem, który przedstawiał scenę uliczną w Turcji lub Maroku. Schneegarten badał maleńki kawałek obrazu za pomocą lupy jubilerskiej włożonej w prawy oczodół, delikatnie pocierając bawełnianym wacikiem oglądane miejsce. W pomieszczeniu czuło się zapach mydła.

Było już późne popołudnie i znowu zaczęło padać, krople bębniły o wielki brudny od sadzy świetlik nad ich głowami. Oświetlenie pomieszczenia było wręcz bajkowo srebrzyste, wydawało się, że zapowiada jakieś niezwykle wydarzenie.

Profesor na widok Finn i Billy'ego wchodzących do pracowni podniósł się i wyjął z oka jubilerską lupę.

- Kogóż widzę - odezwał się z uśmiechem. - Moja amerykańska przyjaciółka. - Po czym łypnął na Billa. - Może mi pan uwierzyć, gdybym był siedemdziesiąt lat młodszy, porwałbym ją i ruszył razem z nią w świat! Nie żartuję.

- A ja bym chętnie na to pozwoliła. - Finn leciutko puknęła go w okrągły, wystający brzuch. Roześmiał się gromko i oddał jej szturchańca. Finn przedstawiła Billy'ego.

- A, to ten zubożały lord, o którym wspominałaś. Jestem zaszczycony, Wasza Wysokość.

- William, lub jeśli pan woli, Billy. Kiedy ktoś mówi „wasza wysokość” czuję się niczym arcybiskup Canterbury.

Shneegarten uśmiechnął się.

- Nad czym pracujesz? - spytała Finn.

- Cholerny Delacroix - burknął starszy pan ze znużeniem. - To jeden z tych okropnych obrazów, które namalował w Tangerze: zamieszki, kobiety o olbrzymich biustach gwałcone w nieprawdopodobnych pozycjach, umierające na ziemi konie. Mnóstwo bezsensownych czynności plus przemoc. Quentin Tarantino tamtego czasu! - Skinął głową pokazując na paczkę pod ramieniem Billy'ego. U Tulkinghorna opakowali ją w łososioworóżowy egzemplarz *Financial Timesa* i obwiązali szpagatem. - To dla mnie? - spytał.

- Tak - odparła Finn. Billy wręczył paczkę profesorowi, który przeciął sznurek skalpelem, uważnie zdjął papier, położył go obok na stole i wpatrzył się w obraz.

- Rama prawie na pewno jest dziełem Fogginiego, jak mówiłaś przez telefon. - Pokiwał aprobująco głową. Wsadził w oczodół lupę i pochylił się. - Pociągnięcia pędzlem charakterystyczne dla pracowni Rembrandta, chociaż powiedziałbym, że bardziej wygląda na pracę van Leideny lub Willema van der Velde. Spójrzcie tylko na to niebo! Ci Holendrzy! Zawsze malowali niebo, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. - Przełożył obraz na drugą stronę i używając małego narzędzia z nierdzewnej stali przypominającego szpachlówkę o ostrych krawędziach, wyłuskał go z ramy. - Bardzo stary - mruknął podnosząc białe brwi. - Płótno na desce. Powiedziałbym, że płótno jest z odpowiedniego okresu, jakiś 1660 rok, ale pinezki znacznie nowsze, zdecydowanie dwudziesty wiek.

- Rówieśniczki naklejki z galerii Goudstikker? - zapytała Finn.

- Bez wątplenia. Jak również nazistowskiej etykiety. Znaczek *Einsatzstab Reichsleiter Rosenberg*, ERR,

- Co pan mówi? - spytał Billy.

- Popatrzcie - Shneegarten wskazywał kościstym palcem - pinezki są mosiężne, ale pomiędzy nimi widać maleńkie dziurki i plamki rdzy, tam gdzie płótno było oryginalnie przychepione do blejtramu. Co oznacza, że to malowidło, prawdopodobnie wykonane gdzieś w połowie siedemnastego wieku, z pewnością w czasach Rembrandta, zostało wyjęte wspólnie ze swoich ram i użyte, by zakryć drewnianą deskę pod spodem, tę która ma etykietę ERR a także etykietę Goudstikkaera. Widać nawet, że oryginalny obraz był większy; został obcięty, żeby pasował i dodano podpis Rembrandta.

- Kto by robił coś takiego? - spytał Billy.

- Prawdopodobnie jest tak, jak sugerowała Finn: chciano coś ukryć przed ciekawskimi oczami.

- Czy możesz zdjąć płótno? - spytała Finn.

- Oczywiście - odparł Schneegarten. - Nie jest przyklejone, tylko przypięte do deski. Dajcie mi chwilę. - Sięgnął po inne narzędzie, w kształcie spłaszczonych kombinerek, i zaczął wyciągać pinezki. Kiedy skończył, delikatnie zdjął płótno.

Zgodnie z tym, czego się spodziewała Finn, pod spodem znajdował się kolejny obraz, namalowany na desce. Przedstawiał mężczyznę w średnim wieku w holenderskim mieszczańskim stroju, czerwonej aksamitnej bluzie i kapeluszu z piórem. Stał obok stołu, na którym leżały egzotyczne muszle i równie egzotyczne mosiężne żeglarskie instrumenty, w tym coś, co wyglądało jak wczesna wersja sekstansu. W jednej okrytej rękawiczką dłoni trzymał książkę w jasnej oprawie z cielej skóry, a w drugiej ozdobny rapier z koszyczkową rękojeścią. Na postać mężczyzny padał mocny snop światła z bardzo wąskiego witrażowego okna, które znajdowało się w pewnym oddaleniu po jego lewej stronie. Witraż układał się w wizerunek heraldycznej tarczy. Na tarczy tej, cztero-dzielnej, znajdowało się naprzemiennie pięć pasów czarnych i złotych oraz para czerwonych półksiężyców i czarnych lili na srebrnym polu.

- To jest herb Boegartów! - wykrzyknął podekscytowany Billy.

W dolnym prawym rogu widniał podpis, czarny i delikatny. Był zupełnie inny niż ten na płótnie.

- A to jest autentyczna sygnatura Rembrandta van Rjina

- oświadczył starszy pan wznosząc rękę teatralnym gestem.

- I obraz też jest autentyczny? - zapytała Finn.

- Pozwólcie, że sprawdzę. - Powłócząc nogami przeszedł do terminala komputera ustawionego na stole zapełnionym papierami. Wystukiwał coś. Pisząc, nie przestawał mówić:

- W 1968 pracowałem przy projekcie poszukiwań dzieł Rembrandta, powołanym przez holenderski rząd w celu ustalenia liczby prawdziwych obrazów tego malarza. Pracowaliśmy w zespole ekspertów z całego świata. Nie tylko sprawdzaliśmy autentyczność obrazów, ale także budowaliśmy bazę danych. - Stuknął w kolejnych kilka klawiszy.

- Kiedy skrzyżuje się indeks tej bazy z informacjami departamentu poszukiwań dzieł zaginionych podczas Holocaustu, zbieranymi przez Instytut Courtaulda, otrzymuje się niezwykle wyniki. - Zamilkł i zmrużywszy oczy wcisnął ostatni klawisz. - Mam - powiedział wreszcie, bardzo z siebie zadowolony.

- Co masz? - spytała Finn.

- Malowidło, uważam, że bardzo tajemnicze - mruzczał do siebie stary człowiek, wpatrując się w ekran komputera. - Zgodnie z opisem jest to portret Willema van Boegarta namalowany przez Rembrandta w 1659, mniej więcej w okresie środkowym jego twórczości. Zamówienie pojawia się zarówno w zapiskach Rembrandta, jak i van Boegarta, zachowanych w rodzinnych archiwach. Willem van Boegart miałby w czasie powstawania portretu trzydzieści siedem lat. Obraz nigdy nie został sprzedany, pozostawał w kolekcji rodzinnej aż do 1938, kiedy to zaginął wraz z kilkoma innymi. Ani jeden z nich dotąd nie został odnaleziony. Wiem o jego istnieniu tylko dzięki fotografii, która została wykonana dla celów archiwizacyjnych przez Jacquesa Goudstikka w 1937 roku na prośbę rodziny Boegartów.

- Gdzie dziś znajduje się ta fotografia?

- Są dwie, jedna w Narodowych Archiwach Holocaustu w Waszyngtonie, druga zaś w archiwum Rijksmuseum w Amsterdamie.

- Jacques Goudstikker robi zdjęcie w 1937 roku, obraz zostaje ukradziony w 1938, by znaleźć się z innym obrazem na wierzchu w magazynach Goudstikka w 1940? - Billy Pilgrim potrząsnął głową. - To na pewno nie był przypadek, ale też nie widzę w tym ciągu logicznego.

- A ja tak, pod warunkiem, że wszyscy oni współdziałali, Goudstikker, złodzieje, rodzina Boegartów - powiedziała Finn.

- To prawdopodobne - zgodził się Schneegarten. - Obaj panowie byli Żydami, obaj zdawali sobie sprawę, że Hitler nadchodzi i że nieuchronnie dotrze do Niderlandów. Działali w zмовie, by obraz zniknął, zanim Hitler pojawi się w Holandii.

- Nadal tego nie rozumiem - skrzywił się Billy. - Dlaczego akurat ten obraz? I jeśli miał zniknąć, skąd pojawiła się na nim etykieta nazistowska?

- To rodzi pewne pytania, nad którymi muszę się zastanowić - powiedział starszy pan, pocierając cybuchem fajki wystającą brodę. - Czy możecie zostawić go u mnie na kilka dni?

Finn spojrzała na swego nowego przyjaciela. - Jak uważasz, Billy?

- Myślę, że tak.

- To dobrze! - stwierdził Schneegarten i włożył cybuch z powrotem do ust. Klepnął Billy'ego w plecy. - Obiecuję, że otrzymasz ode mnie kilka odpowiedzi, Wasza Wysokość, zapewniam cię!

8

Finn i Billy zostawili profesora pochylonego nad obrazem, mamroczącego coś do siebie i ruszyli w dół ku wyjściu na Strand. Padało jeszcze mocniej niż przedtem i było już ciemno. Stali pod potężnym kamiennym portykiem patrząc posępnie na ulicę. Jak każda londyńska arteria komunikacyjna o tej porze, Strand był zakorkowany, światła na dachach czarnych taksówek przypominających żuki wyglądały w deszczu jak robaczki świętojańskie. Wszyscy trąbili. Ostatecznie to była Anglia. Kolejka, każdy z parasolem, stała posępnie przy krawężniku w oczekiwaniu na taksówkę.

- O tej porze zajmie nam to godzinę - jęknął Billy.

- Co powiesz na metro?

- Najbliższa stacja to Tempie, tam złapiemy Embankment - powiedział Billy. - Ale zanim tam dotrzemy, zmokniemy do nitki. W taki wieczór jak dzisiaj deszcz śmierdzi starymi skarpetkami.

- Chyba nie mamy innego wyjścia - powiedziała Finn.

- Nie macie żadnego wyjścia, panno Ryan - odezwał się za nią nieznajomy głos. Coś twardego wbiło jej się w kręgosłup. Zaskoczona obejrzała się. Zauważyła elegancko ubranego mężczyznę o orientalnych rysach twarzy, raczej nie Chińczyka tylko mieszkańca któregoś z małych krajów wschodniej Azji. W jednej ręce trzymał parasol, przez drugą przerzucił gazetę. W zakrytej ręce mógł trzymać rulon ćwierćpensówek, ale chyba jednak było to coś innego. W jednej chwili Finn zrozumiała, że jest ich dwóch, jeden za nią, drugi za Billym. Ręce, które trzymały parasole, ukryte były w chirurgicznych rękawiczkach. Profesjoniści.

- Za rogiem stoi zaparkowany samochód. Niebieskie audi. Wsiądziecie, nie robiąc zamieszania. Jeśli zaczniecie rozrabiać, zginiecie oboje, rozumiano? - To coś twardego, co najprawdopodobniej było lufą broni, wbiło się w nią jeszcze mocniej. Zerknęła na Billa. Wyglądał na zdenerwowanego, zgodnie z okolicznościami, ale nie stracił opanowania. Zeszli razem po schodach, potem skręcili w prawo. Dwóch mężczyzn za plecami nie dało im możliwości, by grzecznie wymijać ludzi na chodniku, parli do przodu używając Finn i Billa niczym dziobu statku. Ludzie posłusznie usuwali się na boki, ze spuszczonej głowami,

oślepieni pod swymi parasolami, skoncentrowani na własnych stopach. Porwano ich w tłumie ludzi. Jeśli znajdą się w samochodzie, będą załatwieni. To nie był zwykły napad, raczej coś dużo groźniejszego. Jeśli ci mężczyźni czekali na nich w tym miejscu, oznaczało to, że musieli ich śledzić od Tulkinghorna albo jeszcze wcześniej.

Przewrót. Słowo zjawiało się nagle w jej głowie. Panna Turner, jej nauczycielka wychowania fizycznego, tak to nazywała. Panna Turner, wynalazczym specjalnego zestawu tortur fizycznych, sama walcząca z niewielkim wąsikiem i genami po jakimś sierżancie marynarki, który pozostawił jej w spadku zbyt wiele testosteronu. Nigdy nie pozwalała na coś równie „seksownego” jak gimnastyka. Przewrót. Jackie Chan i sztuka upadku.

Poczuła kolejne szturchnięcie. Szła bez wahania. Wiedziała, że musi to zrobić. Teraz albo nigdy, bo jeśli już wsiądzie do niebieskiego audi, będzie po wszystkim. Poczuła w sobie lodowaty gniew. Nie tylko dlatego, że już raz czy dwa bywała w takiej sytuacji: pod ulicami Nowego Jorku, na Karaibach i w dżungli Jukatenu, jeszcze jako mała dziewczynka, z matką. Tym razem było inaczej. Odezwało się wrodzone coś, czego panna Turner nigdy jej nie uczyła, choć może niechcący obudziła. Coś pierwotnego i twardego jak diament, czemu towarzyszyły chłodne, zabójcze kalkulacje.

- Zrozumiano - powiedziała cicho, mając nadzieję, że to Billy ją zrozumie. Po lewej stronie mijali właśnie kościół Świętej Marii Panny na Strandzie. Przejeżdżał autobus numer 52, opony piszcząły na śliskim, lśniącym asfalcie drogi. Od ulicy dzieliła ich metalowa barierka, do której przyłączone były skrzynki na gazety i rowery. Po prawej znajdowało się od dawna nieużywane zejście do metra.

Skręcili w Surrey Street. Nagle zrobiło się prawie cicho. Kilka metrów z przodu zobaczyła błękitne audi przytulone do szerokiego chodnika obok wejścia do starej stacji Strand, za kierownicą siedziała jakaś postać. Samochód stał na zgaszonych światłach, ale silnik pracował, spaliny unosiły się w deszczu. Trzech na dwoje. Dwadzieścia, no może trzydzieści sekund i już będzie za późno. Szukała naokoło wzrokiem. Niska brama z kutego żelaza, kilka puszek, jakieś śmieci. Niech Bóg błogosławi pannę Turner, nauczycielkę w szkole średniej w Northland High School, gdziekolwiek ona teraz jest. Przewrót.

- Zrozumiano! - wykrzyknęła Finn na cały głos. Nagle po prostu przykucnęła i potoczyła się sięgając na oślep ręką. Złapała starą rurę, zerwała się na równe nogi, obejrzała się i waląc z całych sił, celowała w kolana idącego za nią mężczyzny. Trafiła. Wrzasnął, upuszczając parasol i gazetę. Zobaczyła, że rzeczywiście trzymał w dłoni pistolet, płaski, masywnie wyglądający automat. Potem był już tylko chaos.

- *Is do nach bhfuil seans ar bith Ann!* - wrzasnął Billy, wykonując obrót na pięcie i waląc stopą w krocze drugiego mężczyzny. - *Perite! Irrumator Mentula! Spaculatum Tauri!* - Finn jakąś cząstką świadomości wyczuła, że trzeci mężczyzna wysiada z samochodu.

- Tędy! - krzyknęła łapiąc Billy'ego za ramię. Przebiegła kilka kroków, wsadziła rurę w łańcuch oplatający metalową kratę zamykającą dawne wejście na stację i pociągnęła z całych sił. Skorodowany, przerdzewiały metal puścił. Otworzyła kratę i rzuciła się w dół, w stronę stacji, Billy deptał jej po piętach.

Co niesamowite, paliło się światło - co druga świetlówka na suficie dawnej hali biletowej. Wyłożone białymi kafelkami łukowate przejście oznaczone było napisem: DO POCIĄGÓW. Dawno temu działały tu jeszcze dwie obszerne pasażerskie windy, ale teraz zostało tylko wyjście ewakuacyjne, w miejscu jednego z szybów metalowe schody prowadziły spiralą w dół. Co dziwniejsze, tutaj też paliło się światło. Zbiegli na dół, tupot ich kroków dźwięczących na schodach odbijał się echem od starych ceglanych ścian. Powietrze śmierdziało zgnilizną.

- Gdzie do diabła idziemy!? - krzyknął znad niej Billy.

- Skąd mam wiedzieć? - odkrzyknęła mu.

Rozległ się jeszcze jakiś dźwięk. Wysoko ponad nimi zadźwięczały na schodach kroki, a potem coś zaczęło świstać. Szyb po windzie wypełniło nagle rozdzierające echo.

- Strzelają do nas! - wrzasnął Billy. Kolejny strzał rykoszetował po metalowych schodach.

- Za mną! - Finn pędziła w dół po niekończących się, jak się zdawało, schodach i wreszcie dotarła na sam dół. Tam zaczynał się wąski, biegnący w dół tunel, jaskrawo oświetlony, i nagle znalazła się na starym peronie. Stała jak wryta, a Billy wpadł na nią, wpychając ją głębiej na peron, pomiędzy stojących ludzi. Dokładnie naprzeciwko nich stał z otwartymi drzwiami pociąg.

- Cholera - wyszeptał Billy. Na półokrągłej ścianie za nimi wisiał plakat. Trzech żołnierzy z karabinami i poniżej informacja:

TAG DER WEHRMACHT 17 MARZ 1942 KREIGSWINTERHILFSWERK

Nazwa stacji namalowana była na bardzo dużej metalowej tablicy również przytwierdzonej do ściany: PICCADILLY CIRCUS.

Na peronie zebrał się tłum ludzi, wszyscy w jakichś staroświeckich ubraniach, niektórzy z parasolami, inni z gazetami w rękach lub paczkami. Pomiedzy nimi mężczyźni w mundurach. Niemieckich mundurach. Rozległ się głośny gwizd, na który odpowiedział

podobny od strony czoła pociągu. Tłum rzucił się do przodu, a niewątpliwie brytyjski głos zawołał:

- Proszę zachować odległość, panie i panowie, proszę zachować odległość! Zachować odległość, *meine Herren! Aufpassen der Kluft, bitte!*

- Na sto procent to nie jest Kansas - wyszeptała Finn. Wyraźnie słyszała echo kroków z przejścia za nimi.

- Co robimy? - spytał Billy.

- Wsiadamy do pociągu.

Przyłączyli do tłumu szturmującego wagony, zostali wepchnięci przez otwarte drzwi, które po chwili zasunęły się i pociąg ruszył.

- To jakieś wariactwo - wyszeptał Billy. Dokładnie przed nimi, trzymając się uchwytu, stał mężczyzna w miękkiej czapce i szarym mundurze sierżanta nazistowskiej Landspolizei, zawodowej policji. Trzymał pod pachą egzemplarz *Signal*, niemieckiej wersji magazynu *Life*. Tuż nad nim wisiała reklama Doktora Marchewki, który gwarantował dobre zdrowie, jeśli się będzie dużo jej jadło. Na biodrze sierżanta Landspolizei prezentował się luger w kaburze. Mężczyzna wyglądał na znudzonego.

- Czy udało im się wsiąść? - spytała Finn.

- Nie widziałem.

- Czy wiesz, gdzie jedzie ten pociąg?

- Nie, wiem tylko, że tam gdzie wsiadaliśmy, to nie było żadne cholerne Piccadilly. - Niemiecki policjant wyraźnie im się teraz przyglądał ze zmartwionym wyrazem twarzy. Już miał coś powiedzieć, ale odwrócił się.

- Czuję się niewyraźnie - mruknął Billy. Starał się nie patrzeć na policjanta. Poza reklamą Doktora Marchewki w wagonie wisiał jeszcze jeden plakat. Biało-czarna poważna ilustracja przedstawiała mężczyznę w koszuli z podwiniętymi rękawami, w czapce na głowie i z surowym wyrazem twarzy. Na ramieniu trzymał młot kowalski. Bicepsy miał jak doker. Przesłanie mówiło coś o pomaganiu żołnierzom na froncie, ale było to cokolwiek bez sensu, bo mężczyzna o takim wyglądzie już dawno by tam się znalazł i to na pierwszej linii, chyba że miał jakiś problem z sercem, ale wtedy nie trzymałby na ramieniu młota... Musiał przestać, bo zaczynał się gubić. Finn ścisnęła jego rękę. Pociąg zwalniał.

- Nie odjechaliśmy zbyt daleko - powiedziała.

- Mamy problem - odpowiedział Billy, szturchając ją łokciem. Na końcu wagonu drzwi otworzyły się z trzaskiem. Dwóch mężczyzn o orientalnych twarzach było bez parasoli,

ale za to towarzyszył im trzeci kolega. Jeden z nich, przeciskając się przez tłum ludzi, kulał. Wyglądał na porządnie wściekłego.

- Pieprzyć to! - warknęła Finn. Rzuciła się w ramiona niemieckiego sierżanta, jednym zgrabnym ruchem wyciągając mu z kabury lugera. Pistolet był zdecydowanie zbyt lekki. Nieprawdziwy. Machnęła nim w kierunku prześladowców, a połowa osób w wagonie instynktownie wrzasnęła, padając na podłogę, w tym trzech Azjatów. Pociąg wjechał na rześcicie oświetloną stację. Napis informował: LEICESTER SQUARE.

- To nieprawda - zauważył Billy.

W chwili gdy Finn wyrzuciła lugera, drzwi wagonu rozsunęły się. Położyła obie dłonie na plecach Billy'ego i wypchnęła go na peron.

- Co się dzieje? - Jakiś mężczyzna w słuchawkach na uszach odskoczył w tył, uniknąwszy stratowania. - Kto was tu tak wpuścił? Garderoba! Cholera! Zniszczyli ujęcie. Kto do jasnej cholery...

Wciąż popychając Billy'ego obesza stanowisko kamery, przeskoczyli wąskie prowadnice przygotowane do ujęcia z jazdą, po czym przepchnęli się przez tłum kamerzystów, ludzi od światła, asystentów, pomocników pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, inżynierów dźwięku, montażystów, potrzebnych i tylko takich, którzy chcieli tam być, całą tę zbieraninę, która towarzyszy zawsze kręceniu wysokobudżetowych filmów. Jak było do przewidzenia, ktoś wykrzykiwał wściekłe komentarze, zwyczajne w sytuacji, gdy psuje się bardzo drogą i bardzo wątlą iluzję, z której powstaje kino.

- Nie widzicie, że tu powstaje film?! - Jakby tworzenie fantazji było ważniejsze od wszelkiej beznadziejnej rzeczywistości.

Billy przewrócił stojak z lampą, gorąca kula eksplodowała z hukiem. Finn dostrzegła kątem oka tabliczkę informującą, że znajdują się na planie produkcji filmu *SS-GB* wytwórni DreamWorks na podstawie powieści Lena Deightona. I w jednej chwili wszystko to już było za nimi, wypadli przez szerokie drzwi na normalnie działającą stację Holborn i dotarli do schodów. Przeskakując po dwa stopnie na raz, przepychając się między jadącymi ludźmi, dotarli wreszcie na ulicę High Holborn. Byli prawie w tym samym miejscu, z którego wyruszyli, tuż przy British Museum i biurze Tulkinghorna. Deszcz przestał padać. Nie było śladu goniących ich mężczyzn. Billy podszedł do krawężnika i machnął ręką. Czarna taksówka zahamowała z drażniącym zgrzytem. Wskoczyli do środka, Finn zatrzasnęła drzwi. W chwili gdy taksówka ruszała, Finn ujrzała kulejącego mężczyznę i jego towarzyszy, wynurzających się ze stacji metra. Jeszcze chwila i byłoby za późno.

- Gdzie jedziemy, jeśli wolno spytać? - odezwał się taksówkarz, nie oglądając się.

- Canvey Island - odparł Billy, rozsiadając się na szerokim wygodnym siedzeniu.

- Ależ to jest w cholernym Essex, człowieku! - odparł zaskoczony taksjarsz.

- Zapłacę.

- A żebyś pan wiedział - zgodził się kierowca. - To kawał drogi. Będzie ze trzydzieści kilometrów.

- Raczej koło pięćdziesięciu - westchnął Billy. Kierowca wzruszył ramionami i potężne auto włączyło się w sznur samochodów. Dziesięć minut później wyjeżdżali z Londynu, kierując się wzdłuż Tamizy na wschód w stronę Kanału.

- Co powiedziałaś, zanim zaczęłaś przeklinać po łacinie? - Jeśli dobrze pamiętam, przeklinałem po kornwalijsku -

odparł Billy. - Mówiłem coś na temat kozłów i seksualnych zwyczajów ich matek.

- Co jest na Canvey Island? - spytała Finn.

- Dom - odparł Billy. - *Busted Flush*.

9

Jeśli spytasz przeciętną osobę w Wichita Falls gdzie jest Mariveles, odpowiedzią będzie zapewne bezradne spojrzenie, i nie bez powodu, ponieważ Mariveles zawsze było tam, gdzie diabeł mówi dobranoc lub w samym środku głuszy, w zależności od punktu widzenia. Maleńkie nadbrzeżne miasteczko leży u wejścia do Manila Bay, na północno-zachodnim ramieniu półwyspu porośniętego dżunglą. Port jest głębokowodnym kotwicowiskiem i stanowi jakby podstawę ogromnego, pokrytego lasem stożka wulkanicznego, zazwyczaj okolonego wieńcem zalotnej mgły, który wydaje się oczekiwać na lepsze czasy, jakie nadeszły kilka lat temu dla jego rozplomionego brata, góry Pinatubo, oddalonej o mniej niż pięćdziesiąt mil.

Historyczne Mariveles było niegdyś przystankiem dla statków, które wpływały do zatoki, a słynny chiński pirat Li Ma Hong zatrzymał się tu po jedzenie i wodę przed atakiem na Manilę w 1575. Pod rządami Ferdinanda Marcosa miejsce to przeistoczyło się w coś, co otrzymało nazwę „obszaru ekonomicznego”, a niegdysiejsze miasteczko rybackie ustąpiło miejsca fabrykom, docom i oficjalnie wyglądającym biurom rządowym, które w większości stały puste. Był tam nawet reaktor atomowy, którego nigdy nie udało się uruchomić. Terminal zbożowy też nigdy nie zaczął działać, podobnie jak fabryka płacht polietylenowych. Biorąc pod uwagę upodobanie Imeldy Marcos do luksusowych butów, na ironię zakrawa fakt, że jedną z niewielu fabryk, które przetrwały, była fabryka obuwia sportowego Nike'a. Summa summarum, jeśli Mariveles było z czegoś znane, to z tego, że stąd właśnie w 1942 roku

wyruszył batański marsz śmierci, jak również jako miejsce, gdzie produkuje się piłki tenisowe dla Wimbledonu. Rzekomo pierwszorzędne miasto, liczące mniej więcej 75 000 obywateli, tak naprawdę mieściło prawie dwa razy tyle ludności, w większości bezrobotnych i żyjących w slumsach na dalekim zachodnim brzegu z dala od granic „strefy ekonomicznej”. Wielokulturowe portowe miasto, pełne imigrantów z jeszcze biedniejszych zakątków świata, gdzie nadzieja jest artykułem rzadszym niż praca. Ulubioną rozrywką na Mariveles jest spożywanie *shabu*, filipińskiej wersji metamfetaminy, pichconej masowo w nielegalnych, łatwo wybuchających fabryczkach na terenach dzikich gett.

Z miejsca, w którym siedział, czyli z baru na świeżym powietrzu tuż przy plaży, Briney Hanson widział kawałek dalej staroświeckie dźwigi, które pracowały przy *Batavia Queen* w starych dokach Mariveles. Przy opłatach za stanowisko kotwiczne sama Manila była dla starej *Queen* o wiele za droga, mieli więc i tak szczęście, że udało im się podłapać w ogóle jakiś ładunek w Mariveles: spady bananowe i skrobiową mączkę maniokową na paszę dla zwierząt, co oznaczało, że *Queen* będzie śmierdzieć przez całą drogę aż do Singapuru.

Tam rozładują banany i załadują elektronikę, następnie z paszą dla zwierząt udadzą się do Rangunu. Ostatni krok to przewiezienie elektroniki do Madrasu czy - jak nazywało się obecnie to miejsce - Chennai, miejscowości gotowej wchłonąć wszystko od odbiorników radiowych do gadających miśków. A potem, któż to wie. Ale póki co, on i *Queen* byli wciąż w Bataan.

Hanson pociągnął porządny łyk z długiej szyjki litrowej butelki Red Horse'a i zagryzł kawałkiem wołowiny na ostro. Następnie sięgnął po kawałek chrupiącego kalmara z ryżem i znowu popił mocnym bursztynowym pilsnerem. Mariveles mogło mieć najbardziej skorumpowany zarząd miejski na całych Filipinach, ale żarcie było tu znakomite.

Cały ranek spędził ze swoim starym przyjacielem, doktorem Nemesio Zobel-Ayala, miejscowym lekarzem specjalizującym się w aborcjach, lekarzem portowym, szwagrem burmistrza i człowiekiem wszechstronnie utalentowanym. Jeśli ktoś nie odpalił działki Ayali, gorzko tego później żałował, w nagrodę nie mógł przez dobry miesiąc pracować, a gdyby próbował postawić nogę na brzegu, dostałby niezłe cięgi.

Hanson przełknął niesmak i jak zwykle odgrywał dobrego kumpla, siedząc z tym cwaniaczkim w jego dusznym biurze w dokach, położonym tuż nad burdelem na godziny, przyglądając się, jak ten wlewał w siebie kolejne kieliszki Napoleona Quince pędzonego z pigwy, i słuchał niekończącej się opowieści o podbojach w La Zona, gdzie kobiety i dziewczęta, w przeważającej mierze miejscowe, niektóre nie ukończyły jeszcze dwunastu lat,

uprawiały najstarszą profesję świata w małych pomieszczeniach rozdzielonych kotarami, obsługując marynarzy i robotników z tych niewielu fabryk, które pozostały w Mariveles.

Zobel-Ayala opanował wszystkie możliwe dziedziny; nie tylko był alfonsem dla połowy dziewcząt z La Zona, ale również urzędnikiem odpowiadającym za zdrowie publiczne w Mariveles, a jeszcze dorabiał na boku, sprzedając dostarczane przez rząd antybiotyki z najwyższym możliwym przebicciem.

Doktor miał wielkie plany, a większość z nich zakładała, że pewnego dnia osiadzie w Ameryce, ale Hanson uważał, że bardziej prawdopodobne jest, iż obleśny skurczybyk wylądaje pod jakimś moło w Mariveles z przeciętym gardłem: albo zrobi to jedna z jego panienek, albo któryś z konkurentów z Kuratong Baleleng lub Pentagonu; jedni i drudzy włożyli duże pieniądze w fabryczki *shabu*, szmuglowanego następnie przez nich na inne wyspy.

Hanson zjadł wszystko do czysta, popił Red Horse'a i rzucił na kontuar kilka zmiętych banknotów. Zsunął się ze staroświeckiego stołka z chromowanej stali, beknął z zadowoleniem i ruszył ścieżką wyłożoną połamanym koralem w stronę doku. Panował zwalający z nóg upał, Hanson czuł, jak wysącza się z niego piwo, pot spływał mu po karku spod starej kapitańskiej czapki.

Słońce lśniące na złamanych falach przybrzeżnych było tak mocne, że nawet mimo przeciwsłonecznych okularów musiał mrużyć oczy. Wiedział, że jak wszystko w tej części świata, pogoda także mogła się odmienić w mgnieniu oka, przynosząc szalejący monsun, zdolny przemienić port w zaczarowany kocioł, w którym *Queen* byłaby niczym piłka rzucona na plaży, ale na razie czuł się niczym zamknięty w piekarniku z zepsutym termostatem.

Posiłek w portowym barze i kilka minut we własnym towarzystwie było miłą odmianą po poranku z obleśnym doktorkiem, ale droga pomiędzy rozpadającymi się burdelami i zaśmieconymi sklepikami jak obuchem sprowadziła go na ziemię, znowu zdał sobie sprawę, że smród rozkładającej się starej ropy, smołowanych pali i nieżywych ryb pływających przy brzegu jest smrodem jego własnej przyszłości. Nieskończona wędrówka po niebezpiecznych morzach, by przewieźć jakiś towar to w jedną, to w drugą stronę - takie życie nie było dla nikogo. Jeśli coś się szybko nie zmieni...

Hanson zobaczył, że żuraw nabrzeżny pracuje, przesuując wysięgnik nad ogromne dwustukilowe worki z maniokiem, związane liną. Na pokładzie Elisha Santoro, jego pierwszy mat, nadzorował Konga i kilku wynajętych Filipińczyków. Pomocnicy mieli tylko *bahäg*, przepaski na biodra, Eli zaś džinsy i podkoszulek z napisem: GRATEFUL DEAD. Jedynym,

co na pokładzie *Batavii Queen* kojarzyło się z mundurem, był przybrudzony złoty zdobny sznur na zniszczonej czapce Hansona.

Spoglądał na nabrzeże ze zmarszczonym czołem. Banany miały być dostarczone dopiero następnego dnia, ale na nabrzeżu przeładunkowym leżał stos drewnianych skrzyń, a obok stała czterotonowa ciężarówka Mitsubishi. Banany pakowano w jutowe worki, podobnie jak maniok, nie w drewniane skrzynie. Co dziwniejsze, Zobel-Ayala nie wspomniał ani słowem o nowym ładunku, a on powinien wiedzieć pierwszy, bo każde zezwolenie portowe musiało przejść przez jego biuro.

Kiedy Hanson podszedł bliżej, od strony pasażera z szoferki ciężarówki wysiadł mężczyzna i stanął koło sterty skrzyń. Hanson zauważył na skrzynkach znajome logo Slazenger przedstawiające tygrysa w ataku. Mężczyzna z ciężarówki zrobił krok do przodu. Był mniej więcej czterdziestoletni, sflaczały, ubrany w doskonale skrojony i oślepiająco biały garnitur, który prawie ukrywał jego brzuch. Miał małe stopy i małe dłonie. Nosił lśniąco czarne skórzane buty, na różowych palcach miał zbyt wiele pierścieni.

Całość zwieńczona była równie białym jak garnitur kapeluszem typu borsalino z liści palmy. Nosił ów tradycyjny kapelusz z wymuszoną obojętnością charakterystyczną dla ludzi łytych, nieco na bakier, ale jakoś się wiedziało, że pod spodem nie ma włosów. Oczy zasłaniały nieco kobiece z wyglądu okulary Fendi Sellerias. Twarz miał ogoloną, a wokół w rozgrzanym powietrzu roznosił się delikatny pudrowy zapach drogiej wody kolońskiej. Grube wargi rozchyłały się w uśmiechu, ukazując doskonałe, lśniąco zęby. Ze swoimi stu sześćdziesięcioma czterema centymetrami powinien wyglądać delikatnie, raczej niewinnie. Ale on wyglądał groźnie.

- Kapitan Hanson? - zapytał. Miał ledwo wyczuwalny, hiszpański arystokratyczny akcent.

- Tak?

- Nazywam się Lazlo Aragas. - Uśmiech poszerzył się.

- Przyjaciele nazywają mnie Lazzy.

Hanson skinął głową. Odezwać się do faceta „Lazzy” oznaczałoby zaprosić go do wbicia ci druta od robótek w oko. - Panie Aragas. Co mogę dla pana zrobić?

- Ta sprawa dotyczy czegoś, co możemy zrobić sobie wzajemnie, kapitanie Hanson.

- W takim razie, co takiego możemy zrobić dla siebie nawzajem?

- Mam ładunek, który trzeba przewieźć do Singapuru

- powiedział tamten. - Jak rozumiem, pan płynie właśnie w tamtą stronę.

- Ładunek czego? - zapytał Hanson.

Aragas machnął upięścienioną ręką gdzieś w stronę skrzyń.

- Piłki, kapitanie, chcę przesłać do Singapuru piłki.

- Tenisowe?

- Właśnie. Dokładnie mówiąc - piłki typu Wimbledon.

Trzy rzeczy się nie zgadzały. Po pierwsze, piłki Wimbledon co prawda produkowano w fabryce w Mariveles, ale potem wysyłano ze specjalnego terminalu na molo 15 w Manili. Po drugie, pakowano je po sześć tuzinów w kartonowe pudła owinięte plastikowymi taśmami po dwanaście i pakowano do kontenerów, nie żadnych drewnianych skrzynek. A po trzecie, nie było takiej możliwości, żeby Slazenger przewoził coś na *Batavia Queen* ani żadnym podobnym do niej strupieszalym parowcu.

- Widzę - skinął głową Hanson.

- Naprawdę, kapitanie?

- Wydaje mi się, że tak - odparł powoli.

- A co właściwie pan widzi?

- Widzę drewniane skrzynki dokładnie oznaczone kotkami Slazengera.

- Pełne tenisowych piłek - uzupełnił z uśmiechem mężczyzna w jasnym garniturze.

- Jeśli pan tak twierdzi.

- Owszem. - Uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

- Czy doktor Zobel-Ayala wie o tych piłkach? - zapytał spokojnie Hanson.

Aragas roześmiał się. Jego śmiech przypominał ujadanie wyjątkowo wściekłego psa.

- *Zobel-Ayala tiene el famban barretoso* - powiedział miłym głosem. - Gdyby nie robił tego, co mu się mówi, użyję nogi albo czegoś boleśniejszego.

- Ale co to właściwie ma wspólnego ze mną? - spytał ostrożnie Hanson. Jeśli Aragas omijał *ElAbortista*, oznaczało to, że obaj stąpają po grząskim gruncie.

- Potrzebuję spedytora. I pan się napatoczył.

- Ale pan ze swoimi piłkami nie jesteście na moim liście przewozowym.

- To będzie osobny ładunek. Tylko do pańskiej wiadomości, mojej i kapitana.

- Zobelowi-Ayala to się nie spodoba.

- On zrobi to, co mu się powie.

- Być może, panie Aragas, ale ja muszę tu potem wrócić. Pan może go sobie kopnąć w wielki tłusty tyłek, ale ja chyba nie jestem, że tak powiem, w takiej samej pozycji.

- To już nie pańska sprawa, kapitanie. Pańską sprawą jest załadować mój towar i to jak się najszybciej da. - W jego słowach dźwięczał lód.

- A jak wytłumaczyć ten przewóz przedstawicielowi w Singapurze?

- Nie będzie pan nic tłumaczył.

- A jak to się da zrobić?

- Tuż przed Sentosą okaże się, że ma pan drobny problem z silnikiem. Naprawa zabierze górę godzinę, dwie. Tam motorówka odbierze od pana moje piłki.

Wyspa Sentosa była dawną wioską rybacką przekształconą w wysokiej klasy kurort niedaleko singapurskiego portu.

- A co z cłem i innymi kontrolami?

- Załatwione. - Znowu *mordida*. Filipińczycy uczynili z tego przez czterysta lat prawdziwą sztukę.

- A co ja będę miał za ten cały kłopot? - spytał donośnie Hanson.

- To - odparł Aragas. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął, zgodnie z przewidywaniami, kopertę. Grubą na mniej więcej pół cala. - Dla wygody w euro. - Dawniej płacono raczej dolarami amerykańskimi, ale to już przeszłość. - Dwadzieścia pięć tysięcy.

Jakieś trzydzieści trzy tysiące dolarów, w zależności od kursu dnia. To nie miało wielkiego znaczenia. Miało natomiast, że skończyły się pozory. Nie płaci się tyle kasy za przewiezienie paruset skrzynek z piłkami do tenisa. To był niewątpliwie najtrudniejszy moment; jeśli Aragas mógł pozwolić sobie na ominięcie Zobela-Ayala, musiał być silnie umocowany. Hanson natomiast mógł odrzucić propozycję i pewnie nieźle oberwać. Z drugiej strony, jeśli weźmie kopertę i coś po drodze się schrzani, może wylądować na resztę życia w pierdłu - a to żadną miarą nie była miła myśl.

Został złapany w pułapkę. Ma przechlapane, jeśli się zgodzi, i równie przechlapane, jeśli się nie zgodzi, stał w palącym słońcu i nie widział żadnego wyjścia. Wziął kopertę od Aragasa, złożył ją na pół i wsunął do tylnej kieszeni spodni.

- Bardzo dobrze - powiedział Aragas; zabrzmiało to jakby przemawiał do psa, który jest szkolony, żeby przewracać się na grzbiet i udawać martwego. - Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan załadował towar tak szybko jak się tylko da, wszyscy wiemy, że tu się aż roi od złodziejasków.

Wszystko, co nie zostało przybite, postrzegane było jako potencjalna zdobycz, jednak Hanson miał nieodparte wrażenie, że Aragas mógłby zostawić swoje skrzynki tam, gdzie są, na jak długo by chciał, a miejscowi obchodziliby je z daleka jak zarazę.

- Nie ma problemu - odpowiedział Hanson. Podniósł wzrok i zobaczył Elishę Santoro niedbale opartego o reling i przyglądającego im się. Wiedział, że Elishy wcale a wcale nie będzie się to podobało.

- Dobrze - powiedział Aragas. - Cieszę się, że osiągnęliśmy porozumienie w tej sprawie. Kiedy już załadujecie skrzynie, proszę je tak umieścić, by mogły być błyskawicznie wyładowane. Wrócę o dziewiętnastej.

- Wrócę? - powtórzył zaskoczony Hanson.

- Nie wspominałem o tym? - powiedział Aragas. - Popłynę razem z towarem do Singapuru. - Przyłożył dwa palce do ronda kapelusza, oddając Hansonowi przelotny salut, i wdrapał się na ciężarówkę. Silnik mitsubishi zaskoczył, a po chwili samochód już wyjeżdżał z doków. Hanson patrzył za nim, czując, że koperta w kieszeni uwiera go niczym guz.

Eli Santoro zszedł po kładce na molo. Przez chwilę przyglądał się skrzynkom, potem odwrócił się w stronę Hansona.

- O co chodzi? Nowy towar?

Właściwie nie było to pytanie. Eli widział Aragasa i widział kopertę. Był młody, ale nie był głupi.

- Coś w tym rodzaju - odparł Hanson.

- Szefie, mamy kłopoty.

- Możliwe. - Hanson popatrzył na swego pierwszego mata. Elisha Santoro był, jak każdy na *Batavia Queen*, wyrzutkiem. Dwadzieścia osiem lat, najmłodszy na statku, miał za sobą trzy lata w marynarce Stanów Zjednoczonych, w Akademii Marynarki Handlowej doszedł do stopnia pierwszego oficera, a potem jeszcze służył w morskiej straży granicznej na Guam. Następnie w wypadku podczas grilla zorganizowanego w bazie stracił jedno oko, a to gwałtownie zakończyło jego karierę, anulowało papiery oficerskie i zabrało szansę, by kiedykolwiek został kapitanem. Jako dwudziestopięciolatek Santoro nie miał celu, był załamany i bez pracy, a wszystkie jego nadzieje i marzenia związane z morzem legły w gruzach.

Hanson spotkał go, kiedy obijał się między wyspami wokół Hongkongu, gdzie pracował na czarterowanych jachtach. Po dwóch butelkach Dragon's Back i obejrzeniu papierów zatrudnił go, nie przejmując się brakiem jednego oka. To było prawie trzy lata temu i przez ten czas Hanson ani razu nie żałował swojej decyzji.

- Co robimy? - zapytał Eli.

- Tak czy siak jesteśmy załatwieni - westchnął Hanson. - Załaduj piłki tenisowe. I policz je, żebyśmy mogli pozbyć się ich jak najszybciej.

- Jak myślisz, co w nich jest?

- Nie chcę wiedzieć, i ty także nie chcesz. - W głosie kapitana brzmiało ostrzeżenie. - A facet w stroju lodziarza wybiera się z nami, więc uważaj.

- Mamy jeszcze jeden problem.

- Co znowu? - jęknął Hanson. Jakby dzień nie był już wystarczająco zły. Eli podał mu żółty papier, który wyciągnął z kieszeni koszulki. Telegram. Jak każdy na pokładzie *Queen*, młody człowiek spełniał kilka ról, będąc jednocześnie pierwszym oficerem, pierwszym matem i kwatermistrzem oraz radiooficerem.

- Wiadomość od firmy. *Queen* została sprzedana. Kto jest nowym właścicielem, dowiemy się w Singapurze.

10

Busted Flush przecinał przez trzy i pół dnia Morze Północne, kierując się w stronę Holandii; przy pięknej pogodzie przepłynęli kanał i dotarli do Den Helder. Trzeciej nocy pokonali zdradliwe wiry silnego przypływu przy Marsdeip, by wreszcie wylądować w dawnej zatoce Morza Północnego, Zuiderzee, obecnie jeziorze IJsselmeer. Noc spędzili, odpoczywając na spokojnych wodach, zasłonięci ogromną tamą, a następnego dnia rano pomknęli w lśniącym słońcu pod pełnymi żaglami w stronę nadmorskiej miejscowości Durgerdam. Znajdowało się tam wszystko, czego potrzebowali, od w pełni wyposażonej mariny po przystanek autobusu, który zabrał ich do Amsterdamu, mającego na horyzoncie i położonego w odległości zaledwie kilku mil.

Dla Finn, spiętej i zmęczonej po przeżyciach londyńskich, żeglowanie było czystą radością. *Flush* okazał się szkunerem długości osiemnastu metrów z ożaglowaniem gaflowym, napędzanym sześciocyndrowym silnikiem Diesla typu Sealord North Sea, zdolnym pod pełnymi żaglami osiągać prędkość dwunastu węzłów. Wnętrze miał przytulne niczym chata z bali: dwie wygodne kabiny, niewielki salon i dobrze wyposażoną kuchnię. Billy mówił, że został zbudowany prawie pięćdziesiąt lat temu w Oregon jako *Sitkin*, potem pływał w Chile i Południowej Afryce jako *San Lourenco*. Wreszcie wylądował w Anglii, gdzie woził turystów wzdłuż wybrzeży Szkocji. Wtedy znany był jako *Sandpiper*. Billy był jego właścicielem od prawie ośmiu lat.

- Sprawilem go sobie jako prezent po tych wszystkich latach w szkole - powiedział jej.

- Może powinienem był go nazwać *Absolwent*.

Z jego słów wynikało, że traktował łódź jak najlepszego przyjaciela, a gdy kierował zielony kadłub w stronę niewielkiej zatoki, widać było, że uczucie, jakim darzył nieco przysadzistą łódź, niewiele się różniło od miłości.

Przeszli przez kontrolę graniczną w Den Helder i formalności dotyczące miejsca postojowego na marinie, na które składała się jedynie rejestracja i opłata minimum za trzy

dni. Po tym wszystkim ruszyli drogą na grobli, która wydawała się jedyną uliczką w tym mieście. Dawnymi czasy była to wioska rybacka, gdzie przy usypanej z gliny i ziemi tamie stał rząd małych kutrów, ale flota rybacka zniknęła stąd już dawno temu, w momencie gdy powstała ogromna zapora rozdzielająca wody Zuiderzee na słoną i słodką. Teraz łodzie stojące wzdłuż *Durgerdammerdijk* służyły głównie wycieczkowiczom albo były uroczymi domkami żeglarskimi, czy nawet letnimi hotelikami typu łóżko i śniadanie.

- Wszystko mi się trochę kiwa - powiedziała Finn. Był jasny i rześki poranek. Mimo że spędziła na morzu niecałe cztery dni, zyskała umiejętność chodzenia jak rasowy marynarz i miała wrażenie, że grobla chwieje się pod jej nogami, a horyzont kołysze.

- Ale nie miałas w ogóle choroby morskiej - uśmiechnął się szeroko Billy. - Jeszcze zrobię z ciebie żeglarza.

Finn odpowiedziała mu uśmiechem. Fizycznie czuła się fantastycznie, skóra jej leciutko zbrązowiała, a długie włosy pachniały morskim powietrzem. Pierwszy raz od miesięcy cieszył ją tak prosty akt jak oddychanie. Londyn był pod tym względem jeszcze gorszy niż Nowy York, czuła się w nim tak, jakby wypalała dziennie tuzin cygar, nieraz drobinki brudu wpadały jej między zęby. Teraz odetchnęła pełną piersią. Małe miasteczko pachniało świeżo ściętym sianem i morzem. Za domami widać było prawdziwy holenderski młyn, którego skrzydła obracały się wolno. Nagle poczuła potworne ssanie w żołądku.

- Umieram z głodu - oświadczyła.

W połowie grobli znaleźli motelik o nazwie *Oude Taveerne*. Prosty, oszalowany na biało budynek odcinał się od reszty, dużo większy niż przytulone do niego z boków domki. Po jednej stronie znajdowało się patio z kilkoma stolikami, nad którymi rozpościerały się parasole z logo Heinekena. Najwyraźniej do hotelu należały też piknikowe stoliki stojące na trawniku po drugiej stronie nasypu, tuż przy doku. *Oude Taveerne* wyglądała, jakby kiedyś był to sklepik lub może skład zamożnego handlarza, który prowadził interes tuż przy domu. Jedynym większym budynkiem w miasteczku był siedemnastowieczny ratusz z wieżą krytą kopułą.

- Czuję naleśniki - powiedział Billy.

- Kiełbaski - uznała Finn. - Jedne i drugie - podsumował.

Weszli do środka. Poczuli się tak, jakby wkroczyli do rajy bibelotów. Rzeczy zwisały z ciemnych belek niskiego sufitu, ściany obwieszane były przedmiotami. Kubki, obrazki, zdjęcia, niedokończone modele statków, kapsle, dziecięce obrazki, koronki ukryte za szkłem, statki w butelkach, porcelanowe naparstki... niepoliczalne mnóstwo eksponatów.

Stoły poustawiane jeden za drugim okryte były obrusami, na których leżały podkładowki pod talerze oraz złożone czerwone serwetki. Słońce świeciło mocno przez okna oświetlając różnorodne wzory na tapecie, pełne postaci i ozdób, oraz stare malowidło ściennie, przedstawiające kutry rybackie.

Kilku miejscowych mężczyzn siedziało przy długim, pustym stole czytając gazety, które brali z dużego, stojącego przed nimi kosza, ale poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo.

Pulchna kobieta o rumianych policzkach, w fartuszkach z zadrukowanego perkalu przedstawiła się nienaganną angielszczyzną jako Velde, podała im karty, po czym przyjęła zamówienie. Poinformowała ich, że *Oude Taveerne* stoi w tym miejscu od 1760 roku i że niegdyś miejsce to nosiło nazwę *Prins te Paard*, co po prostu oznacza Księcia na Koniu.

Kilka minut później wróciła z jedzeniem na dużej tacy, którą niosła, swobodnie balansując potężnym ramieniem. Coś, co nosiło nazwę *uitsmijter* dla Finn, okazało się jajecznicą na szynce z serem, zaś *gevulde pannekoek* dla Billy'ego było dwoma dużymi naleśnikami złożonymi razem jak warstwy ciasta z mięsem parówek w środku. Ilość kalorii i cholesterolu w obu daniach przyprawiłaby każdego szanującego się kardiologa o zawał serca. Innymi słowy, oba posiłki okazały się właśnie tym, co pan doktor zamówił.

- Dobry Boże - wysapał Billy, rozsiadając się wygodnie na swoim krześle. - Wybacz mi, bo zgrzeszyłem. - Uśmiechnął się. - Dwa lata w kieracie, żeby to odpracować.

- Lepsze to niż śmierć głodowa - odparła Finn i upiła przepysznej kawy, którą Velden właśnie przed nimi postawiła. - I tak mamy szczęście, że udało nam się dożyć tej chwili.

- Prawie o tym zapomniałem. - Spochmurniał.

- Ja też - skinęła głową Finn. - W takich chwilach tracimy czujność.

- Pewnie masz rację - przytaknął. - Ludzie, na których się wtedy natknęliśmy, ot tak sobie nie znikną. - Potrząsnął głową. - Wiem, roztrząsaliśmy już to tyle razy, ale wciąż nie rozumiem, co chcieli uzyskać.

- Przychodzi mi na myśl morderstwo - odparła Finn.

- W ten sposób chcieli się nas pozbyć.

- Ale dlaczego?

- Jeśli nie ma to jakiegoś związku z twoją przeszłością, o czym nie chcesz mi powiedzieć, musi mieć związek z obrazem.

- W takim razie przyznaję, że przez te wszystkie lata prowadziłem podwójne życie - odchrząknął Billy. - Tak naprawdę jestem estońskim szpiegiem w przebraniu biednego

angielskiego lorda o idiotycznym rodowodzie sięgającym wstecz do Boudiki, królowej krwawych Icenów.

- W takim razie chodzi o obraz.

- Ale nawet go ze sobą nie mamy. - Billy wzruszył ramionami.

- A co myślisz o tej... historii Pietera Boegarta, mojego drogiego nieżyjącego już kuzyna, a twojego... taty.

- On nie był moim tatą - odpowiedziała sztywno Finn.

- I nie jestem pewna, czy ta „historia”, jak ją nazywasz, ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Może chodzi im o ciebie, nie o obraz.

- Gdyby chcieli mnie zabić, nie musieliby tego robić przed Courtauld. Nie sądzisz, że zgarnięcie mnie z Crouch End byłoby nieco bardziej dyskretne?

- To samo dotyczy mnie, zawsze mnie mogli dorwać na mojej starej dobrej łajbie - zgodził się Billy.

Finn skinęła głową.

- Co doprowadza nas do początku. Obraz. Ostatnim razem, kiedy mały Rembrandt trafił na aukcję, został sprzedany za dziewiętnaście milionów funtów. Trzydzieści sześć milionów dolarów. Za taką sumę można zabić.

- Coś mi przyszło na myśl - powiedział Billy, pochylając się do przodu i odsuwając talerz. Ustawił w jednym rzędku solniczkę, młynek do pieprzu i cukiernicę. - Instrukcje Pietera Boegarta dla sir Jamesa. W liście znalazły się dwa warunki: mamy być razem i odebrać trzy obiekty: obraz, dom oraz *Batavia Queen*. Wszystkie muszą być ze sobą powiązane.

- Tropy?

- Nie, raczej coś takiego jak zabawa w zająca i psa. Znacie to w Ameryce?

- Podchody - powiedziała Finn.

- Właśnie.

- Więc myślisz, że Pieter Boegart jest zającem, a my psami, tak?

- A obraz jest przynętą, tropem, podobnie jak dom.

- A co na końcu?

- Złapanie zająca.

- Innymi słowy, znalezienie Pietera Boegarta - powiedziała Finn.

- Albo czegoś, czego on szuka - zgodził się Billy.

Będąc jeszcze w *Oude Taveerne* wykonali dwa telefony, jeden do prawnika w Amsterdamie, który - jak powiedział im Tulkinghorn - zajmował się sprawą domu, i drugi do doktora Schneegartena w Courtauld. Dziwnego starszego pana z Somerset House nie zastali, najwyraźniej siedział w czytelni British Museum, za to prawnik, mężczyzna nazwiskiem Guido Derlagen, był u siebie w biurze i mógł się z nimi spotkać niezwłocznie.

Okazało się, że biuro Derlagena znajduje się w nowoczesnym budynku przy Rokin, szerokim bulwarze odchodzącym od Dam, głównego placu Amsterdamu, jakieś dziesięć minut drogi od stacji głównej i doków. Na Rokin poza sklepami i kawiarniami mieściły się tylko banki, biura maklerskie i kancelarie prawne. To była holenderska Wall Street. Chodnikami tłoczyli się turyści, a jezdnia w jedną i drugą stronę pełna była samochodów. Całe miasto robiło wrażenie, jakby uwijało się w pośpiechu.

Derlagen był mężczyzną w średnim wieku, dobrze ubranym, z gładko ogoloną, nieco gruzłowatą czaszką. Po angielsku mówił bezbłędnie. Okazał się jednym z prawników, którzy opiekowali się spółką morską Boegart w Holandii. Derlagen był członkiem zespołu adwokackiego zajmującego się wyborem funduszy dla poszczególnych członków rodziny Boegartów, w tym przypadku Pietera Boegarta. Biuro było średniej wielkości, jego okna wychodziły na ruchliwą ulicę. Finn widziała żółty tramwaj, który skrzypiąc, jechał po torach zagłębionych w starym ceglany podłożu, poprzez trzepoczące liście drzew, którymi wysadzony był bulwar, przebijała jaskrawa żółć i czerwień szyldu chińskiej restauracji.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, umeblowane było oszczędnie i nowocześnie. Rolę biurka odgrywała płyta z hartowanego szkła na chromowanych nogach. Na niej stał tylko płaski ekran komputera, nic więcej. Dywan w paski, rząd szaf na akta i dwa fotele obite czarną skórą. Ściany puste, białe, niczym nieozdobione.

Finn i Billy usiedli.

- Przyszliście tu państwo w sprawie domu przy Herengracht - odezwał się prawnik z silnym południowoafrykańskim akcentem, w czym nie było nic dziwnego, jako że pierwsi Burowie mieli korzenie holenderskie. Nacisnął kilka klawiszy i zerknął na ekran komputera. - Informacja o tej transakcji bardzo nas tu w firmie zdziwiła, ponieważ dom ten należał do rodziny Van Boegart od momentu, kiedy został zbudowany w 1685.

- Jestem członkiem rodziny - odparł Billy. - Pieter Boegart jest moim kuzynem czy kimś takim.

- Owszem, kimś takim, to się zgadza, lordzie Pilgrim.

- Proszę mówić mi po prostu Billy, jeśli to panu nie przeszkadza, lub, jeśli pan tak woli, panie Pilgrim.

- Oczywiście, lordzie Pilgrim. - Mężczyzna zwrócił się w stronę Finn. - Jednak pani związek z *meneerem* Boegartem jest mniej oczywisty.

- Rzeczywiście. - Nie podobał jej się oficjalny, nieco protekcyjny sposób mówienia mężczyzny. - Ale z tego, co przekazał nam sir James, wynikało, że wszystko jest w porządku, prawda?

- Tak, wydaje się, że jest - mruknął mężczyzna, kolejny raz sprawdzając coś na ekranie komputera.

- W takim razie - dokończyła Finn - może byśmy kontynuowali, chyba że ma pan jakieś obiekcje... Guido. - Wymówiła jego imię z silnie włoskim akcentem.

Mężczyzna poczerwieniał.

- Mojego imienia się nie wymawia w ten sposób. Raczej tak, jakby pani mówiła nazwisko van Gogh.

- *Van Hhok* - powtórzyła gardłowo Finn. Dawało to taki efekt, jakby przygotowywała się do splunięcia na chodnik.

- Właśnie - powiedział sztywno prawnik.

- To znaczy, że ma pan na imię Hogweedo czyli „Barszcz”, czyż nie? - dodał Billy, okraszając wypowiedź niewinnym uśmiechem.

Derlagen poczerwieniał jeszcze bardziej, zdając sobie sprawę, że go prowokują.

- To, jak wymawia się moje imię, nie ma znaczenia - odparł poirytowany.

- Ma pan rację, to bez znaczenia, podobnie jak moje związki z Pieterem Boegartem, może więc byśmy przeszli do podpisania papierów i miałby nas pan z głowy? - spytała Finn.

- Oczywiście - odparł Derlagen. Podniósł się zza biurka i wyszedł z pokoju.

- Pokonany - uśmiechnął się Billy. - Miałem dokładnie takich profesorów w Oksfordzie. Kiedy coś nie szło po ich myśli, zawsze mieli wyraz twarzy, jakby przegrali bitwę.

- Albo jakby ktoś uszczypnął ich w tyłek - dodała Finn.

- Trafne.

Derlagen wrócił z teczką pełną dokumentów i małym, obitym skórą pudełkiem. Złożyli podpisy na papierach, które czyniły ich jedynymi akcjonariuszami właśnie utworzonej królewskiej holenderskiej korporacji z siedzibą poza granicami kraju, nazwanej *Vliegende Draeck* LLC - The Flying Dragon Company. Jedynymi aktywami Latającego Smoka były: obraz, który już otrzymali, dom w Amsterdamie przy Herengracht, bardzo stary frachtowiec, który powinien dawno już pójść na złom i szmat całkowicie niedostępnej, zamieszkaney przez węże dżungli, gdzieś w środku bezimiennej wyspy na morzu Sulu, między 7 stopniem

szerokości północnej i 118 południowej. Podpisawszy dokumenty, Finn i Billy uzyskali prawo fizycznego przejścia aktywów, na co otrzymali limit czasowy. Niedotrzymanie go skutkowało utratą wszystkich dóbr, w tym również tych, które już były w ich posiadaniu.

- Chce nam pan powiedzieć, że jeśli nie dotrzemy do tego niedostępnego, zamieszkanego przez węże miejsca, na nienazwanej wyspie, to stracimy wszystko? - spytała Finn.

- Właśnie - odparł Derlagen uśmiechając się po raz pierwszy. Nie był to przyjazny uśmiech.

- No cóż - stwierdził beztrąsko Billy. - Nie mam w tej chwili nic innego do roboty, panno Ryan, a pani?

- Jeśli ty w to wchodzisz, to ja także, Billy. Prawnik skrzywił się, jakby ssał cytrynę.

- Jak państwo sobie życzą - powiedział.

Podpisali. Derlagen wyszedł, żeby zrobić kopie podpisanej umowy i certyfikatów potwierdzających ich własność.

- Nie może być bardzo wysoko w hierarchii dziobania - stwierdziła Finn. - Nie ma nawet sekretarki.

- Tak bardzo czuję się prezesem korporacji. Może postawię nam lancz - stwierdził Billy.

- Dopiero co jedliśmy śniadanie i zdradź mi, jak zdążyłeś się stać prezesem?

- OK, ty będziesz dyrektorem zarządzającym, a ja staroświeckim prezesem rady nadzorczej, powołanym wyłącznie ze względu na moje pochodzenie, żeby mój herb mógł pojawić się na kremowym papierze listowym, a mój portret wisieć w sali posiedzeń.

- Ale z ciebie głuptas - stwierdziła Finn.

Derlagen wrócił z papierami. Włożył je do grubej koperty, którą wręczył Billy'emu, a ten z kolei przekazał ją Finn.

- Ona jest dyrektorem zarządzającym - wyjaśnił obojętnie. - Ja tylko szefuję radzie nadzorczej. - Derlagen wyglądał na nieco zmieszanego. Ze zmarszczonym czołem otworzył pudełko. Wewnątrz leżał klucz przypominający grubszą kostkę do gitary oraz delikatna dwucentymetrowa figurka mężczyzny na koniu. Dla patrzących było oczywiste, że jest ona bardzo stara. Równie oczywiste było, że wykonano ją z litego złota.

- Pochodzi z Mali - wyjaśnił Derlagen. - Eksperci z Rijksmuseum twierdzą, że powstała w okresie rządów Mansy Musa, który najpewniej był królem Timbaktu.

- Jaka piękna - powiedziała Finn, obracając ją w dłoni. - Ale co ma wspólnego z nami?

- *Meneer* Boegart pozostawił ją na przechowanie w naszym skarbcu. Została zakupiona od handlarza antyków nazwiskiem Osterman na Labuan, niedaleko Sultanatu Brunei, ostatniego miejsca, gdzie widziano *meneera* Boegarta. Zgodnie ze słowami tegoż Ostermana, ta złota figurka miała być oddana pani, w przypadku gdyby on... zaginął. Jest przeznaczona właśnie dla pani, *vrouwe* Ryan. Pozostałe dwa przedmioty to klucz od frontowych drzwi domu i urządzenie do wyłączania systemu alarmowego. Panel jest po prawej od wejścia. Proszę po prostu włożyć węższy koniec kostki w odpowiednie miejsce i przycisnąć. Światelko powinno zaświecić się na zielono. Wszystko inne jest automatyczne. Raz na tydzień, w środy rano na trzy godziny, przychodzi osoba zajmująca się sprzątaniami. Jeśli jest jeszcze coś, co chcielibyście państwo wiedzieć, pozostaję oczywiście do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. - W jego głosie próżno by doszukiwać się zachęty. Przemawiał dalej monotonnym głosem. - Zgodnie z dokumentami, nie wolno wam sprzedać ani domu, ani niczego, co się w nim znajduje, przynajmniej przez dwanaście miesięcy, a gdybyście chcieli to zrobić, Fundusz Powierniczy Rodziny Boegartów ma prawo pierwokupu, co oznacza...

- Wiem, co to oznacza - powiedział Billy.

- W takim razie to chyba wszystko... - Derlagen zawiesił głos. Podnosząc się, odsunął krzesło. Wizyta była zakończona. Finn ostrożnie odłożyła złotą figurkę do pudełka, które wsunęła do torebki.

- Jak znajdziemy dom? - zapytała.

- Nic prostszego - odparł Derlagen. - Wróćcie do Dam, tam trzeba skręcić w lewo w Raadhuistraat, przejść przez jeden most i skręcić w prawo w Herengracht. To będzie pierwszy budynek przed Driekonigenstraat, numer 188. Nie da się go nie zauważyć. Ciemny kamień i zielone drzwi.

- Dzięki. - Finn wyciągnęła do Derlagena rękę, który ten gest zignorował.

- *Geen dank* - odparł i ukłonił się jej lekko. Chwilę później byli już na ulicy.

- Nie najprzyjaźniejszy typ na świecie, jak sądzisz? - spytał Billy.

- A czego się spodziewałeś - odpowiedziała. - Jest prawnikiem i najprawdopodobniej nic z tego, podobnie jak my, nie rozumie.

- Masz rację, nic nie czyni adwokata bardziej nieszczęśliwym niż świadomość, że nie rozumie, o co chodzi - zgodził się Billy. - Widzę jedną z tych niebiańskich kafeterii czy jak ty je nazywasz. Napełnijmy nasze trzewia kawą i idźmy obejrzyć dom.

- Pasuje.

Wypili doskonałą kawę, odbyli przyjemny spacer i rzeczywiście trafili bez problemu, zgodnie ze wskazówkami Derlagena. W dodatku pogoda była śliczna, a ulice pełne turystów, rowerów i jaskrawożółtych tramwajów. Finn czuła entuzjazm w powietrzu, którego nie potrafiła znaleźć w Londynie, po przejściu kilku ulic wydawało jej się, że zrozumiała, skąd pochodzi: od ludzi, tych, którzy siedzieli przy rozstawionych na chodnikach stolikach kawiarnianych lub po prostu idących przed siebie. Wszyscy oni wydawali się mniej zainteresowani biznesem i robieniem pieniędzy, lecz raczej cieszyli się dniem. Nie rozmawiali przez telefony komórkowe ani nie stukali w laptopy, tylko czytali książki lub rozmawiali ze sobą. Otoczenie też jakby mniej się narzucało, oczywiście były reklamy, ale bardziej powściągliwe i nie widziało się ogromnych billboardów ani wielkich ekranów telewizyjnych. Wiedziała, że jej przyjaciele z uniwersytetu uważaliby takie otoczenie za niemodne lub staroświeckie, jednak Finn pomyślała, że jest raczej odświeżające.

Herengracht była boczną ulicą biegnącą równolegle do kanału, wzdłuż której rosły niewielkie drzewa i stały potężne domy. W ukośnym rzędzie parkowały samochody, tuż obok na ciemnej wodzie unosiły się wielkie mieszkalne barki. Ulicą jechało więcej rowerów niż samochodów. Powietrze przenikał dziwny zapach, którego Finn na początku nie potrafiła określić, jakby wspomnienie morza, ale nie do końca i niezbyt przyjemne, jak psujące się śmieci.

- To ścieki - wyjaśnił Billy, widząc, jak pociąga nosem. - Amsterdam jest najprawdopodobniej ostatnim z wielkich miast, który wypuszcza je prosto do wody.

- Do kanałów? - Finn nie kryła zdziwienia. - Nieoczyszczone?

- Uważają, że odpływ je zabiera.

- Człowiek każdego dnia uczy się czegoś nowego - powiedziała nieco przygnębiona informacją, bo podczas krótkiego spaceru zaczęła się zakochiwać w tym łagodnym, bezpretensjonalnym mieście z jego poprawnymi politycznie rowerami. Miłość może być ślepa, ale trudno się pozbyć wężu. Westchnęła.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Billy. Stali przed numerem 188. Dom miał dwa piętra i parter, który wyglądał tak, jakby kiedyś był przeznaczony dla służby. Okazał się duży, choć nieimponujący, doskonale symetryczny, z czterema wysokimi oknami i drzwiami na poziomie chodnika; na piętrach było po pięć okien. Na spadzistym dachu widniała para okien mansardowych, bezpośrednio nad nimi znajdowały się dwa sterczące kominy. Na masywnym kamiennym portyku widniał znajomy herb z wyrzeźbioną poniżej datą 1685.

- Kochanie, wróciłam - powiedziała Finn. Wyciągnęła z torebki klucz i wspięła się po kilku schodkach, by stanąć przed okazałymi frontowymi drzwiami. Włożyła klucz do zamka, przekręciła i pchnięciem otworzyła drzwi. Weszli do środka.

12

Na ścianie, tak jak to opisał Derlagen, znajdował się panel systemu alarmowego. Wyjęła kostkę do gitary, wsunęła wąski koniec w niewielki otwór i pulsujące czerwone światelko zamieniło się w zielone. Na panelu pojawiła się krótka informacja: „By włączyć alarm, powtórzyć czynność.”

- Zamknij drzwi - powiedziała do Billy'ego. Kiedy to zrobił, przycisnęła kolejny raz kostkę. Panel zaczął pulsować na czerwono, a na wyświetlaczu pojawił się napis: „Alarm włączony.”

- No dobrze, rozejrzyjmy się.

- Czuję się tak, jakbym bezprawnie wkraczał na czyjś teren - powiedział Billy.

Finn skinęła głową. Billy miał rację, było coś niepokojącego w szwendaniu się po obcym domu, nawet jeśli się było jego właścicielem. W powietrzu unosił się zapach pleśni. Miejsce to musiało być od dawna opuszczone. Poczwała nagłą chęć, by podbiec do okna i otworzyć je na oścież.

Stali na początku długiego korytarza z drzwiami po obu stronach. Pomiedzy nimi wisiały obrazy, wszystkie nowoczesne. Ściany pomalowane były na biało. Nadawało to wnętrzu efekt braku charakteru, jakby Pieter Boegart nie chciał zdradzać niczego na swój temat.

Na początku były dwa frontowe pokoje, jak duże salony usługowe, pełne światła. Ten po prawej stronie przeznaczono najwyraźniej na biuro. Dalej znajdował się duży prostokątny pokój dzienny z ozdobnym kominkiem i równie duża jadalnia. Wąskie schody prowadziły na górę, a jeszcze węższe na dół. Na samym końcu korytarza znajdowało się średniej wielkości pomieszczenie, którego okna wychodziły na niewielki ogródek. Mogło służyć jako pokój śniadaniowy albo być, wedle dawnego zwyczaju, pokojem muzycznym.

- Żadnej kuchni - powiedziała Finn.

- Jeśli jest tu jak w Anglii, to w tak starym domu kuchnia znajduje się w suterenie - odpowiedział Billy.

- Po tym, co zobaczyłam, tego bym się nie spodziewała - zdziwiła się Finn.

- Ja również nie - zgodził się z nią Billy. - Raczej sądziłem, że będzie to zatęchłe i wiktoriańskie domostwo. Niewygodne kanapy z końskiego włosia. Portrety przodków rzędem na ścianie, coś w tym stylu.

Było zupełnie inaczej. Ani kawałka tapety. Podobnie jak korytarz, pokoje były pomalowane na jednolitą biel, na tle której wisiały wielkie zdjęcia z egzotycznych miejsc oraz nowoczesne abstrakcyjne obrazy w ostrych kolorach. Meble wyglądały na kupione w jakiejś holenderskiej firmie i przypomniały te z Ikei, ale były wyższej jakości. Podłogę wykonano z wąskich, pięknie wypoliturowanych desek z różanego drzewa.

Zawrócili do schodów i weszli na piętro. Były tam cztery sypialnie, pojedyncza łazienka i oddzielna toaleta. Tylko jedna sypialnia, od frontu, wyglądała na używaną. Tu także znajdowały się białe nowoczesne meble. W jednej wolno stojącej szafie wisiały eleganckie garnitury, druga pełna była codziennych ubrań. Na stole przy łóżku leżał stos książek, w większości w języku holenderskim, sądząc po okładkach, historycznych. Jedna angielska, *Land Beneath the Wind*, była autorstwa Agnes Newton Keith. Finn sięgnęła po nią, przerzuciła kartki. Wydana w 1939 roku w Wielkiej Brytanii przez wydawnictwo Michael Joseph Ltd.

- Przygody w Sandakanie. - Przyjrzała się mapie umieszczonej tuż za tytułową stroną.
- Wygląda jak prowincja w Północnym Borneo.

- Czy coś tu się zaczyna układać? - zapytał Billy. Przerzuciła kilka kartek.

- Najwyraźniej kuzyn Pieter sporo popodkreślał, są też notatki na marginesach - powiedziała.

- Weźmy ją - odpowiedział Billy. Finn wsunęła książkę do torby. Poszli na drugie piętro. Było tam kilka małych pustych pokoików, na parapetach leżał kurz.

- Pomieszczenia dla służby - wyjaśnił Billy. Poza tym znaleźli dwa duże pomieszczenia na mansardzie, w których zgromadzono zniszczone meble, po prostu stare, żadne antyki. Obejrzeni je, ale jedyne, co wydawało się interesujące, to fakt, że nie było tam nic osobistego - żadnych starych książek, papierów, listów, zdjęć czy innych pamiątek.

- Tak jakby on tu nigdy nie mieszkał - odezwała się Finn.

- To jest jakaś myśl - stwierdził Billy. - A może to miejsce służyło mu... jak się to nazywa? - Przez chwilę się zastanawiał. - *Pied-d-terre*, gdzie wpadał tylko, kiedy akurat był w Amsterdamie? Może tak naprawdę mieszkał zupełnie gdzie indziej?

- Nie byliśmy w jego londyńskim mieszkaniu - zgodziła się Finn. Zeszli na dół, nawet sprawdzili kuchnię w suterenie, całkowicie wyposażoną, z lodówką, w której było tylko sześć

paczek czegoś, co się nazywało „nalu”. Miało lekko zielony kolor i znajdowało się w butelkach z nakrętkami. Finn otworzyła jedną, wzięła łyk.

- Nie najgorsze, mango... czy coś w tym rodzaju - powiedziała. Zabrali butelki i wrócili na parter. Billy rozejrzał się, marszcząc brwi.

- O co chodzi? - spytała Finn.

- Sprawdzam kąty - odpowiedział Billy. Przeszedł pokoje od frontu, potem wrócił na korytarz. Stał wraz z Finn na dole schodów prowadzących na górę.

- To nie tutaj - powiedział wreszcie.

- Co nie tutaj?

- Obraz, który odkryliśmy z twoim przyjacielem Schneegartenem z Instytutu Courtauld... opisz go.

- Portret Willema van Boegarta w stroju mieszczańskim. Jest tam stół z przyrządami do nawigacji, a za nim udrapowany materiał. - Zastanawiała się przez chwilę. - Stał na podłodze z różanego drewna. - Spojrzała na własne stopy. - Takiej jak tu.

- Skąd pada światło na obrazie?

- Z lewej. - Finn mocno zacisnęła powieki, przypominając sobie pierwsze spojrzenie na obraz w pracowni Schneegartena. - Wąskie okno witrażowe po lewej stronie. - Zamilkła. - Co się nie zgadza? - zapytała. - Osiemdziesiąt procent najznamienitszych portrecistów holenderskich stosowało światło padające z lewej strony... Vermeer, Frans Hals, Gerrit Dou, van Dyck, Rembrandt, właściwie wszyscy.

- To był witraż. Z herbem van Boegartów. Ten sam herb wyrzeźbiony jest w kamieniu nad frontowym wejściem do domu. Podłoga jest z różanego drewna.

- Portret został namalowany w tym domu - podsumowała Finn.

- Właśnie - przytaknął Billy. Zatoczył ręką w koło. - Ale gdzie? Postarajmy się dojść do tego... jeśli Willem vanBoegart stał po prawej stronie od płótna, a okno miał po lewej, w którym był pomieszczeniu? Są dwie możliwości na każdym piętrze... pokój frontowy po lewej albo od ogrodu po prawej. W żadnym z nich nie ma okna z witrażem. Są stare okna, które wyglądają, jakby ich nie otwierano od trzystu lat, nie mówiąc o wymianianiu, ale one są o wiele za szerokie.

- W takim razie pomyliliśmy się - odpowiedziała Finn wzruszając ramionami. - Obraz nie powstał w tym miejscu, może ten fragment zrodził się w wyobraźni artysty. W studiu Rembrandta znajdowało się duże okno po lewej stronie. Praktycznie wszystkie zamówione portrety powstawały przy nim.

- W takim razie skąd witraż?

- Willem van Boegart mógł o niego poprosić.

- A po co by miał prosić, jeśli był portretowany w innym miejscu?

- Zwolnij - powiedziała Finn. - Nie nadążam.

- Obraz powstał tu, a przynajmniej przedstawiał fragment tego domu. Nikt nie wymyślił sobie witraża, on istniał.

- W takim razie gdzie jest? - spytała Finn.

- Nie tutaj.

- Ale mówiłeś, że musi być.

- Kręcimy się w kółko.

- A to oznacza, że coś nam umyka - powiedziała Finn. - Rozejrzyjmy się raz jeszcze.

Tym razem szli przez dom bardzo powoli, w milczeniu, zatrzymując się w każdym pokoju i rozglądając uważnie. Nigdzie śladu witraża ani śladu miejsca, w którym mógł kiedyś być. Finn sprawdziła teorię Billy'ego i uznała, że miał rację. Jeśli stanąć w takiej pozycji, w jakiej Rembrandt malował trzysta lat wcześniej portret Willema van Boegarta, pozostawało tylko kilka możliwości. Akt twórczy mógł się dokonywać w jednym z dwóch pokoi, tak jak powiedział Billy - po lewej stronie od frontu lub po prawej z tyłu na każdym z pięter. Z drugiej strony, jeśli obraz był malowany z pamięci lub z wyobraźni, to Rembrandt mógł go wykonać w jakimkolwiek innym miejscu. Usiłowała przypomnieć sobie inne jego obrazy, o których uczyła się na uniwersytecie.

Rembrandt, w czasie swej kariery, namalował setki portretów, w tym wiele autoportretów i zazwyczaj mało skupiał się na tłach. Interesował go człowiek a nie rekwizyty, może wyjąwszy *Betsabe* czy *Arystotelesa kontemplującego popiersie Homera*.

Na portrecie odkrytym przez Schneegartena tarcza herbowa była dokładnie oddana, podobnie jak deski u stóp Willema van Boegarta - wąskie, wykonane ze szlachetnego drzewa różanego. Widziała wiele zdjęć przedstawiających studio Rembrandta, a także słynny obraz, który nazwał *Artysta w swoim studio*; deski były żółte i bardzo szerokie, raczej sosna lub dąb. Z pewnością nie miały głębokiej czerwonej barwy podłogi, na której stała teraz.

Wrócili na parter.

- To jakieś wariactwo - powiedziała Finn. - To musiało być tutaj.

- Pokój pokazany na obrazie nie istnieje - odparł poirytowany Billy.

- Kiedy pokój nie jest pokojem? - zapytała bardzo cicho Finn, zamieniając problem w zagadkę. Obejrzała się i spojrzała w dół na korytarz. Nagle zrozumiała, co nie daje jej spokoju.

- Pokój, który wychodzi na ogród - powiedziała. Weszli do niewielkiego, jasnego pokoju. Stał tam stół i cztery krzesła. Na bocznym stoliku widniała jasnoniebieska waza pełna ususzonych kwiatów. Z prawej i lewej strony okno, pośrodku przeszklone drzwi, którymi można było wyjść na dwór.

Mały płachetek ogródka zamienił się w zarośniętą dżunglę. Trawa od dawna domagała się ścięcia, nożyce przydałyby się też przy krzakach róż. Wysoki mur, który oddzielał posiadłość Pietera Boegarta od następnego ogrodu, porastało wino, a metalowe meble stojące na trawie pokryła rdza. Finn wręczyła Billy'emu klucz do alarmu.

- Wyłącz alarm, dobrze?

Billy skinął głową. Wrócił chwilę później.

- Gotowe - powiedział. Finn nacisnęła klamkę w szklanych drzwiach. Otworzyły się. Razem z Billym wyszła na zewnątrz. Był cudowny wiosenny dzień. Powietrze pachniało mokrą ziemią i zroszoną trawą. Przygrywały koniki polne. Pszczoły brzęczały, latając wokół czerwonych i żółtych róż, słońce oświetlało przerwy między wysokimi domami.

- Jak tu ładnie - powiedziała Finn.

- Czego szukamy? - spytał Billy.

Finn przeszła na koniec ogrodu, odwróciła się i spojrzała na dom. Wyciągnęła rękę.

- Tego - powiedziała.

- A niech to lichy - powiedział szeptem Billy widząc, co wskazuje.

Gdy spoglądało się na dom z zewnątrz, wszystko stawało się całkiem jasne. Dom był wysokim prostopadłościanem, tylko mały pokój wychodził trochę na ogród, połączony z głównym budynkiem wąską ścianą. Dokładnie nad tym pomieszczeniem na pierwszym piętrze widniały wydłużone wąskie okna. Za szybami widać było ciężkie zasłony. Przesunęli się odrobinę w prawo. Pomiędzy główną częścią budynku a wystającym pomieszczeniem na pierwszym piętrze ujrzeli wysokie wąskie witrażowe okno.

- Tam - powiedziała Finn. - Okna na pierwszym piętrze są tak ustawione, że okno z witrażem jest praktycznie niewidoczne. Zobaczysz je tylko ten, kto go będzie szukał. Komin musi być atrapą - dodała. Nie istnieje na dole żaden połączony z nim komin.

- A okna poniżej komina na pierwszym piętrze?

- Ukryty pokój - powiedziała Finn.

- Dobra jesteś - zauważył Billy z uznaniem.

Wrócili do środka przez pokój ogrodowy. Zanim weszli na górę, Finn starannie zmierzyła krokami odległość między drzwiami a schodami.

- Osiem metrów.

Weszli na piętro i tam Finn też przeliczyła odległość. Osiem metrów wypadało dokładnie przed monumentalną szafą przylegającą do ściany korytarza.

- Czy będąc dziewczynką czytałaś książkę CS. Lewisa? - spytał Billy.

- Masz na myśli *Lwa, czarownicę i starą szafę*? - powiedziała Finn. - Oczywiście.

Bill otworzył drzwi szafy. Podobnie jak w książce, i tę wypełniały ciężkie zimowe okrycia. Rozsunął je i sięgnął po omacku w głąb.

- Musi tu być coś na kształt zamknięcia. - Palcami natrafił na niewielką wypukłość w prawym górnym rogu. Nacisnął mocno i usłyszeli wyraźne kliknięcie. Tylna ściana szafy ustąpiła pod naciskiem dłoni.

- Udało się. - Przcisnął się między paltami, Finn tuż za nim. Wpadli oboje do wąskiego, dusznego pomieszczenia.

Finn, świadoma, na co patrzy, poczuła nagły chłód. Po lewej ręce miała wysokie wąskie witrażowe okno ze znajomym już teraz herbem Boegartów. Wpadało przez nie słońce, zamieniając drobinki kurzu w złotą mgłę, która zalewała starą różaną podłogę. Chłód przeszedł w dreszcz, który przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Stała dokładnie w tym samym miejscu, w którym stały trzysta lat wcześniej sztalugi Rembrandta van Rjina, malującego przystojną postać kupca i poszukiwacza przygód Willema van Boegarta. Tak mocno czuła obecność mistrza i uwiecznianego obiektu, że prawie mogła ich zobaczyć, Rembrandta z pędzlami i paletą, całkiem swobodnego, oraz kupca, wysokiego, aroganckiego, stojącego dumnie na tle ściany, zalanego cudownym miodowym światłem, przefiltrowanym przez witraż niczym niebiańskie błogosławieństwo. Czuła się prawie tak, jakby stała koło ducha Rembrandta, jego blady cień wciąż tu migotał.

- Spójrz na drzwi - powiedział cicho Billy.

Dziesięć kroków od nich znajdowały się ciężkie dębowe drzwi zawieszane na masywnych zawiasach, z ozdobnym zamkiem i zasuwką.

- Były ukryte na obrazie za tkaniną - powiedziała Finn. - Van Boegart nie chciał, żeby ktoś o nich wiedział. - Przeszła przez niewielkie pomieszczenie i sięgnęła do klamki. Otworzyły się ze straszliwym skrzypnięciem. Finn wkroczyła do sekretnego pomieszczenia i zamarała.

- Mój Boże - wyszeptała.

13

- Gabinet osobliwości - powiedział Billy.

Małe pomieszczenie wypełniały półki, stoliki, oszklone gabloty, na których tłoczyły się nieporządnie rozrzucone muzealne obiekty. Drewniane pudła z muszlami obok gablotki z motylami lub ćmami o zielono-purpurowych skrzydłach wielkości ludzkiej dłoni. Dalej słów z wysuszoną głową człowieka lub jakiejś wielkiej małpy, zbiór szklanych gałek ocznych, podwieszony do sufitu aligator, w kącie olbrzymie kły narwala wraz z kilkoma zardzewiałymi harpunami, pióropusz indiański, kawałek skały z jedną jasno lśniącą ścianką, kilka szkieletów, zasuszone walczące nietoperze, zakurzony kot bez oka oraz niezwykła istota złożona z ciała małpy i wielkiej ryby przypominającej karpia.

Zwierzęta, rośliny i minerały, wszystko tu było reprezentowane, nawet dzieła abstrakcyjne w postaci drewnianych modeli o geometrycznych kształtach. Nie znalazłoby się kawałka pustej przestrzeni. Nawet ściany i sufit maleńkiego pokoju pokryte były wspaniałymi freskami, skomplikowanymi deseniami pełnymi kwiatów, zwierząt i ptaków. Wszystko to tworzyło zwariowaną, choć wspaniałą dżunglę przedmiotów.

Billy odkaszlnął i wyrecytował:

- „Sporej wielkości pomieszczenie, w którym wszystko, co zostało wytworzone ręką ludzką, od kunsztownej sztuki po silnik, a co rzadkie w swej formie i zastosowaniu, co w ogóle przez niezwykły przypadek lub przemieszenie rzeczy powstało, co natura stworzyła do życia, a co można przechować, powinno tam zostać umieszczone”. Sir Francis Bacon, 1594.

- Żartujesz. Nauczyłeś się tego na pamięć? Billy skinął głową.

- Korzyści płynące z wykształcenia klasycznego. Fragment znanego monologu Bacona z *Gesta Grayorum*, księgi gości w oberży „Gray”.

- Jasne, bardzo dobrze znane - roześmiała się Finn.

- Spójrz - wskazał dłonią Billy.

W miejscu, które wskazywał, tam gdzie ściany spotykały się z sufitem tuż ponad drzwiami, widniał łaciński napis:

- *Fugio Ab Insula Opes Usus Venti Carmeni* - przeczytała Finn - Uciec z mojej wyspy skarbów... i coś o wietrze... „venti” - mruknęła Finn.

- Raczej „Uciec na moją wyspę skarbów na skrzydłach muzyki” - powiedział po prostu Billy. - Miał na myśli ten pokój. Był jego ukrytą wyspą.

Pośrodku stał stół pokryty starą, przykurzoną materią, na której leżały rozłożone duże muszle i stało kilka mosiężnych przyrządów stosowanych do pomiarów na morzu, w tym astrolabium, prekursor sekstansu. Między instrumentami leżała książka oprawiona w cielecą skórę. Ta sama, którą Willem van Boegart trzymał na portrecie namalowanym przez Rembrandta. O stół oparty niedbale, jakby odstawiony przed chwilą, stał rapier z

koszyczkową rękojeścią, ten sam, który Holender dzierżył w drugiej ręce. Finn znowu poczuła, jak zimny dreszcz przebiega jej po kręgosłupie. Widmowa obecność mężczyzny z portretu była tak silna, że gdyby nagle wszedł tu i przedstawił się jej, wcale by się nie zdziwiła. Bez zastanowienia odwróciła się w stronę otwartych drzwi.

- Zbiór wszystkich rzeczy, na które natykał się podczas swych podróży - powiedział Billy. Zrobił ostrożnie krok do przodu i sięgnął po księgę w cielęcej oprawie. Otworzył ją ostrożnie. - Rutter. W języku angielskim.

- Co to jest rutter i dlaczego po angielsku? - spytała Finn.

- Rutter to książka do nawigacji zliczeniowej, nawigacji od jednego miejsca do drugiego - wyjaśnił Billy. - Jeśli przemieszczasz się od jednego punktu orientacyjnego do drugiego. Znowu jak podchody. Stąd nazwa, od francuskiego *routier*. Był używany w nawigacji, zanim zaczęto używać mapy.

- Dlaczego prowadził ten dziennik po angielsku?

- To wynika z tradycji w rodzinie Boegartów. Wysyłali swoje dzieci do Sherborne School w Dorset, a potem do Cambridge. Mnie także. - Uśmiechnął się. - Tylko że ja jestem czarną owcą i wybrałem Oxford zamiast Cambridge. W ten sposób wróciliśmy do angielskiej gałęzi rodziny.

- Znowu Cambridge - powiedziała Finn.

- Zresztą w tamtych czasach pisanie po angielsku miało swój sens - mówił dalej Billy. - Te książki posiadały ogromną wartość, kto nie chciał, żeby inni wiedzieli, jak się dostać tam, gdzie on zmierzał, pisał po angielsku, był to więc rodzaj kodu, w ogóle niewielu ludzi potrafiło pisać, a co dopiero w innym języku! - Pochylił się nad księgą i przeczytał kawałek. - Dobry Boże! - wyszeptał. - To jest dziennik pokładowy van Boegarta z pierwszej podróży *Vleigende Draeack*. - Przeczytał na głos z otwartej księgi. - Podróż w poszukiwaniu Ukrytych Wysp i sekretu Bao Tse Tu, Króla Lamparta.

- *Vleigende Draeack* - powiedziała Finn. - Okręt z obrazu.

- Ta księga to mapa prowadząca do skarbu - wykrzyknął podekscytowany Billy. Przerzucał kolejne kartki. - Niewiarygodne!

- Gdzie są te Ukryte Wyspy? - spytała Finn. - I czy w ogóle istnieją?

- Zgodnie z tym, co jest tu napisane, to tak - powiedział Billy podnosząc książkę. - To jak baśń, jak Nibylandia Piotrusia Pana. Gdzieś na chińskich morzach, zamieszkane przez tygrysy, słonie i wszelkie możliwe zwierzęta.

- A ten Król Lampart o chińskim imieniu?

- Bao Tse Tu. Chiński Marco Polo, który odnalazł Źródło Młodości na jednej z Ukrytych Wysp i ukradł skarb cesarza.

- A ten z kolei wpadł w ręce Willema van Boegarta, zgadza się?

- Przynajmniej część, tak mówi legenda. - Billy wzruszył ramionami.

- A ty w to wierzysz? - spytała Finn.

Billy sięgnął po nierówny krwistoczerwony kryształ, który leżał w jednym z pudełek. Był wielkości kurzego jaja. - Jeśli to jest rubin, to może rzeczywiście znalazł.

- Nie wiem, czy powinnam teraz o to zapytać, ale co zamierzamy zrobić?

- Wydaje mi się, że z dużym prawdopodobieństwem można założyć, iż Pieter Boegart zniknął, poszukując skarbu swojego przodka. Stąd statek, ta *Batavia Queen*.

- Czy mamy go wysledzić?

- To niezła myśl - przytaknął Billy.

- Czy nie powinien był zabrać ze sobą tego dziennika? - Finn pokazała głową księgę, którą trzymał w rękach Billy.

- Musiał nam coś zostawić, pewnie zrobił kopię.

- A co, jeśli się mylimy w tej sprawie? - spytała Finn. - Jeśli przeceniamy Pietera Boegarta? Może to po prostu zbieg okoliczności: obraz, pokój, książka. Może to wszystko wcale nie ma ze sobą związku. Może to jakaś mrzonka.

Billy obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

- Ja nie należę do ludzi, którzy jak policjant w kryminale nie wierzą w zbiegi okoliczności, raczej uważam, że one zdarzają się przez cały czas. Ale to jest jeszcze coś innego.

- Podniósł książkę. - Nie dbam, czy to jakiś przypadek czy raczej ostrzeżenie z nieba. W moich żyłach płynie krew Willema van Boegarta, a wygląda na to, że także i w twoich. - Mówił z taką intensywnością, jakby błagał. - Na taką przygodę czekałem całe życie. - Zamilkł. Finn widziała, że z napięcia drgają mu szczęki, starał się trzymać emocje na wodzy.

- Co powiedziałaś?

- Spytałam o tych ludzi z Londynu - powtórzyła Finn.

- Dla nich to żadna przygoda, tylko poważna sprawa. Zostali wysłani, żeby nas zabić. I nadal możemy ich mieć na ogonie.

- Jeśli tak, to będą nas ścigać niezależnie od tego, czy uciekamy, czy nie - argumentował Billy. Finn zastanawiała się przez chwilę.

- No dobrze - powiedziała wreszcie. - Sprawdźmy, co się stało z kuzynem Pieterem i z jego zaginionymi skarbami.

- Schowaj to do torebki - powiedział Billy wręczając jej dziennik pokładowy. - I chodźmy stąd.

Kilka kanałów dalej znaleźli zakład z kserokopiarką, gdzie spędzili godzinę na robieniu kopii starej księgi, którą następnie wysłali kurierem do Tulkinghorna w Londynie, by bezpiecznie ją dla nich przechował. Pozostałą część dnia spędzili na organizowaniu wyprawy do Singapuru, zaszczepili się i kupili odpowiednie do tropiku ubrania. Następnie wrócili do Durgerdam, żeby załatwić dla *Busted Flush* dłuższy pobyt. Wyszli z autobusu przy *Oude Taveerne*, gdzie poszli coś zjeść. Po tym jak przez większość tygodnia spali na wąskich pryzkach łodzi, uznali, że należy im się nocleg w wygodnych łózkach, które można było wynająć nad restauracją. Zostawili zakupione rzeczy w dwóch pokojach, których okna wychodziły na wąską drogę biegnącą groblą przy marinie.

Zachodzące słońce zamieniło okna małych domków po wewnętrznej stronie grobli w płynne złoto, niebo ponad ich głowami stało się najpierw fioletowe, a w końcu jedwabście czarne. Finn ledwo dostrzegła obracające się skrzydła starego młyna na polu za wioską. Lekka bryza marszczyła wodę. Wszystko pograżyło się w całkowitym spokoju, po raz pierwszy od kilku dni poczuła się naprawdę zrelaksowana. Nawet Billy idealnie pasował do tej sceny. Kiedy patrzyła, jak wiatr rozwiewa jego jasne gęste włosy, widziała w nim jasnoookich holenderskich przodków, którzy stawiali żagle, by wyruszyć na poszukiwania odległych łądów.

- Nigdy wcześniej nie byłam właścicielką parowego frachtowca - powiedziała głośno i prawie roześmiała się na samą myśl. Nigdy nawet nie miała samochodu, co dopiero jakiegoś dziewięćsetpięćdziesiątotonowego olbrzyma. - Co oznacza dziewięćset pięćdziesiąt ton wyporności?

- Nie chodzi o wagę statku, tylko o ilość wody, którą wypiera, kiedy zostaje zwodowany. Jest też tonaż całkowity, który oblicza się jako wielokrotność stu stóp sześciennych i nie ma nic wspólnego z wagą, tonaż netto, co oznacza przestrzeń na ładunek i pasażerów oraz nośność, która oznacza faktyczną wagę z ładunkiem, paliwem, pasażerami i zapasami, jakie statek jest w stanie przewieźć. *Queen Elizabeth 2*, jeśli pamięć mi dobrze podpowiada, ma jakieś 45 000 ton wyporności, a całkowity tonaż 70 000. Czy to daje jakieś wyobrażenie?

- Jakby. W porównaniu z *Queen Elizabeth 2* *Batavia Queen* jest dość mała, prawda?

- W porównaniu z Oceanem Spokojnym jest maleńka - odpowiedział Billy. - Ale zgodnie z tym, co przekazał nam Tulkinghorn, ma też niewielkie zanurzenie, jedynie niecałe cztery metry, dzięki czemu idealnie nadaje się do naszych celów. Ponieważ to oznacza, że

można nią płynąć prawie wszędzie, nawet wieloma rzekami. - Doszli do basenu jachtowego, zeszli po kilku drewnianych schodkach na molo. - Oglądałaś kiedyś programy Jacques'a Cousteau w telewizji?

- Pewnie. Z podkładem tej okropnej piosenki Johna Denvera. Ci wszyscy faceci w wełnianych czerwonych czapczkach.

- *Calypso*, jego statek badawczy był przerobionym trałowcem, bardzo podobnym do *Batavia Queen*, tylko mniejszym.

Na marinie panował całkowity spokój, na drzwiach małej budki wisiała jakaś kartka. Kawalek dalej, w budynku klubowym, paliły się światła.

- Pewnie poszedł coś zjeść - powiedział Billy. - Chodźmy sprawdzić, jak się ma *Flusb*, a potem poszukamy kapitana portu. Skręcili w lewo wzdłuż basenu portowego, idąc równoległe do grobli. Było już prawie całkowicie ciemno, rozbrzmiewał jedynie plusk wody o słupy molo i głucho łomotanie odbijaczy łodzi o beczki cumownicze. Dotarli do miejsca, gdzie zakotwiczyli rano *Flusb*. Billy wszedł na łódź jako pierwszy, Finn tuż za nim. Łódka lekko się pod nimi zakotłowała. Nagle Finn usłyszała jakiś ostry dźwięk. Dokładnie przed nią na tle masztu rysowała się sylwetka Billy'ego. Odwrócił się do niej.

- Czujesz to?

Finn wciągnęła powietrze. Rozpoznała zapach, choć był ledwie wyczuwalny. Benzyna. Billy rzucił się ku Finn, pchnął ją w tył.

Busted Flusb eksplodował. Horyzont zalała złota luna. Rozległ się potężny huk. A potem nastąpiła cisza.

Finn ocknęła się jakąś minutę później. Kasłała ociekając wodą, kompletnie przerażona. Kiedy usiadła, uświadomiła sobie, że została rzucona w wysoką trawę porastającą płyciznę między pomostem a groblą. Dwadzieścia metrów przed sobą widziała szczątki jachtu palące się na wodzie po drugiej stronie pomostu. Podniosła się na klęczki, z włosów kapał jej muł. Potem wstała i w oszołomieniu ruszyła ku grobli.

- Billy?

- Tutaj. - Usłyszała kaszlnięcie i plusk wody. Cień, który przed nią wyrósł, wyciągał ku niej rękę. Złapała ją. Podtrzymując się, dotarli do grobli i wdrapali na nią. Tam stanęli i popatrzyli na port. *Busted Flusb* był pochodnią wetkniętą w wodę. Pomost, do którego był przycumowany, także płonął. Widzieli ludzi biegnących od strony budynku klubowego. Nagle rozległ się kolejny grzmot, a po nim eksplozja, to wybuchł zbiornik na benzynę na jachcie przycumowanym o dwie jednostki dalej. Nienaturalnie jasnozielona flara wystrzeliła ponad wodą.

- Co się stało? - spytała Finn.

- Bomba - odparł Billy.

- Chwilę wcześniej coś usłyszałam.

- Ja też. Wydaje mi się, że to się nazywa automatyczny przerywacz. W każdym razie jakiś sensor ruchu. - I poczułam benzynę.

- Przecięli dopływ paliwa.

- Żeby wyglądało na wypadek.

- Może - powiedział Billy. Przejechał dłonią po włosach. Na jego twarzy malowała się udręka. - Wyszadzili w powietrze moją łódź. Skurwysyny. Wyszadzili moją łódź. - Miał w oczach łzy.

Finn złapała go za ramię. Ludzie byli już niedaleko. Słysząc było syreny.

- Musimy się stąd wynosić. Zaczną zadawać nam pytania. Pytania, na które nie możemy odpowiedzieć. Mogą nas trzymać przez kilka dni.

- Jak mogli to zrobić? Wyszadzić w powietrze *Flusb*?

- Mogło być gorzej - powiedziała Finn. - To mogliśmy być my. Gdybyś mnie nie wypchnął wtedy do wody, już bym nie żyła. - Pocałowała go w policzek. - Uratowałeś mi życie, wasza lordowska mość.

- Nie wygłupiaj się - powiedział, ale teraz już z uśmiechem. Łuna z płonącego jachtu oświetliła mu twarz.

- Odplącimy im za to - obiecała Finn, pociągając go za ramię. - Ale teraz musimy stąd zmykać, i to szybko.

Rozpłynęli się w ciemnościach nocy.

14

Lot do Singapuru trwał piętnaście godzin i był wyczerpujący, mimo że lecieli na pokładzie nowiutkiego Airbusa-A380, dwupokładowego olbrzyma, który zabrał ich z lotniska Schipol w Amsterdamie. Wyglądał jak latający kaszalot. Podobno gdzieś w jego olbrzymim cielsku mieściła się sala do ćwiczeń i kawiarnia, ale Finn nie natrafiła ani na jedną, ani na drugą.

Kiedy lecieli nad Europą i prawie całą południowo-wschodnią Azją - spała, ukołyszana dźwiękami wydawanymi przez pięćset osób rozmawiających w kilkunastu różnych językach. Budziła się na posiłki i krótkie błahe rozmowy z Billem, niekiedy oddawała się wątpliwej przyjemności oglądania trzech filmów pod rząd z Johnem Travolta na małym ekranie przymocowanym do oparcia stojącego przed nią fotela. Po pewnym czasie fakt, że jest się

dwanaście tysięcy metrów ponad ziemią i pokonuje się przestrzeń z prędkością dwustu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wydawał się prawie całkiem normalny.

Po siedmiu i pół strefy czasowej, jednym omlecie przypominającym podeszwę, dwóch kieliszkach drugiego gatunku Rieslinga i kanapce z kurczakiem wyglądającej jak ciastko owocowe z MacDonalda, wylądowali nocą na lotnisku w Changi. Zgodnie z zegarem biologicznym Finn i Billy'ego było wczesne rano i czas na śniadanie, ale w drodze z lotniska Finn widziała tylko las jasno oświetlonych wieżowców i tysiące apartamentowców z czerwonej cegły. Zdarzały się ulice o niższej zabudowie, z małymi sklepikami, ale sporadycznie. Cała wyspa Singapur wydawała się wielkim śródmieściem.

Wysiedli z taksówki przed arystokratycznym dziewiętnastowiecznym budynkiem otoczonym palmami podświetlonymi reflektorami. Wyglądało to jak scena z powieści Somerset Maughama, o co właśnie chodziło. Wypisana złotymi literami nazwa na surowym portyku nad drzwiami mówiła wszystko.

- Raffles? - zdziwiła się Finn. - Najstynniejszy hotel w obrębie całego dawnego Imperium Brytyjskiego.

- Właśnie on - przytaknął Billy, wyjmując ich bagaże.

- Noel Coward, Rudyard Kipling, te rzeczy. Ostatni tygrys na Malajach został zastrzelony pod barem w „Rafflesie”.

- O tym nie wiedziałam - powiedziała Finn, unosząc brew.

Billy uśmiechnął się.

- Ja też, dopóki nie przeczytałem broszury podczas lotu.

- Czy to nie będzie nieco kosztowne? - spytała Finn, kiedy wkroczyli do wysokiego, mocno ozdobnego holu w stylu wiktoriańskim. Z pewnością nie był to przydrożny motel. Marmurowe posadzki wyłożono jedwabnymi dywanami, a gdzie się spojrzęło, stały srebrne wazy pełne egzotycznych kwiatów.

- Owszem - potwierdził Billy. - Ale nie ma to większego znaczenia, bo chodzi tylko o jedną noc. Z samolotu telefonowałem do Tulkinghorna, powiedziałem mu o *Flush*. Była ubezpieczona na pokaźną sumę, mam też inne zasoby.

- Uśmiechnął się szeroko. - W tym pewnego kierownika banku, który uwielbia rozszerzać mój kredyt, byle tylko mieć wśród swych klientów księcia.

- Takie rzeczy naprawdę się zdarzają?

- Tylko popatrz.

Podeszła za nim do recepcji, gdzie przedstawił się kierownikowi nocnej zmiany, mniej więcej sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie w turbanie i garniturze, który wyglądał jak od

Armaniego. Pierwszym sygnałem był arystokratyczny brytyjski akcent Billy'ego. Kolejnym - pierwsza wzmianka, że jest „jego lordowską mością”. Finn nie widziała, by podawał kartę kredytową, by potwierdzić tożsamość, ani: też żadnej gotówki. Kierownik wyprostował się jak struna, nacisnął dzwonek i zaczął wyrzucać z siebie polecenia podwładnym. Nie minęło trzydzieści sekund, a ktoś już odebrał bagaże z rąk Billy'ego, a po kolejnych trzydziestu znajdowali się w staroświeckiej windzie, która wiozła ich do apartamentu Palm Court. Dziesięć minut później, otulona zapachem kwiatów pomarańczy i jakarandy, nagle czując się kompletnie wyczerpana, Finn Ryan wślizgnęła się między jedwabne prześcieradła i natychmiast zapadła w sen.

Wydawało jej się, że chwilę później stał nad nią Billy ubrany w puchaty biały szlafrok, susząc włosy.

- Obudź się - powiedział. - I pod prysznic. Śniadanie na werandzie za piętnaście minut. Jajka. Bekon. Sok pomarańczowy. Kawa. Babeczki. Dżem. Pospiesz się.

Pod prysznicem poczuła się jak w niebie, śniadanie ugruntowało świetne samopoczucie. Apartament miał własną werandę wychodzącą na duży prostokątny dziedziniec hotelowy, porośnięty, tak jak zapowiadała broszura, palmami. Pośrodku stołu stała kryształowa waza wielkości piłki do siatkówki, wypełniona wszelkimi możliwymi owocami. Wszystko było podawane na srebrnej zastawie, tosty w specjalnym koszyczku, masło schłodzone, ale nie za twarde, jajka świetnie ścięte. Bekon smakował jak ambrozja, kawa była czarna, cierpka i pyszna.

- Takie śniadania jadają gwiazdy filmowe - stwierdziła Finn.

- W takim razie ty jesteś Julią Roberts - odparł Billy.

- Spróbuj soku.

Finn z chęcią posłuchała i wzięła się za kończenie śniadania. Kiedy już zjedli, pozostali na werandzie, delektując się kawą i egzotycznym widokiem.

- No dobrze - powiedziała Finn, odrywając wzrok od kwiatów, palm i ścieżek wysypanych, drobnymi kamykami.

- Jak na jeden dzień, dość Rudyarda Kiplinga. Co mamy na tapecie?

- Na tapecie? W Barze Pisarzy? Spodziewałbym się tygrysa.

Finn cisnęła w niego zimnym tostem. - Wiesz, o co mi chodzi.

- W hotelu z pewnością znajdzie się jakiś komputer, z którego będę mógł skorzystać. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tej złotej figurce, którą ten prawnik-skin Derlagen ci dał. Myślę też, że powinniśmy przejrzeć książkę, którą zabrałaś oprócz dziennika pokładowego. Autorka była żoną dyplomaty czy kimś w tym rodzaju.

- Zupełnie o tym zapomniałam - powiedziała. Zerwała się, przeszła do apartamentu i zaczęła przetrząsać torbę z przyborami nocnymi. Znalazła i książkę, i pudełko z figurką. Położyła oba przedmioty na stoliku.

- Agnes Newton Keith - powiedziała Finn, czytając opis na skrzydełku. Jej mąż pracował w koloniach jako strażnik przyrody. Ona sama zaś była reporterką „San Francisco Examiner”. W książce opisała przygody obojga w Sandakanie, mało znanej prowincji w północnym Borneo. Myślałam, że całe Borneo jest raczej mało znane.

- Pewnie niektóre miejsca bardziej niż inne - odparł Billy. - To gigantyczna kraina. Trzecia pod względem wielkości wyspa na świecie, siedemset czterdzieści trzy tysiące kilometrów kwadratowych, prawie cała porośnięta dżunglą. To tak, jakby połączyć Holandię, Francję i Belgię razem. Podobnej wielkości jest pustynia w Arabii Saudyjskiej.

- Pewnie i to przeczytałeś w reklamówce. - Finn uśmiechnęła się.

- To był długi lot.

Finn wyjęła lśniąca figurkę z pudełka i położyła ją na czystej płóciennej serwecie.

- Co ma wspólnego północne Borneo ze złotym przedmiotem z Afryki Centralnej?

- To może być cokolwiek - odpowiedział Billy. - Jeśli dobrze pamiętam, w przypadku złota bardzo trudno jest ustalić wiek przedmiotu. Wygląda tak samo po tysiącu lat jak wczoraj.

- Mansa lub król Musa udał się w pielgrzymkę do Mekki w roku 1300 - podsunęła Finn. - Ale w ten sposób dotarliśmy dopiero do Arabii Saudyjskiej.

- Kto w tamtych czasach handlował z Arabią Saudyjską? - Nie istniało coś takiego. To były osobne sułtanaty.

Istnieją teorie o chińskich flotyllach przywożących skarby do Omanu i Dżiddy w czasach zbliżonych do panowania Mansy Musy. Naciągane, ale możliwe.

- Oczywiście istnieje też możliwość, że kuzyn Pieter jest po prostu bogatym, ekscentrycznym wariatem, który zaszył się gdzieś w tropikalnych lasach i nic z tego, nad czym się zastanawiamy, tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. - Billy roześmiał się. - Moja rodzina słynie z tego, że jest ekscentryczna, a ja jestem pierwszym z brzegu przykładem.

Finn podniosła figurkę, gładząc kciukiem złoty metal.

- Willem van Boegart popłynął w siedemnastym wieku na *Latającym Smoku* i powrócił do Amsterdamu jako zamożny człowiek. To wiemy na pewno. A dziennik to potwierdza. Nasz mały złoty jeździec może być dowodem, skąd te bogactwa pochodzą.

- Chiński statek pełen skarbów?

- Admirał Zheng He przedsięwziął siedem podróży, ostatnią w 1433. Jego flotylla liczyła tysiące statków. Przewozili porcelanę i jedwab w jedną stronę, a wracali załadowani złotem, klejnotami, kością słoniową i przyprawami. Istnieją zapisy potwierdzające, że flotylla trafiła na kilka huraganów. Niektóre ze statków poszły na dno. Może nasz mały złoty przyjaciel pochodzi z jednego ze zniszczonych okrętów. Może Willem van Boegart napotkał jeden z nich podczas swej podróży *Latającym Smokiem*.

- Czy to nie byłoby diablo wspaniałe? - powiedział Billy. - Sięgnąć po to, co stary Willem i Pieter zostawili. To dopiero byłaby przygoda.

- Z mojego doświadczenia wynika, że niebezpieczeństwo i przygoda to zazwyczaj jedno i to samo - przestrzegła Finn. - Przypomnij sobie, co się wydarzyło z *Busted Flush*.

- Nie zapomniałem - powiedział Billy. - Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że trafię jeszcze na tych gości.

- Mógłby być z tego niezły scenariusz filmowy, ale rzeczywistość to zupełnie coś innego, wierz mi. - Nie musiała wracać daleko w przeszłość, by przypomnieć sobie człowieka, który zginął w pociągu we Włoszech lub chłopca zaszlachtowanego koło Miasta Umarłych w Kairze. W swoim krótkim życiu widziała tylu ludzi umierających gwałtowną śmiercią, by mieć dość na zawsze. Nie było w tym ani zuchwałości, ani odwagi, tylko brutalność, ból i metaliczny zapach krwi. Nagle kawa przestała jej smakować, a słońce wydało się nieznośnie palące.

- A co ze statkiem?

- Już rozmawiałem z agentem. Ma wypłynąć do Jurong Harbor o północy. Wydaje mi się, że powinniśmy tam na niego oczekiwać.

*

Tuż po dwudziestej trzeciej *Batavia Queen* oczekiwała przy wschodnim kanale prowadzącym do cieśniny singapurskiej, jakieś półtora kilometra od wyspy Sentosa, rozważnie trzymając się nieco z boku od głównego szlaku wodnego przeznaczonego dla kontenerowców w porcie Keppel. Keppel był jednym z kilku doków tworzących port w Singapurze, który rozciągał się od Jurong na zachodzie po Marina Bay na wschodzie. W dawnych czasach istniała nawet możliwość, by takie statki jak *Queen* przepływały przez cieśninę Johor między wyspą Singapur i lądem Malezji, ale zbudowanie w 1920 roku drogi łączącej Johor z Singapurem uniemożliwiło nawigację po cieśninie.

- Nie mogę stać tutaj dużo dłużej - powiedział Briney Hanson, opierając się o reling. - Jeśli nie będziemy się mieć na baczności, policja portowa zacznie coś węszyć. - Otaczały ich nieprzeniknione ciemności, które starał się badać wzrokiem. Morze było gładką, falującą,

atramentową czeiv nią. Chmury przesłaniały gwiazdy. Nie widać było księżyca. Świeciły tylko okna luksusowych apartamentów i hoteli na wyspie, a kawałek dalej jarzył się sam Singapur.

- Cierpliwości, kapitanie - powiedział Lazło Aragas, stając u jego boku. Ubrany był tak samo jak w dniu, kiedy spotkali się po raz pierwszy: biały garnitur, lśniące buty i kapelusz borsalino założony na bakier. Brakowało tylko przeciwsłonecznych okularów, zastąpiły je staroświeckie rogowe oprawki, w których, jeśli to w ogóle możliwe, wyglądał jeszcze groźniej. Na jego szyi wisiał na skórzanym pasku rosyjski noktowizor. Obok mężczyzn leżały na pokładzie skrzynie Slazengera. Ponad nimi, na mostku, stał na wachcie Eli Santoro, gotów wołać McSeveneya, aby ruszać, w razie konieczności, pełną parą.

- Łatwo powiedzieć - odparł Hanson. - Ale nie jestem pewien, czy podoba mi się pomysł wyładowania w więzieniu za próbę przemytu twoich piłek tenisowych.

- Nie trafisz do Changi - powiedział Aragas. - Przynajmniej jeszcze nie teraz i nie ja będę tego powodem. Podniósł noktowizor i penetrował ciemność.

- Dobrze - powiedział cicho - zaraz tu będą. Aragas z uśmiechem odwrócił się w stronę Hansona.

- Chcesz spojrzeć?

Hanson przytaknął. Aragas uważnie, tak by nie poruszyć kapelusza, zdjął lornetkę. Przez sześć dni, odkąd wyruszyli z Mariveles, nie widziano go nigdy bez nakrycia głowy. Posiłki zjadał w kabinie, ale Bazooki, samoański steward i pomocnik kucharza, mówił, że podczas posiłku też w nim siedział.

Hanson podniósł do oczu lornetkę. Świat stał się upiornie zielony. Jakieś trzysta metrów od siebie ujrzał kształt szybkiej łodzi, ostry dziób wcinał się ostro w ich kilwater. Nawet w noktowizorze kształt łodzi był wyraźny, podobnie jak szeroka wstęga biegnąca po jej boku z napisem: POLICJA NABRZEŻNA SINGAPURU. To była jedna z należącej do nich sześciu odrzutowych łodzi typu Rodman 55. Nie było po co przekazywać tej informacji McSeveneyowi. Rodmany osiągały trzydzieści pięć węzłów na spokojnym morzu, podczas gdy *Queen* wyciągała ledwo połowę tego. Byli załatwieni. Opuścił lornetkę i spojrzał na Aragasa.

- Skurwiel.

- Zdrada jest cudowną rzeczą, nieprawdaż? - zapytał z uśmiechem Aragas.

Hanson poczuł jak ścisną mu się żołądek. Było po wszystkim.

- Mogę w tej chwili wywalić twój mały tyłek za burtę.

- Wyciągnął z kieszeni Curry Lockspike i otworzył ostrze.

- Ale wcześniej rozpruję ci tętnicę, żeby rekiny miały co robić.

- Niech pan nie będzie śmieszny, kapitanie. Na łodzi jest karabin maszynowy kalibru.50, a moi wszyscy ludzie są dobrze uzbrojeni. Ponadto na łodzi są cztery średniej wielkości samonaprowadzające torpedy typu Whitehead. Twój statek w minutę mógłby być tylko strzępkiem metalu. A ty zginiesz, zanim pierwszy rekin rozewrze zęby.

Łódź patrolowa była już tuż-tuż. Szperacz dziobowy omiół ich burtę jaskrawym światłem. Eli wyszedł na mostek i zaniepokojony krzyknął do Hansona.

- Szefie, czy mamy problem?

- Dam ci znać - odkrzyknął Hanson. Eli wrócił do sterówki. Hanson spojrzął na Aragasa. - Więc jesteś kimś w rodzaju policjanta?

- Rzeczywiście, kapitanie, można powiedzieć, że jestem kimś w rodzaju policjanta. Czy słyszał pan o CISCO?

- Prywatni szpiedzy - odpowiedział Hanson. CISCO oznaczało Korporację do Spraw Bezpieczeństwa Handlu i Przemysłu, sprywatyzowany sektor policji singapurskiej, zazwyczaj zajmujący się przestępstwami przemysłowymi i wywiadem.

- Specjalista. Od antyterroryzmu.

- Dzisiaj każdy policjant się tym zajmuje - zachnął się Hanson. - Wydaje się wam, że nie ma innych przestępstw.

- W moim przypadku nie ma - odpowiedział Aragas. - Terroryzm wymaga dużych pieniędzy. Zwykle finansują go narkotyki.

- To co my tutaj robimy? - spytał Hanson.

- Dokładnie to, co powiedziałem, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - odparł elegancki mały mężczyzna.

- Przewozimy piłki tenisowe - odparł Hanson ruchem szczęki pokazując stertę skrzyń z logo przedstawiającym skaczącego lamparta.

- Zgadza się - uśmiechnął się Aragas. Łódź patrolowa podpłynęła do burty, świecąc cały czas szperaczem, i w kilka sekund umundurowani mężczyźni wdrapywali się po drabinie, którą Hanson rozkazał spuścić, dostosowując się do tego, co los miał mu przynieść na wyspie Sentosa. Mężczyźni uzbrojeni byli w karabiny maszynowe typu CIS i automatyczne pistolety kalibru.09 typu Sphinx 3000. Wyglądali na zawodowców.

Aragas skinął dowódcy, oficerowi z trzema belkami, o twarzy, która wyglądała, jakby ktoś go przeciągnął po brudnej drodze. Aragas machnął szybko dłonią pokazując skrzynie.

- *Membuka dial* - rozkazał. Mężczyzna ze zmaltretowaną twarzą podszedł do stosu skrzyń i wepchnął kolbę w jedną z nich. Rozłupał drewno, otwierając skrzynie. Aragas

podszedł i wyciągnął z niej znajome ciemnoniebieskie tuby. Wrócił do relingu, gdzie stał Hanson, i otworzył próżniowo zamknięte wieczko. Wydobył się lekki syk, a następnie z tubki wysunęły się cztery jaskrawożółte piłki i potoczyły po pokładzie *Batavia Queen*. Statek zakołysał się, a one potoczyły się dalej, aż do zęzy.

- Piłki tenisowe - powiedział Aragas. - Slazenger Ultra Vis.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał zaskoczony Hanson.

- Historia stara jak świat, kapitanie Hanson - powiedział Aragas. - Ustaliliśmy dokładnie, co jest pan skłonny zrobić i za jaką cenę. Okazał się pan jednocześnie podatny na korupcję i inteligentny. Te dwie cechy mogą się w przyszłości okazać bardzo pożyteczne.

- Czy to nie jest prowokacja policyjna?

- Prowokacja policyjna to amerykańskie wyrażenie wymyślone na potrzeby filmów kryminalnych, kapitanie Hanson. Nie występuje w rzeczywistym świecie. Mamy tu kilku oficjalnych świadków, którzy mogą przysiąc, że został pan przyłapany na szmuglowaniu nielegalnych towarów na teren suwerennego stanu Singapur. Fakt, że towar ten okazał się piłkami do tenisa, nie ma większego znaczenia. Przestępstwo jest takie samo, niezależnie czy wwozi się kokainę, czy orzechy kokosowe, heroinę czy broń, amfetaminę czy koniki szetlandzkie. Kiedy tylko uznam to za stosowne, może pan zostać oskarżony o nielegalny handel, czy to jest jasne?

Hanson zrozumiał, że ten mały śliski skurwysyn trzyma go na muszce, nie pozostawiając żadnej przestrzeni do negocjacji. Jego źródło utrzymania, a nawet życie zawisło na włosku. W jakiejś odległości od statku rozległ się dźwięk rogu. Woda rytmicznie uderzała o burtę.

- Czego pan ode mnie chce?

- Współpracy.

- Czyli?

- Pański statek został sprzedany nowym właścicielom. To dwoje młodych ludzi. Amerykanka i jej towarzysz, poddany brytyjski o koneksjach arystokratycznych. Odziedziczyli statek w wyniku uzgodnień z funduszem powiązany z Boegarts Shipping Lines.

- Mamy się z nimi spotkać w Singapurze - przytaknął Hanson.

- Właśnie - powiedział Aragas. - Wiem również, że pewien człowiek nazwiskiem Jackson Abang Abdul Rauf wykazuje zdecydowane zainteresowanie tymi młodymi ludźmi. Czy mówi panu coś to nazwisko?

- Oczywiście, każdy, kto pracuje na morzu, je zna. Mówi pan o piracie Khanie.

- Nie uważa się za pirata. Z piratami łatwo sobie poradzić, bo nimi kieruje tylko chciwość, a chciwość łatwo nakarmić. Nasz Khan widzi siebie jako rewolucjonistę, idealistę, fanatyka. Podobnie jak nasz przyjaciel pan Bin Laden, Jackson Abang Abdul Rauf uważa, że Bóg stoi po jego stronie. Nie ma nic groźniejszego niż fanatyk, kapitanie Hanson, może mi pan wierzyć. Z takimi ludźmi nie da się załatwić sprawy dając im po prostu kopertę z pieniędzmi. - Aragas zamilkł i odwrócił się w stronę oficera z trzema gwiazdkami. Pstryknął palcami, a sierżant jak na rozkaz zaczął wykrzykiwać komendy w stronę mężczyzn, którzy weszli z nim na pokład *Batavia Queen*. Wzięli się za przenoszenie skrzyń na łódź patrolową.

- Co pan mi chce powiedzieć?

- Khan jest szefem organizacji, której ramiona sięgają bardzo daleko, kapitanie Hanson. Próbował porwać pańskich nowych właścicieli w Londynie, a potem pozbyć się ich na terenie Holandii. Bez wątplenia spróbuje znowu, skoro tych dwoje dotarło do Singapuru.

- Dlaczego?

- Dobre pytanie. Sam chciałbym znać na nie odpowiedź. - I ja mam ją dla pana znaleźć?

- Gdyby był pan tak uprzejmy, kapitanie Hanson. Interesuje mnie, dlaczego tych dwoje ludzi może stanowić zagrożenie dla takiego człowieka jak Khan.

- I jeśli czegoś się dowiem?

- Proszę mi raportować.

- Jak? Mam przesłać meldunek radiem? Khan monitoruje wszystkie morskie częstotliwości, w ten sposób wie, na które statki napadać. Ma swoich szpiegów we wszystkich większych agencjach zajmujących się transportem towarów drogą morską. - Wskazał na ludzi przenoszących skrzynie. - Idę o zakład, że ludzie biorący udział w pańskiej operacji też są na jego żołdzie.

- Policja Ochrony Wybrzeża nie ma nic wspólnego z moją operacją, jak pan to nazwał, kapitanie Hanson. Można powiedzieć, że sam jestem własną operacją. - Odwrócił się i znowu strzelił palcami. Sierżant o startej piaskiem twarzy podszedł natychmiast, czekając na dalsze polecenia Aragasa, który wyciągnął rękę. Sierżant sięgnął do kieszeni i wyjął z niej telefon wielkości dłoni z nieco większą niż zazwyczaj pałeczką anteny. Sierżant wręczył telefon Aragasowi, który z kolei przekazał go Hansonowi. - To jest telefon satelitarny Hughes 9505A Iridium. Ma ograniczoną pamięć, co oznacza, że ja jestem jedyną osobą, która może na niego dzwonić. Trzeba włączyć, nacisnąć jedynekę i połączenie zostanie wykonane automatycznie. Czy nie jest to zbyt trudne dla pana, kapitanie? - Mężczyźni w mundurach Policji Ochrony Wybrzeża wynieśli ostatnią skrzynię z piłkami tenisowymi.

- Nie, wydaje mi się, że sobie poradzę - odparł Hanson, biorąc telefon. Jak na swoją wielkość, był bardzo ciężki. W sytuacji, w jakiej się znalazł, nie było sensu się odszczekiwać, Aragas rozegrał wszystko perfekcyjnie. - Czy ma pan jakiś pomysł, czego Khan szuka? Narkotyków? Broni? Czegoś innego?

- Mówi się... - Aragas obejrzał się. Ostatnia skrzynia zniknęła, policjanci wraz z nią. Sierżant stał u szczytu drabinki, przy której przymocowana była łódź patrolowa. Aragas wykonał mały ruch dłonią, sierżant odwrócił się i zaczął schodzić po drabince. - Mówi się, że Khan poszukuje wielkiego skarbu z czasów wojny.

- Takich opowieści krąży całe mnóstwo - powiedział Hanson. - I to od lat. Japońskie łupy z czasów okupacji na Filipinach, złote monety zatopione w porcie singapurskim tuż przed inwazją. Mówi się też, że Most Brookliński jest na sprzedaż.

Aragas zignorował komentarz.

- Słyszał pan kiedyś o japońskiej łodzi podwodnej I-52?

- Czytałem artykuł w „National Geographic”. Podobno była wypełniona złotem i opium. Brytyjczycy zatopili ją na środku Atlantyku, w miejscu gdzie głębokość wynosi pięć kilometrów.

- Są wątpliwości, czy to była na pewno ta łódź. O Japończykach można mówić różne rzeczy, ale nie to, że są głupi. Niektórzy posądzają ich nawet o diabelski spryt. Khan dotarł do informacji, które przekonały go, że były dwie łodzie transportowe oznaczone I-52.

- Chyba nie rozumiem, do czego pan zmierza. - Jedna była przynęta. I ta zatонуła. Druga, prawdziwa I-52, zniknęła, zanim jeszcze opuściła wody Morza Chińskiego.

- Gdzie?

- Płynęła w absolutnej ciszy radiowej, ale zgodnie z informacjami, które uzyskał Khan, jako ostatnia widziała ją załoga łodzi rybackiej pierwszego stycznia 1944 roku przy północnowschodnim wybrzeżu Palawan.

- Czy ta data ma jakieś znaczenie?

- To na dwa miesiące wcześniej od oficjalnej daty wypłynięcia I-52 z Japonii. To także początek tego, co nazywa się tajfunem noworocznym. Oficjalna nazwa Tajfun Amy. Działania Japończyków i aliantów zostały przerwane na dobre dziesięć dni. Załoga łodzi rybackiej twierdzi, że wydawało im się, że I-52 ucieka.

- Dlaczego się po prostu nie zanurzyła?

- Kto to wie? Była transportowcem C-3, jednym z zaledwie trzech, jakie kiedykolwiek wybudowano. To był całkiem nowy projekt. Może mieli problemy? Może rybacy mieli rację i kapitan szukał schronienia?

- Gdzie?

- Może to właśnie odkrył Khan - odpowiedział cicho Aragas. - I może to samo odkryli też nowi właściciele twojego statku.

- Jestem między młotem a kowadłem.

- Można tak powiedzieć, kapitanie Hanson, trafne porównanie. - Aragas poklepał Hansona po ramieniu i uśmiechnął się. - Czasami znalezienie się pośrodku może oznaczać pewne korzyści, dużo trudniej będzie pana zaatakować. - Jeszcze raz poklepał Hansona po ramieniu, po czym ruszył w stronę drabinki. Odwrócił się i zanim zaczął schodzić do łodzi patrolowej, zatrzymał się na chwilę.

- Pozostaniemy w kontakcie - powiedział. - Będę czekał na pański telefon. - Pomachał dłonią i zniknął. Nagle nad głową Hansona rozległ się przytępiony narastający huk, kapitan podniósł wzrok. Omiotły go światła potężnego szerokokadłubowego samolotu schodzącego w kierunku międzynarodowego lotniska Changi.

Spojrzał na mostek, w ciemnościach żarzył się papieros Eliego. Pokazał mu dłoń z kciukiem wystawionym do góry. Kilka chwil później rozległ się grzmot silników, McSeveney nastawił je na połowę mocy, kierując ku odległym światłom Singapuru. Hanson spojrzał na zegarek. Zbliżała się północ.

15

Czarny Smok wślizgnął się spokojnie w wąski przesmyk prowadzący do delty ujścia niewielkiej rzeki. Widmowa kanonierka dzięki nocy i mgle była prawie niewidoczna. Khan stał na dziobie, nasłuchując. Miał na sobie lekki strój maskujący, ukradziony ze statku wiozącego dostawy dla filipińskiej armii. Nie założył jedynie miękkiego kapelusza, wolał prosty czarny beret komandosów. Na szyi zawiesił noktowizyjną lornetkę, ale jej nie używał. Znacznie bardziej ufał własnym zmysłom. Słyszał falę łamiącą się na linii rafy, w pewnej odległości, a bliżej uderzenia fal o burty *Czarnego Smoka*. Czuł chorobliwie słodki odór korzeniary rosnącej kilka metrów dalej, gnijących roślin oplatających jej korzenie, smród rybiego truchła i lekką woń benzyny.

- Jesteś pewien? - spytał Fu Shenga stojącego tuż za nim.

- Tak. Ma dwa i sześć metra zanurzenia. Potrzebują głębokiej wody, by zacumować.

- Dlaczego tu?

- Jakieś osiemset metrów w górę rzeki jest strumień. Płyną skiffem po świeżą wodę.

- Ilu ich jest?

- Czworo. Trzech mężczyzn i kobieta. Młodzi.

- Dziwne, że wśród nich jest dziewczyna. To nie jest robota dla kobiety.

- Amerykanie. - Fu Sheng wzruszył ramionami, jakby narodowość wyjaśniała wszystko. - Myślę, że dziewczyna jest haczykiem.

- Haczykiem? - nie zrozumiał Khan.

- Ich ofiary rozumują tak, jak każdy by pomyślał na ich miejscu. Ona leży sobie w bikini na pokładzie i opala się. Macha ręką z uśmiechem. Czy może być w tym coś złego? Sam pomyśl.

- A potem pułapka się zatrzaskuje i wina spada na nas.

- To ich metoda - pokiwał głową Fu Sheng. W rytmiczne uderzenia fali o rafę wmieszał się nowy dźwięk. Pomruk silnika. Stawał się coraz donośniejszy. Zbliżali się. Dwóch mężczyzn czekało, nasłuchując.

- Oni - powiedział cicho Fu Sheng. - Co rozkażesz, *tuanl*

- Czekamy, aż zrzucą kotwicę i zdejną skiffa. - Khan przez chwilę milczał. - Ilu z nich popłynie po wodę?

- Dwóch. Dziewczyna z jednym chłopakiem zostają. Widzieliśmy to kilkakrotnie.

- Zabij tych dwóch ze skiffa, kiedy dopłyną do brzegu. My na *Smoku* dopłyniemy do pozostałej dwójki, zanim uda im się zwiąć.

- Rozkaz, *tuan* - powiedział Fu Sheng. Odwrócił się, przeciął pokład i po chwili zniknął w sterówce. Khan stał na dziobie, czekając, aż łódź wpłynie w pułapkę. Amerykanie działali na tym terenie od ponad dwóch lat, ale on nigdy ich nie widział. Wcześniej łódź, teraz pod nazwą *Quicksilver*, należała do bogatego agenta nieruchomości z Vancouveru, który podróżował po świecie w towarzystwie żony i jedenastoletniej córki. Oboje, i on, i żona, byli doświadczonymi żeglarzami, więc powinni byli mieć więcej rozumu, ale natury ludzkiej nie da się zmienić, toteż nie sprawdzili, kim są dwaj młodzi ludzie podróżujący po Azji, łapiący różne okazje i najmujący się do pracy na łodziach. Mężczyźni poderżnęli gardło kilka dni od Manili, a córkę i żonę trzymali jeszcze przez dobry tydzień żywe, gwałcąc je regularnie. Podczas tego tygodnia *Quicksilver* spotkał się z drugą łodzią, *Artemesiq*, pilotowaną przez pozostałych dwoje członków gangu. Po kolejnej serii gwałtów trwającej dwa dni matkę i córkę pozostawili na *Artemesii*, mniejszej z dwóch łodzi, bez jedzenia i picia. Nim sami odpłynęli, uszkodzili jeszcze silnik i za pomocą siekiery wyrąbali dziurę w burcie. Łódź jednak całkiem nie zatонуła i wreszcie została zauważona przez jacht z płetwonurkami, którzy

wypłynęli z kurortu na Pulau Tiga. Zanim łódź płetwonurków dotarła do *Artemesii*, jedenastolatka zmarła z wycieńczenia i wewnętrznych obrażeń, ale jej matka żyła na tyle długo, by opowiedzieć, co się im przydarzyło. *Quicksilver*, pod różnymi nazwami, widywano na obszarze od Hawajów na północy po Nową Zelandię na południu. Uważano, że to jej załoga jest odpowiedzialna za kilka wypadków zaginięcia ludzi. Jak dotąd nie zidentyfikowano brutalnych „piratów”, ale podejrzewano, iż jednym z nich może być Dude Surfer, poszukiwany w kilku stanach za napady z bronią w rękę.

Dźwięk silnika przybrał na sile, Khan podniósł do oczu noktowizor. Świat stał się obrzydliwie zielony i Khan natychmiast ujrzał zwierzynę. Była to łódź typu sabre, długości czternastu metrów, zbudowana w Maine, zaledwie pięcioletnia. Grotzgiel miała spuszczone i zwinięte. Silnik Diesla o mocy pięćdziesięciu koni mechanicznych pozwalał jej płynąć z prędkością ośmiu węzłów, ale na łagodnej, zamulonej rzece o ledwie dostrzegalnym prądzie nie wyciągała więcej niż cztery. Sunęła bez zapalonych świateł pozycyjnych. Przy sterze stał mężczyzna z długimi włosami, kierował łódź w górę rzeki. Na dziobie znajdował się drugi mężczyzna, w szortach i bejsbolowej czapce. Wydawało się, że na jego ramieniu wisi strzelba. Przy pasku miał ciężką malajską maczetę, a pod ramieniem kaburę na jakiś duży rewolwer.

Khan przyglądał się, jak łódź zwalnia, pomruk silnika zamierał. Mężczyzna na dziobie przyklęknął, potem podniósł się, trzymając pazur kotwicy przymocowanej do nylonowej liny. Spuścił kotwicę po boku, zanurzyła się z pluskiem, przymocował krótko linę. Przeszedł na rufę, umocował drugą kotwicę, po czym wziął się za ściąganie skiffa umocowanego z boku. Był to ponton w barwach dżungli. Wyglądał na mocno zniszczony, musiał być dużo starszy niż sama żaglówka. Prawdopodobnie zabrano go z jakiejś innej łodzi. A raczej ukradziono jakiemuś głupiemu Amerykaninowi, który bawił się w żeglarza na monsunowych morzach. Khan odmówił w myślach krótką modlitwę za małą dziewczynkę, która zmarła z rąk tych ludzi w tak haniebny sposób, i przyglądał się, jak schodzili w dół po drabince do pontonu, targając ze sobą kilkanaście pięciogalonowych plastikowych pojemników. Mężczyzna z karabinem usiadł na rufie i włączył silnik o mocy trzech koni mechanicznych. Rozległ się cichy terkot, ponton ruszył. Kątem oka Khan dostrzegł, że jego człowiek lekko się przesunął. Czekał, aż ponton odpłynie, dopiero wtedy wydał rozkaz:

- *Sekarang* - rzucił cicho. Teraz. Jego człowiek nacisnął spust pistoletu maszynowego typu 64, produkowanego przez Chińczyków. Broń ta miała wbudowany tłumik i choć wyrzucała z siebie w ciągu sekundy trzydzieści pocisków, działało się to niemal bezgłośnie. Łuski rozerwały ponton na strzępy, a kilka z nich trafiło obu mężczyznom. Kilka uderzyło

hałaśliwie w zewnętrzną pokrywę silnika. Mężczyźni z krzykiem wpadli w brązową topiel. Khan nie odrywał od oczu noktowizora aż do chwili, gdy ujrzął parę ciężkich ciemnych kształtów, które ruszyły spod korzeniary przy odległym brzegu w kierunku rannych mężczyzn. Jeden z długonosych, żyjących w słonych wodach krokodyli złapał w szczęki głowę długowłosego mężczyzny, rozległo się ciche chrupnięcie rozgniatanej czaszki, z której wypłynęła w kilku miejscach jasna wilgotna substancja mózgowa, niczym sok ze zgniłego owocu. Drugi mężczyzna, młóćąc ramionami, próbował dopłynąć do brzegu, ale kolejny gad złapał go w pasie i wciągnął pod powierzchnię.

- *Lekas!* - Szybko. Nagle rozległ się grzmot, to ożyły potężne silniki *Czarnego Smoka*. Szybki statek wyrwał się z kryjówki do ataku i z całą mocą popłynął rzeką w kierunku miejsca, gdzie stała przycumowana łódź. Nie minęło trzydzieści sekund, gdy rozległy się strzały. W kokpicie pojawiła się postać w samych tylko szortach. Trzymała w rękach rewolwer.

- *Lampu cari* - rozkazał Khan, opuszczając noktowizor. Rozbłysło światło szperacza, łódź wyglądała jak skąpana w błękitnej poświacie. Półnagi mężczyzna podniósł dłoń, by przysłonić oczy. Był dobrze umięśniony, opalony i jasnowłosy.

- Rzuć broń! - zawołał Khan.

- Kim do diabła jesteście? - odkrzyknął blondyn z łodzi.

- *Ke datam sungai* - powiedział Khan do mężczyzny z karabinem maszynowym stojącego tuż przy nim. Mężczyzna załadował kolejny magazynek i wycelował w rzekę tuż przy łodzi. Otworzył ogień tuż przy jej rufie. - Wyrzuć broń - powtórzył Khan. Tym razem mężczyzna na łodzi posłuchał. Pistolet wpadł do wody. U boku Khana pojawił się Fu Sheng. On też miał przerzucony przez ramię karabin maszynowy, a w pochwie na boku półmetrowe bolo, filipińską maczetę.

Czarny Smok uderzył dziobem w kadłub łodzi. Fu Sheng wraz z mężczyzną, który strzelał do pontonu, za pomocą liny połączyli kanonierkę z drugą łodzią. Mężczyzna w bokserkach stał nieporuszony w kokpicie z rękami w górze. Khan zauważył długą węzlastą bliznę, która biegła od ramienia aż na środek klatki piersiowej. Pamiątka po jakiejś starej walce na noże. Ozdoba, jaką można zdobyć w więzieniu. W oczach mężczyzny nie było lęku, tylko gniew. W blasku reflektora widać było wyraźnie ich chłód. Fu Sheng wraz ze swym towarzyszem z karabinem przesuwali się w stronę kokpitu. Fu Sheng zszedł na dół, drugi pozostał na pokładzie. Po chwili Fu Sheng pojawił się znowu, pchając przed sobą nagą młodą kobietę. Próbowwała zakryć się dłońmi. Miała jasną skórę i ciemne włosy, była niezbyt ładna, ale o dużym biuście i długich nogach. Po jej twarzy płynęły łzy. Bała się. W ostrym świetle

Khan widział, że skóra jej ud nie jest już jędrna. Łzy rozmazały makijaż. Była starsza, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. W bikini, z pewnej odległości nie miało to znaczenia. Zastanowił się, jaki typ kobiety maluje się na otwartym oceanie. I odpowiedział sobie, że kobieta, która rozbiera się dla takiego mężczyzny jak ten z blizną. Oboje przypominali mu parę płaskogłowych węży, które obserwował kiedyś na bagnach. Ci ludzie nie posiadali dusz.

- *Awak boleh berbahasa Inggeris!* - zapytał mężczyzna z blizną. Jego wymowa była koszmarna.

- Tak - odpowiedział said Khan. - Mówię po angielsku.

- Dlaczego to robicie? Nic do was nie mamy.

- To moje terytorium - odparł Khan. - Nie macie tu żadnego interesu.

- W takim razie dajcie nam odpłynąć.

- Być może pozwolimy wam na to. Ale jeszcze nie teraz.

- Zabiliście Hanka i Jimmy'ego! - wyrwało się nagiej dziewczynie. - Skurwysyny!

- Jak jej na imię? - zapytał Khan mężczyznę z blizną.

- Bonnie.

- Więc powiedz Bonnie, że jeśli nie będzie cicho, odetnę jej język i wrzucę dla *buaya*, który zjadł jej przyjaciela.

- Nie śmieć mnie dotknąć! - wrzasnęła Bonnie, rzucając się w uścisku Fu Shenga. - Jestem amerykańską obywatelką. Niech was cholera! - Szarpnęła się znowu. Fu Sheng użył swej wolnej ręki i z całej siły uderzył ją w twarz. Złamał kilka zębów i nos. Popłynęła krew, kobieta zanosząc się płaczem, osunęła się na kolana. Fu Sheng puścił ją. Zwinęła się w kłębek i jęczała głośno. Mężczyzna z blizną nie spuszczał wzroku z Khana.

Ten odwrócił się i podał noktowizor mężczyźnie stojącemu za sterem *Czarnego Smoka*. Przeskoczył nadburcie i wylądował na pokładzie łodzi. Podszedł do kokpitu, przeszedł nad zakrwawioną kobietą i pochylając głowę, zszedł po trzech stopniach do głównego salonu.

- *Membawa mereka* - powiedział, nie odwracając się. Przyprowadź ich.

Rozejrzał się po salonie. Było w nim całkiem luksusowo, choć najwyraźniej od dawna nikt tu nie sprzątał. Ściany wyłożone korkowcem z punktami świetlnymi w strategicznych miejscach. Wszystko inne z jakiegoś jasnego egzotycznego drewna. Po prawej stronie sprytnie rozmieszczona kuchnia z kuchenką gazową, lodówką i mikrofalówką. Po drugiej stronie świetnie wyposażone miejsce nawigacyjne. Stamtąd wąskie przejście prowadziło w dół, najprawdopodobniej do głównej kajuty. Pomiedzy kuchnią a miejscem do nawigacji rozpościerał się rzeczywisty salon. Po prawej stronie kanapa, która wyglądała, jakby można ją

było rozłożyć i zamienić na pojedyncze łóżko, a po lewej coś na kształt małej jadalni, dwie ławy po przeciwnych stronach stołu. I kanapa, i ławy pokryte były materiałem w kolorze głębokiej zieleni.

Po obu stronach widniały romboidalne luki. W porannym świetle miejsce wyglądało jasno i zachęcająco. Drugi wąski korytarzyk prowadził do wąskich drzwi. Tam prawdopodobnie można było znaleźć dwie kuszetki.

Kambuz był brudny, a na stole leżały nieumyte talerze. Całe wnętrze przesiąknięte było smrodem ciał, starym potem i alkoholem. Khan przyklęknął i wyciągnął skrzynię spod kanapy. Wypełniał ją starannie ułożony ekwipunek przeciwsztormowy w jaskrawych kolorach. Najwyższej jakości. Poprzedni właściciele byli uważni i metodyczni. Ludzie, którzy zajęli ich miejsce, przypominali świnie. Ale teraz nadszedł ich kres. Powróci równowaga.

Fu Sheng sprowadził do salonu na wpół nagiego mężczyznę. Drugi żołnierz prowadził dziewczynę, która opadła na kanapę, zwinęła się w kłębek, wciąż łkając przez krew, która płynęła z poranionych ust i resztek nosa. Fu Sheng pchnął mężczyznę w bokserkach na ławkę w kąciku śniadaniowym. Khan usiadł naprzeciwko. Teraz już mężczyzna wyglądał na przestraszonego, w małych niebieskich oczach pojawił się popłoch.

- Wiesz, kim jestem, prawda? - spytał Khan.
- Khan, pirat *bokap*.
- A ty Surfer Dude.
- Więc tak mnie nazywają? - Mężczyzna parsknął gorzkim śmiechem.
- Napadałeś na sklepy.
- Owszem.
- A potem zjawiłeś się tutaj.
- W pewnym momencie wydawało się, że to bardzo dobry pomysł.
- Uważasz, że jesteś rozrywkowym facetem.
- Niekiedy.
- Ale nie tym razem - powiedział Khan. - To nie jest zabawa.
- Rzeczywiście, to nie wygląda na zabawę.

Khan sięgnął do kieszeni wojskowej bluzy i wyciągnął mały błyszczący krążek metalu. Położył go na laminowanej powierzchni stołu. To był kawałek złota, mniej więcej dwa i pół centymetra na pięć, z zaokrąglonymi rogami. W jednym rogu widniał okrągły cesarski znak w kształcie chryzantemy o szesnastu płatkach, a poniżej liczba **777**.

- Rozpoznajesz to?

- Nie - odparł mężczyzna w bokserkach. - Kłamiesz. - Khan spojrział na Fu Shenga stojącego obok. - *Nia tangan* - powiedział. Fu Sheng złapał na wpół nagiego mężczyznę za ramię. Wyciągnął z kieszeni bluzy chirurgiczną rurkę i owinął ją starannie wokół nadgarstka.

- Po co to robisz?

- Żeby powstrzymać krwawienie - odparł Khan. - Jakie krwawienie?

Jednym błyskawicznym ruchem Fu Sheng wyciągnął bolo z pochwy i odciął ostrym jak brzytwa ostrzem kawałek dłoni. Kawałki ciała spadły z ostrza na podłogę salonu. Biały mężczyzna w bokserkach wpatrywał się w krew i to, co zostało z jego dłoni. Fu Sheng schował nóż i zaciągnął rurkę jeszcze mocniej. Krwawienie ustało. Blondyn wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Naga kobieta, patrząca z kanapy na zniszczoną dłoń i resztki palców na podłodze, z wymiotowała.

- Ta sztabka złota o wadze jednej uncji pochodzi z banku Nippon Ginko. W Japonii. Z czasów drugiej wojny światowej. Rozpoznajesz ją?

- Tak - odpowiedział mężczyzna, szczękając zębami.

- Sprzedałeś ją na Labuan malajskiemu handlarzowi złota, nazywał się Wei Yang.

Labuan jest wyspą w obszarze wolnocłowym u północno-zachodnich wybrzeży Borneo.

- Tak.

- Skąd to wziąłeś?

- Od faceta, którego spotkałem... w burdelu. To był Chińczyk.

- Jak się nazywał?

- Nie pytałem.

- Skąd to miał?

- Ze statku. - Jakiego statku?

- Przemysłowego. Chcieli go załatwić, ale to on załatwił ich.

- Zabił ich?

- Tak. Wszystkich.

- Ilu?

- Pięciu.

- Co to była za łódź?

- Wyglądała jak stary lugier do połowu pereł. To mógł być jakiś stary kuter. Powiedzmy sto ton. Jakiś Amerykanin lata temu zrobił sobie z niego dom. Przemysłnik zabił go i zabrał łódź. Była duża i miała potężne silniki. Ale słabo uzbrojona. - Mężczyzna z

kikutem dłoni jęknął głośno. Jego twarz przybrała kolor popiołu. Szok. Za kilka minut zemdleje.

- Czy ta łódź miała jakąś nazwę?

- *Pedang Emas. Złoty Miecz.*

- Z jakiego portu?

- Nie powiedział.

- Zamboanga?

- Może. Może to był włóczęga, bez żadnego portu.

- Niby czemu miał ci to wszystko mówić?

- Chciał mi sprzedać złotą sztabkę. Był pijany. Zrobił z siebie durnia. Przechwalał się.

- Gdzie to było i kiedy?

- Dwa miesiące temu. W Kampong Sugut. Miejscowość u wybrzeży Kudat. Wschodnie wybrzeże morza Sulu. *Czarny Smok* dotrze tam w trzy noce. *Złoty Miecz* najprawdopodobniej zarabiał na przewożeniu towarów z Chin do Zamboangi, w tym narkotyków i broni.

- Czy ten Chińczyk pytał przemytnika, skąd miał złoto?

- Nie wiem.

Khan podniósł wzrok na Fu Shenga i skinął głową. Ten wyciągnął maczetę i unióś ją w górę. Mężczyzna z okaleczoną dłonią szarpnął się do tyłu.

- Czy pytał przemytnika, skąd ten ma złoto? - powtórzył pytanie Khan.

- Tak.

- I co powiedział przemytnik?

- Jakąś historię. Głupią historię.

- Jaką?

- O człowieku na tratwie.

- Co powiedział o tym człowieku?

- Miał na sobie mundur, a właściwie to, co z niego pozostało.

- Jaki mundur?

- Mówił, że japoński. - Japoński?

- Z czasów drugiej wojny światowej.

- A złoto?

- Zaproponował je przemytnikowi za to, by go wziął na pokład. Obiecał mu więcej. Przemtynik torturował go, ale mężczyzna zmarł, zanim powiedział mu, gdzie jest złoto.

- Szalona historia.

- Tak, szalona.
- Kampong Sugut.
- Już ci powiedziałem.

Khan pomyślał o wirach i prądach, wyobraził sobie tratwę i człowieka na niej. Sięgnął ręką po złoty płatek, trzymał miękki metal między kciukiem i palcem wskazującym.

- Mała dziewczynka - powiedział Khan.
- Co?
- Dziewczynka, która była na tej łodzi.
- O co pytasz?
- Gwałciłeś ją, a potem pozostawiłeś z matką na pewną śmierć.
- Tak, i co?
- Jak miała na imię?
- O czym ty gadasz?
- Nawet nie znasz jej imienia. Gwałcisz dziecko i nie masz pojęcia, kim ono jest?
- Pieprz się.

- *Dia leher* - powiedział Khan do Fu Shenga. Ten złapał mężczyznę za głowę tak, że mu się wyprężyła szyja. Khan zwinął dłoń w pięść i uderzył ze wszystkich sił, miażdżąc kości, mięśnie krtani i powodując pęknięcie chrząstki tarczycy lub jabłka Adama. Gardło mężczyzny natychmiast spuchło, zamykając się dokładnie ponad tchawicą i tamując dostęp powietrza. Twarz mu zzieleniała, zaczął się dusić. Dziewczyna patrzyła przerażona.

- Co się dzieje?! - wrzeszczała. - Co wy robicie?

Khan uderzył mężczyznę kolejny raz, łamiąc mu nos i szczękę, krew wypełniła zatoki, teraz nie tylko się dusił, ale jednocześnie tonął.

- Na pokład z nim - powiedział do Fu Shenga po malajsku. Khan wysunął się z siedziska i wyszedł na świeże powietrze, wdychając ciężki, zgniły zapach rzeki i dżungli. Za nim Fu Sheng ciągnął dławiącego się i umierającego mężczyznę, którego wzrok wyrażał już tylko przerażenie, a płuca desperacko próbowały złapać powietrze.

- Wyrzuć go na tę stronę - powiedział Khan. Sięgnął do lewej kieszeni bluzy i wyjął cienki, ręcznie zwinięty arabski papieros, zapalił go zwykłą kuchenną zapalką. Patrzył, jak Fu Sheng spycha umierającego do mulistej rzeki. Mężczyzna poszedł pod wodę, po czym wy dostał się na powierzchnię młóćąc rękami. Teraz jego twarz pokrywało błoto, czaszkę oblepiały długie strąki. Miotnął się gwałtownie, gdy pierwszy wielki krokodyl zaatakował go od spodu. Gdy drugi gad oderwał mu nogę wraz z genitaliami, wydał z siebie zdławiony wrzask. Pierwszy z krokodyli wydobył się z wody, machając ludzkim torsem w powietrzu,

jelita fruwały, lśniąć między wielkimi błyszczącymi zębami. Mężczyzna wciąż jeszcze żył, uderzał dłońmi słabo o wodę, ale w tej chwili krokodyl obrócił się i kolejny raz zwarł szczęki, miażdżąc żebra i klatkę piersiową, a potem wciągnął go pod powierzchnię.

- Kolejny raz opowieść o japońskim żeglarzu - powiedział Fu Sheng.
- Wierzysz w nią? - spytał Khan.
- Słyszemy ją po raz trzeci.
- Mówiło się o tym od lat.
- I znamy miejsce. Kampong Sugut.
- Co o tym myślisz, stary przyjacielu?
- Myślę, że plotka jest plotką, ale fakt jest faktem. Khan uśmiechnął się.
- Co w takim razie powiesz o opowieściach starych kobiet i baśniach dla dzieci?
- Masz na myśli Naga Pulau?
- Owszem.

Naga Pulau, Wyspa Smoka, Wyspa Sztormów, mitologiczna ojczyzna Kinabalu i Yamato ne Orochi. Trzy skarby i Kusanagi, święty miecz. Legendarna wyspa w wieńcu mgieł, otoczona przez rafy i tysiące wraków, koszmarna Nemezis żeglujących po Morzu Południowochińskim. Być może również miejsce narodzin King Konga i pierwowzór *Parku Jurajskiego*.

Fu Sheng parsknął.

- Uważam, że to dobre do gier wideo i dla białych kobiet, udających, że znają feng shui. I myślę, że opowieści starych kobiet są dla starych kobiet, a bajki dla dzieci. Żeglowałem po tych morzach od małego i nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie ma takiego miejsca jak Naga Pulau.

Khan roześmiał się, wydmuchując korzenny dym z papierosa.

- Jesteś starym, zgorzkniałym człowiekiem.
- Być może, ale przynajmniej żyję, nie tak jak nasz przyjaciel Surfer Dude.

Fu Sheng potrząsnął głową.

- Naprawdę tak się nazywał?
- Najwyraźniej.
- Amerykanie to dziwny naród. Tak jak ich kreskówki, które można obejrzeć w sobotę rano.

Fu Sheng od lat oglądał z upodobaniem amerykańskie kreskówki. Teraz popatrzył na szybko rwącą, mulistą rzekę.

- Co robimy?

- Wszystko zgodnie z planem. Ja płynę na *Czarnym Smoku* do Kampong Sugut. Ty za mną na łodzi. Spotkamy się za pięć dni.

- A co z naszymi przyjaciółmi z Amsterdamu?

- Raz nam się nie udało, uda się za drugim. Znajdź mi *Batavia Queen*.

16

Mesa na *Batavia Queen* była dużym pomieszczeniem o suficie opadającym w stronę silnika, położonego dokładnie pod mostkiem. Początkowo przeznaczona na pomieszczenie dla oficerów, kiedy statek był jeszcze trałowcem, w którymś ze swych późniejszych wcieleń została wyłożona sklejką i dostosowana dla całej załogi. Pokład był pomalowany na zjadliwie zielony kolor, przy ścianach znajdowało się kilka boksów, a pośrodku przymocowano trzy stoły. Na ścianach biegiem lat pojawiały się kolejne półki, a na nich urządzenia typu toster, kuchenka mikrofalowa czy radiomagnetofon. Na innych stały suche produkty żywnościowe, trochę starych gazet i kolorowych pism.

Pieczę nad tym pomieszczeniem powinien sprawować steward Bazooki, jednak zarówno sprzątanie jak i inne czynności wykonywane były od przypadku do przypadku przez wszystkich jedenastu członków załogi, w tym także kapitana Brineya Hansona. Biorąc to pod uwagę, wewnątrz było zaskakująco czyste i schludne, ale przesiąknięte zapachem jakiegoś środka czyszczącego o syntetycznym aromacie sosny, od którego Finn Ryan robiło się wręcz niedobrze.

Silniki *Queen* buczały głucho, obracając się powoli, gdy statek stał przy nabrzeżu paliwowym w dokach Jurong na terenie portu Singapur. Przez iluminatory na lewej burcie Finn widziała ponad dachami magazynów światła na Pioneer Road, a jeszcze dalej na autostradzie Ayer Rajah. Nowy Jork mógł być miastem, które nigdy nie usypia, ale Singapur był miastem, które nigdy nie zamiera. Dochodziła trzecia nad ranem, a strumień samochodów, pomruk silników i lśnienie reflektorów nie ustawało. Próbowwała się skupić na opowieści Brineya Hansona o pyzaty oficerze policji, niejakim Lazło Aragasie, który wydawał się postacią wyjętą wprost ze starych filmów z Humphreym Bogartem, ale oczy jej się zamykały. Hanson nie przestawał mówić od chwili, kiedy znaleźli się na pokładzie tego starego, zardzewiałego frachtowca, co wprawiało ją w stan pewnego znużenia.

Najwyraźniej Billy też tak się czuje, myślała Finn.

- Więc Aragas ściga tego pirata, Malaja, który jak twierdzisz, był tym, który wysadził moją łódź? - zapytał.

- Z tego, co słyszałem, Khan jest bardziej rewolucjonistą niż piratem, a jeśli już piratem, to raczej w stylu Robin Hooda.

- Kradnie bogatym i oddaje biednym? To masz na myśli? - spytał Billy.

Hanson przytaknął.

- Coś w tym stylu.

- A jednak ma też związek z wysadzeniem naszej łodzi w Amsterdamie i chciał nas porwać w Londynie? Hanson wzruszył ramionami.

- Najwyraźniej - powiedział. - I wcale mnie to nie dziwi. Jeśli człowiek, który mieszka w jaskiniach Afganistanu, może wysadzić w powietrze World Trade Center w Nowym Jorku, dlaczego Khan nie miałby wysadzić twojej motorówki? Świat zrobił się bardzo mały. W Paryżu jesz lancz, a na weekend lecisz na Fidzi.

- Może masz rację - burknął Billy.

- Ale uważasz też, że to ma jakiś związek z pieniędzmi? - spytała Finn.

- Nie wydaje mi się, by Aragasa interesowała po prostu sprawiedliwość.

- Więc wierzysz w tę historię o japońskiej łodzi podwodnej? - spytał Billy. W jego głosie wyraźnie dźwięczał sceptycyzm.

- Wierzę, że Aragasa w nią wierzy. Wszystko mi mówi, że ten człowiek jest chciwy. Jeśli on uważa, że Khan odnalazł jakiś skarb, będzie chciał swoją działkę, jeśli nie wszystko.

- Co to jest to CISCO, dla którego on pracuje?

- Prywatny oddział policji singapurskiej, stowarzyszony z siłami zbrojnymi i morską strażą graniczną.

- Skorumpowany?

- A czy papież jada jeszcze ryby w piątki?

- W takim razie uważasz, że Aragasa wykorzystuje CISCO, żeby zdobyć skarb dla siebie?

- Tak. Może inni są również w tej grze, ale on jest szefem.

- A my w tym wszystkim jak śliwka w kompocie.

- Nie powinnam była nigdy wyjeżdżać z Columbus. - Finn ziewnęła. - No dobrze, to gdzie się teraz wybieramy?

- Po pierwsze jak najszybciej wypływajmy z Singapuru, nie ma droższego portu na całym świecie. Chciałbym wyruszyć, jak tylko skończymy brać paliwo. To ostatni raz, kiedy udaje mi się ją zatankować na kredyt Boegart Shipping. - Hanson spojrzął ponad stołem na Finn i Billy'ego. - Teraz to już będzie należało do was. *Queen* wciąż jeszcze nadaje się do

pracy i ma do tego chęci, ale statki towarowe pobierają paliwo w sektorze „C” i przewożą taki towar, jaki zdołają zdobyć, a nie mrzonki i ukryte skarby.

Billy sięgnął do kieszeni, wyciągnął portfel, a z niego kartę kredytową. Rzucił ją na stół. Rozległ się metaliczny dźwięk. Karta była czarna, miała litery z tytanu i numery.

Hanson wziął kartę i obejrzał ją uważnie. Postukał nią o stół. Z pewnością nie był to plastik.

- Myślałem, że to jedna z miejskich legend - powiedział.

- Akurat ta legenda od dziś będzie płacić za tankowanie w sektorze „C” - odparł Billy.

- Ostatnim miejscem, gdzie widziano Pietera Boegarta, była wyspa Labuan. Możesz nas tam zawieźć?

- Już ustalam kurs - uśmiechnął się Hanson, podrzucając czarną kartę.

Podróż zabrała im nieco ponad trzy dni, najpierw przez Cieśninę Singapurską i przesmyk Api, następnie podążyli linią korzeniary wzdłuż zachodniego wybrzeża Borneo na północ szlakiem, który doprowadził ich do Bataan i Manili. Pogoda była dobra, gorące słońce przypiekało stary statek tak mocno, że zardzewiały pokład i grodzie były zbyt gorące, by je dotykać gołą ręką czy bosą stopą, szum klimatyzatorów nieustannie zlewał się w ryczącą symfonię z dudnieniem silników, delikatnym uderzaniem morza o kadłub i dysonansowym podzwanianiem klucza nastawczego Run-Run McSeveneya o kolejną część odpornej maszynerii i towarzyszącą temu nieustanną, pomysłową międzynarodową rytmiczną wiązką przekleństw.

Finn wykorzystywała czas, żeby powąłęsać się po statku, zaglądała w każdy kąt, od urządzenia sterowego na rufie po pomieszczenie z latarnią na dziobie, i wszystko to wydawało jej się dziwnie odurzające i ekscytujące, jakby została stworzona do życia wśród zapachów morza, rozgrzanej ropy i starych lin. Poznała załogę, pomagając McSeveneyowi oliwić jego ukochany silnik, łowiąc ryby na spinning z Toshim Minimoto, japońskim kucharzem, a potem razem z nim przygotowywała je w ciasnym kubryku pod pokładówką, przysłuchując się jak Elisha Santoro opisuje geografii miejsc, które mijali.

Billy większość czasu spędzał na mostku z Hansonem, starając się pojąć skomplikowany proces dowodzenia takim staroświeckim parowcem jak *Batavia Queen*. Szybko pojął, że to coś więcej niż żeglowanie po Tamizie czy nawet przez Kanał La Manche. Tutaj trzeba było rozróżniać kilkanaście różnych rodzajów znaków wytyczających drogę i boi ostrzegających przed niebezpieczeństwem, różniących się kolorem, a do tego pomalowanych w paski, romby, kręgi, a także w stożki, koła, bawiące się delfiny we wszystkich możliwych kolorach i różnych kombinacjach, z których każda oznaczała coś innego.

- To trudniejsze niż prowadzenie cholernego samochodu czy kierowanie samolotem.

- A w różnych miejscach masz różne oznaczenia. Niby system jest zunifikowany, ale u Malajczyków, Brunejczyków, Wietnamczyków i Chińczyków oznaczenia nieco się różnią.

Gorsze od mnogości informacji związanych z bojami i innymi oznaczeniami oceanicznymi są niewidoczne niebezpieczeństwa związane z płyciznami przy rafach i coś, co Hanson nazywał „nieuczciwą ziemią”, widoczne tylko przy odpływie. Między Singapurem i Labuan występuje, lekko licząc, tysiąc wysp, pewnie dwa razy tyle niewidocznych atoli i dziesięć razy tyle mielizn. Co gorsza, Przeprawa Palawan, jak nazywają ją marynarze, to jedna z najczęściej używanych wodnych dróg. Biorąc pod uwagę rozmiary i inercję statków, pływanie nią z grubsza można porównać do jazdy ulicami Los Angeles w godzinach szczytu przy wyłączonej sygnalizacji świetlnej i bez możliwości zjazdu na pobocze.

Statkom groziły ukryte skały w Badas Kepulauan lub wielkie płycizny, które rozciągały się za Telok Tambelan. Nawet terminologia była dziwna i myląca. *Malang* oznaczało rafę lub mieliznę, a to samo nazywano również *napu*. Przylądek to *tandjong*, a spokojne morze *tenang*. *Sawang* oznaczało cieśninę, *selatan* południe, a *sungai* rzekę. *Tukoh* podwodną skałę, a *trumbu* wyschlą rafę. *Tjeck* - płyciznę a *terumbu* - kanał łączący.

- I na dodatek musisz znać te słowa także po holendersku, ponieważ najlepsze mapy to te stare holenderskie - śmiał się Hanson. - Trzeba się nieźle nagimnastykować, wierz mi.

Labuan, którego nazwa wywodzi się od malajskiego słowa oznaczającego kotwiczowisko, jest wyspą o powierzchni czterdziestu ośmiu kilometrów kwadratowych, porośniętą niewysoką dżunglą, która wygląda jak odcisk przyciężkawego dinozaura o trzech palcach u nóg, a które wskazują, że owa Godzilla zmierza w stronę maleńkiego królestwa Brunei. Pomiędzy drugim i trzecim palcem znajduje się port oraz miasto zamieszkiwane przez siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców, niegdyś, w czasach białych radzów, nazwane Victoria, teraz mające nieco mniej romantyczną nazwę Bandar Labuan, a zwane też po prostu Labuan. Pierwotnie służyło jako baza marynarki walczącej z piratami, następnie stanowiło lokalizację Singapore Hong-Kong Telegraph, ale nigdy nie stało się niczym więcej niż kolonialnym zaściankiem.

Kiedy dołączyło w latach osiemdziesiątych do Federacji Malezji, poczyniono próby stworzenia tam centrów bankowych, strefy wolnościowej, centrum przetwórstwa ropy naftowej, ale nic z tego tak naprawdę nie wyszło, bo większość zamieszkujących tam ludzi wolała żyć tak jak dotychczas. Wykwalifikowany personel techniczny, pracujący w rafinerii lub w wielkiej stoczni rządowej, mieszkał w schludnych, subwencionowanych wysokościach w centrum miasta, w sąsiedztwie kilku hoteli, podczas gdy robotnicy

niewykwalifikowani i ich rodziny gnieśli się w budach na palach *kampung ayer* lub w wioskach na wodzie przy porcie na środkowym „palcu”.

W Labuan były dwa takie ciągnące się kilometrami niby slumsy, *Kampung Bebuloh* i *Kampung Patau-Patau*. Oba te miejsca stanowiły atrakcję turystyczną, pełno tam było sklepików, małych warsztatów, gdzie wyrabiano różne przedmioty. Kryte blachą, otwarte budowle połączone były labiryntem drewnianych kładek, do których można było dotrzeć tylko taksówkami wodnymi. Dużo większy *Kampung ayer*, umiejscowiony bliżej portu, zajmowało kilka tysięcy filipińskich osadników.

Tam żyła prawdziwa labuańska biedota, większość tych ludzi pracowała, sprzedając swoje ciała na pływających burdelach, na terenie *kampung ayer*, a także w barach, na dyskotekach, w klubach karaoké, w zakładach fryzjerskich i salonach masażu na obszarach hotelowych. Wśród tych, którzy znają się na rzeczy, Labuan jest równie ważnym centrum przemysłu erotycznego jak Bangkok i można tu otrzymać wszystko, co się tylko zamarzy, jeśli się ma na to dość pieniędzy.

Batavia Queen dopłynęła do Labuan tuż po dwunastej w południe, przycumowała w doku Merdeka, blisko ultranowoczesnego terminalu dla promów. Finn wraz z Billym, stojąc w sterówce, widzieli wyspę w całej okazałości. Zgodnie z opisem Brineya Hansona, była płaska niczym naleśnik, największy punkt wznosił się sto pięćdziesiąt metrów ponad powierzchnię morza. Z miejsca, w którym stali, widać było tylko lśniące białe budynki hoteli niewielkiego nowoczesnego miasta na wschodzie, a ku północy rozciągający się zielony obszar dżungli. W oddali, za hotelami i złoto-białą cebulastą kopułą centralnego meczetu, widniały kominy zakładów petrochemicznych i ogromne hangary rządowych stocznii.

Podczas gdy Elisha poszedł do komory celnej zgłosić ich przyjazd i załatwić tankowanie, McSeveney i Toshi Minimoto skierowali się do supermarketu przy Tun Mustapha po zapasy, w tym kilka skrzynek piwa Orangeboom Dutch, uwielbianego przez załogę *Batavia Queen*. Hanson wraz z Finn i Pilgrimem wybrali się na spotkanie z Ostermanem, tajemniczym handlarzem antyków, który sprzedał Pieterowi Boegartowi małą złotą figurkę.

Wsiedli przy moło zatoki do zaskakująco nowoczesnej pangii, taksówki wodnej o długości ośmiu metrów, i ruszyli z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Dziesięć minut później zjawili się w *Kampung Patau-Patau*, zręcznie omijając flotę łodzi z płetwonurkami wyruszającymi w stronę „kurortowych wraków”, zatopionych wzdłuż linii mielizn i wysepek pomiędzy Labuan i głównym lądem Brunei. Hanson wiedział o czterech wrakach: *Tung Huang*, chińskim frachtowcu przewożącym cement przeznaczony na pałac

sultana Brunei, S.S. *De Klerke*, skonfiskowanym przez Japończyków podczas II wojny światowej i zatopionym przez australijskie siły powietrzne, U.S.S. *Salute*, poławiaczu min, bardzo przypominającym oryginalną *Batavia Queen*, i filipińskim trawlerze, *Mapine Padre*, który zatonął na skutek pożaru w latach osiemdziesiątych. Cztery wraki i przemysł erotyczny - to była podstawa ekonomii Labuan.

Taksówka wysadziła ich przy wyglądającym raczej rachitycznie drewnianym moło bez poręczy, na które wspięli się po bambusowej drabince.

- Jak mamy znaleźć tego Ostermana? - spytał Billy, spoglądając na wąski drewniany pasek nabrzeża. Naprzeciw nich stała mieszanina budynków skleconych z byle czego, od wyklepanych beczek po ropy po ciężkie plastikowe płachty. Wyglądało na to, że przy każdym domu przycumowana jest mała łódka, a każde okno przyozdobiono skrzynką pełną kwiatów. Blaszane dachy i ściany pomalowane były w jaskrawych odcieniach błękitu, żółci i zieleni.

- Pewnie po prostu powinniśmy zapytać. - Finn wzruszyła ramionami.

Kawałek dalej na pomoście bawiła się grupka dzieci, które zrzucały się wzajemnie do wody, wdrapywały z powrotem po bambusowych wspornikach, by zacząć wszystko od nowa. Poubierane były na wszelkie możliwe sposoby, jedne wręcz golusieńkie, inne w białych majteczkach, a jeszcze inne miały na sobie kolorowe sarongi. Wydawało się, że nie pilnuje ich nikt dorosły, ale starsze dzieci miały oko na młodsze. Finn nagle odniosła wrażenie, że powraca do swego dzieciństwa na farmie wuja Danny'ego, przylegającej do rzeki Big Darby tuż pod Maryville. Chodziła pływać tak samo jak te dzieciaki, nigdy nie bała się, że utonie, że porwie ją prąd i nikt z dorosłych też się o to nie martwił. Wtedy wydawało jej się, że świat to najbezpieczniejsze miejsce, i najwyraźniej gdzieś taki pozostał. Uśmiechnęła się do dzieci, których błazeństwa wyraźnie przybrały na sile, w momencie kiedy dostrzegły, że mają widownię.

Finn spojrzała w głąb wody. Wydawała się niezanieczyszczona, głęboka na jakieś trzy, pięć metrów. Poprzez wodę dostrzegła piaszczyste dno. Powierzchnia była zadziwiająco czysta, nigdzie ani kawałka pływającego plastiku czy czegoś innego. Ludzie, którzy tu mieszkali, najwyraźniej dbali o otoczenie. Łodzie przywiązane do prywatnych pomostów były tylko starymi wiosłowymi kryptami z przyczepionymi silnikami, ale wszystkie świeżo odmalowano w jaskrawych kolorach, podobnie jak domki, każdy też miał starannie wpisana na dziobie nazwę.

Kiedy zbliżyli się, dzieci zaprzestały zabawy i stały cicho, przyglądając się im szeroko otwartymi z ciekawości oczami. Żadnych okrzyków, żadnej żebraniny, tylko uważna ocena: przyjaciel czy wróg.

- *Di mana Osterman tuant* - spytał Hanson. Jeden z chłopców, najwyższy, w postrzępionych czerwonych szortach, wskazał poważnie na dużą budę z jaskrawoniebieskim dachem i skrzynką pod oknem pełną płomiennych azalii.

- *Tuan Osterman kedai* - odparł uroczyście.

- To jest sklep Ostermana - przetłumaczył Hanson.

- *Terima kasih* - powiedziała Finn, wykorzystując tę odrobinę malajskiego, jakiego nauczyła się od Bazooki, stewarda. Co znaczyło dziękuję.

- *Sama-sama!* - odparł mile zdziwiony chłopak.

- Czy powinienem dać mu jakieś pieniądze? - spytał Billy.

- Dlaczego? - odpowiedział pytaniem Hanson. - Pokazał ci po prostu kierunek. Nie oczekuje niczego w zamian. Ci ludzie nie są żebrakami, po prostu są ubodzy.

Poszli zgodnie ze wskazaniem dziecięcych palców, klucząc wąskimi przejściami, aż wreszcie dotarli do sklepu Ostermana. Cały fronton budynku był otwarty, na noc spuszczano bambusową roletę. Sklep stanowiło jedno wielkie pomieszczenie, na półkach zgromadzono dziwaczny wybór przedmiotów, od obrazków z czasów wiktoriańskich w ozdobnych ramach po zestaw Barbie w stylu azjatyckim, przedmioty, które można było tu kupić za pół ceny, powkładane były w tekturowe pudła zakryte plastikiem, przypominające nieco trumny. To tylko sklep ze starzyzną i trudno myśleć o Ostermanie jako o handlarzu antykami, pomyślała Finn. Przez chwilę zastanawiała się, czy chłopak nie wskazał im złego miejsca.

Za bambusowej zasłony, która oddzielała właściwy sklep od zaplecza, wyłonił się mężczyzna. Był wysoki, zgarbiony, sześćdziesięcioletni. Miał długie włosy w strąkach, bardzo biały brzuch zwisał nad paskiem brudnego sarongu. Nosił niemodne plastikowe okulary, w jednej ręce trzymał miskę wykonaną z jakiegoś tworzywa, w drugiej pałeczki.

- Pan Osterman? - spytała Finn.

- Mów do mnie Bernard, moja droga - powiedział mężczyzna. Za pomocą pałeczek wkładał do ust pierożki, przyglądając się gościom znad brzegu miski. - Nie wyglądacie na przypadkowych turystów - uśmiechnął się. Mówił doskonale po angielsku, ale wyczuwało się niemiecki lub austriacki akcent.

Finn sięgnęła do kieszeni koszuli po mały złoty amulet. Wyciągnęła dłoń w jego kierunku. Bernard Osterman spojrział, ale nie zrobił żadnego ruchu, by po niego sięgnąć.

- Myślałem nieraz, czy to świedzielnko nie wróci, by mnie znowu nękać - westchnął.

- Sprzedał je pan mojemu krewnemu, Pieterowi Boegartowi - powiedział Billy.

- Nie tak mi się przedstawił. Wiem, że był Holendrem. Mówił, że jego nazwisko brzmi Derlagen.

- Tak nazywa się jego prawnik. - Jeden z tych Boegartów?

- Czarna owca - odparł Billy.

- Sam coś o tym wiem. - Osterman uśmiechnął się.

- Musiał tu przyjść z jakiegoś powodu - odezwała się Finn. - Podobnie jak my nie był przypadkowym turystą.

- Masz rację, moja droga. - Zamilkł. - Nie jestem pewien, czy rozumiem twoją rolę w tym wszystkim.

- Pieter Boegart jest także moim krewnym - odparła, uświadamiając sobie, że wreszcie zaakceptowała niewierność matki i może nawet jego ojcostwo. W jakiś sposób wszystko to przestało być aż takie ważne.

- Rozumiem... wydaje mi się - mruknął Osterman, przenosząc wzrok z Billy'ego na Finn i z powrotem.

- Jak Pieter Boegart trafił na pana? - spytał Billy.

Osterman znowu uśmiechnął się i włożył do ust pierożek. Potem odstawił miskę z pałeczkami na pobliski stolik i z zadowoleniem cicho beknął.

- Uczyłem się mojego fachu w Berlinie jako bardzo młody chłopak, miałem sześć, siedem lat, nie nadawałem się nawet do *Deutsches Jungvolk*. Żeby przeżyć w Berlinie po czterdziestym piątym, trzeba się było nauczyć bardzo wielu rzeczy, ale najważniejszy był handel, wymiana jednych rzeczy na drugie, by wreszcie zdobyć to, czego się potrzebowało. Człowiek uczył się także robić wszystko to, co było konieczne, by zdobyć, czego potrzebował albo żeby inni tego nie zdobyli. Wszystko co było konieczne, choć żeby nie wiem jak nieprzyjemne. Najważniejsza była wymiana informacji. Trzeba wiedzieć, gdzie ucho przyłożyć. Potem, kiedy wreszcie opuściłem Berlin i dotarłem w to zapomniane przez Boga miejsce, po prostu stosowałem te same zasady.

- Niezupełnie - odparła Finn. - Ale wciąż pan nam nie powiedział, w jaki sposób w pana ręce trafiła ta złota figurka.

- Czy pani wie, co to jest?

- Pochodzi z Mali - odpowiedziała Finn. - Czternasty wiek.

- Okres panowania Mansy Musy, króla Mali i Timbaktu, tego który jako pierwszy poprowadził swój lud do Mekki, tak, tak, wszystkie te stare opowieści o kopalniach króla Salomona waszego Ridera Haggarda, ale to nie jest odpowiedź, której oczekujecie.

- Może by nam pan w takim razie opowiedział to, co powinniśmy wiedzieć - zaproponował Hanson.

- Najważniejsze pytanie brzmi, gdzie ta figurka została znaleziona i jak trafiła tutaj.

- W takim razie: gdzie została znaleziona? - spytała Finn.

- Taka informacja jest coś warta, nie sądzi pani?

- Ile zapłacił za nią Pieter Boegart? - spytał Billy.

- Wy to nie on. To jest inna transakcja.

- Wysłał pan gdzieś Pietera Boegarta, być może nawet na śmierć - odezwała się Finn. - Pieter mógł być czarną owcą w swojej rodzinie, ale jednak był Boegartem i jestem pewna, że policja zainteresuje się faktem, że to pan ostatni widział go żywego. - Rozejrzała się po pomieszczeniu. - Zastanawiam się, czy podobałoby się panu, gdy zaczęli się tu kręcić policjanci.

- Jest pani za ładną kobietą, by stosować takie groźby.

- Ale ja nie jestem ładny - wtrącił się Billy. - Czy zabrzmi to inaczej w moich ustach?

- Ani odrobinę - odparł Osterman. - Ale myślę sobie, że to bardzo nieładny sposób potraktowania starego człowieka.

- Co pan powie na temat figurki?

- Znajdowała się w rękach pozbawionego skrupułów faceta zwanego Wei Yang. Wiedział, że lubię takie rzeczy, więc mi ją sprzedał.

- Gdzie możemy znaleźć tego Wei Yanga? - spytał szybko Hanson.

- Miał sklep przy Dewan Street, ale już go tam nie ma.

- Więc gdzie jest?

- Może w kostnicy? W jakiejś ozdobnej urnie? A w każdym razie ze swymi przodkami. Znaleziono go pływającego pod molo, na którym odbywa się handel wymienny, tuż obok fabryki przetwórstwa ryb, miał rozcięty brzuch i wydlubane oczy. Brakowało mu też kilku palców u jednej ręki, a z pewnością nie odgryzły ich ryby.

- W takim razie, kto to zrobił?

- Kto wie? - Osterman wzruszył ramionami. - To jest Borneo. Albo, jeśli ktoś woli, Kalimantan. Ostatni tajemniczy ląd świata. Tu nadal można trafić na plemiona, które zbierają ludzkie głowy i zmniejszają je. Łączą z powrotem zęby i zawieszają je pod krokwiami swoich domów. W wietrzne noce słyszać, jak zęby podzwaniają. Sam to słyszałem. Wei Yang handlował, między innymi złotem, a także je szmuglował. Robił interesy z poszukiwaczami złota z interioru, z *hutan*, gęstej dżungli, a również z *penyeludup*, szmuglerami. To mógł być każdy z nich, ponieważ każdego z nich kiedyś oszukał i wszyscy o tym wiedzieli.

- Ale pan wie, skąd on miał tę figurkę, prawda? - spytał Hanson.
- Od szmuglera nazwiskiem Lo Chang. Na pół Chińczyka, na pół sam Bóg wie kogo.
- A skąd ją miał Lo Chang? - spytała Finn.
- Zgodnie ze słowami Wei Yanga, nie powiedział mu.
- Albo nie chciał powiedzieć.
- Albo nie chciał - zgodził się Osterman.
- W takim razie gdzie znajdziemy tego Lo Changa? - spytał Hanson.
- Pływa na łodzi *Pedang Emas* między Kampong Sugut a Zamboangą, trochę piratuje.

Pewnie jest gdzieś w tym obszarze.

- Gdzie znajduje się Kampong Sugut? - spytała Finn.

- Na północ od zatoki Labuk, na morzu Sulu - powiedział Hanson. - Poniżej mielizn Tegepil przy ujściu do rzeki Sugut. Sheng mieszka tam z kobietą, która nazywa się Cai Quin Ma. Jest burdelmama. Wygląda niczym koza w sukience, trudno jej nie poznać.

Znaleźli następną taksówkę, która przewiozła ich z powrotem przez zatokę do miasta Labuan. Załoga była już w komplecie. Labuan nie miał specjalnie wiele do zaoferowania, oczywiście jeśli nie gustowało się w nielegalnym seksie lub nie szukało banków z daleka od swego kraju. Toshi w kubryku pichcił smakowity lancz, a Elisha Santoro oczekiwał na nich w sterówce, pochylony nad mapami.

- Mam nadzieję, że nie wybieramy się na północ. - Na jego młodej, przystojnej twarzy malował się niepokój.

- Dlaczego? - spytał Hanson.

- Byłem właśnie w biurze meteorologicznym. Nad morze Sulu nadciąga tajfun. I to duży. Mówią, że może osiągnąć ponad 10 stopni. Barometr spada na łeb na szyję. - Popatrzył na Finn i Billy'ego.

- No to gdzie płyniemy?

- Na północ - odparł Hanson. - Na morze Sulu.

17

Pedang Emas był długim na trzydzieści pięć metrów wielorybniczym statkiem, sto ton drewna i stali, starszym od *Titanica*. Rozpoczął swe życie w 1907 jako niewielki szwedzki statek-przetwórnia, zbudowany przez Nyland Yersted w Oslo z oznaczeniem „Kadłub 133”. Sprzedany islandzkiej firmie otrzymał imię *Haraldur Kristjdnsson*.

W 1921 roku trafił do Nowej Zelandii i tam przechrzczono go na *Rangitoto*. Dziewięć lat później powrócił na wody skandynawskie jako statek firmy sardyńskiej Stavanger, która

stworzyła markę Royal Brisling, rzekomo używany był do połowów, ale w rzeczywistości został wyposażony jako luksusowy jacht dla prezesa firmy. Urządzona z przepychem kabina została nadbudowana nad głównym lukiem, gdzie trzymano małe ładunki i potężny zbiornik na paliwo.

Znowu zmieniono mu nazwę na *Kristianiajford*, ale już po kilku latach, a kiedy wzrosło prawdopodobieństwo wybuchu wojny, został wynajęty Królewskiej Marynarce Wojennej jako statek straży granicznej. I znowu został przechrzczony, tym razem na *King Haakon VII*, ku czci starzejącego się monarchy kraju.

Jak można było przewidzieć, stateczek trafił następnie w ręce marynarki niemieckiej, co stało się w kwietniu 1940 roku. Hitlerowcy nie bawili się w żadne nazwy, po prostu zamalowali starą na dziobie, a na kominie umieścili numer identyfikacyjny. Ponadto wymienili silniki, statek otrzymał wtedy diesla o mocy dwu tysięcy koni mechanicznych i służył jako łódź patrolowa, osiągając prędkość osiemnastu węzłów. W tym samym miejscu, gdzie kiedyś wisiła flaga firmy sardyńskiej, pojawił się proporczyk nazistowskiej *Kriegsmarine*.

Po wojnie pływał całe lata jako przybrzeżny parowiec pod nazwą *Hammerfest*, od nazwy północnego portu macierzystego, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych zmiany w przepisach norweskich dotyczących załóg spowodowały, że statek stał się zbyt drogi w utrzymaniu, szczególnie z powodu wielkich silników Diesla, więc został sprzedany po raz kolejny, a potem kolejny i kolejny, aż wreszcie kupił go i odnowił emerytowany kanadyjski dentysta, kokainista, który nazwał go *Atropos*, na cześć pierwszego statku Horatia Hornblowera, bohatera niesłychanie popularnych książek o młodym oficerze marynarki, żyjącym w czasach wojen napoleońskich.

Wiedza dentysty na temat morza pochodziła wyłącznie z tych książek. W Singapurze wynajął nieodpowiednią załogę, której członkowie przez przypadek odkryli jego słabość do kokainy i kiedy znaleźli się głęboko w Palawan Passage, rozcięli mu gardło i brzuch, po czym nakarmili nim rekiny. Lo Chang nie był do końca szczery, gdy opowiadał Surferowi Dude o wydarzeniach, które nastąpiły po śmierci nierozsądnego dentysty.

Tak się składa, że to sam Lo Chang nakarmił dentystę rekiny, a później to samo zrobił ze swoim współnikiem i resztą załogi, wcześniej spiwszy ich na amen. Stało się to niedługo po spotkaniu z oszalałym japońskim żeglarzem płynącym na tratwie. Lo Chang, który był prawie całkowitym analfabetą i niespecjalnie znał się na interesach, nie miał pojęcia, co oznacza cecha na złocie, wiedział jedynie, że jest to czyste złoto i nie chciał się nim dzielić.

Poza tym, żeby sterować *Atropos* czy *Pedang Emas*, jak się teraz statek nazywał, załoga tak naprawdę nie była potrzebna.

Cztery dni od Zamboangi, po dostarczeniu kolejnej partii dziewcząt do seksklubów, wracał z ładunkiem, którym było pięćset czarnych kogutów wyszkolonych do walki, ukradzionych z najlepszej hodowli i wtłoczonych do popękanych klatek z bambusa. Zarobek miał być niesamowity, tysiąc do półtora tysiąca za jednego ptaka. Mówi się, że na Borneo i Filipinach każda wioska ma trzy ważne punkty orientacyjne: rynek, kościół i arenę do walk kogutów. Ptactwo śmierdzi potwornie i robi mnóstwo hałasu, a ponadto brudzi, ale cena wynagradza wszystkie niedogodności.

Jedynym, co martwiło Lo Changa, była pogoda. Nigdy nie zainteresował się, do czego służą kosztowne urządzenia nawigacyjne i meteorologiczne, które zainstalował pechowy dentysta. Po pierwsze nie miał pojęcia, na jakiej zasadzie działają i nie umiałby odczytać ich wskazań, a po drugie, kiedy tylko nie przebywał w więzieniu, spędzał życie na morzu i intuicyjnie poznawał, że pogoda się zmienia. Na niebie nie było najmniejszej chmurki, morze gładkie jak stół, gorąco, wszystko tak, jak powinno być o tej porze roku, ale coś mu mówiło, że niebezpieczeństwo wisi w powietrzu.

Stojąc w przysadzistej małej sterówce pod płóciennym dachem, Lo Chang nie zamykał drzwi ani z jednej strony, ani z drugiej, ale nie było śladu przeciągu. A jednak, choć nie było wcale wiatru, nieruchomy ocean robił dziwne, przytłaczające wrażenie. Jego kolor też był nie taki, jak powinien - szary, a światło mieniło się na nim to srebrzyście, to zielonkawo, jakoś metalicznie. Ozon, czy tak na to mówią? Pochylił się i uderzył w jeden ze staroświeckich megafonów umieszczonych przy kole sterowym.

- Cam Dao! - zawołał na wietnamską dziewczynę, której twarz zniszczył patron-nożownik w przybytku prowadzonym przez Cai Quin Ma na tyłach targu rybnego. Dziewczyna nie nadawała się już dla klientów, ale uwielbiała gotować, a Lo Chang nade wszystko lubił jeść.

- *Trung nguyen!* - zawołał. Chude stworzenie potrafiło przygotować znakomitą kawę mrożoną, dokładnie taką jak lubił. Gdy było ciemno i do domu daleko, od czasu do czasu używał jej też w inny sposób. W tym także potrafiła go zadowolić, zresztą nic dziwnego, jako że wcześniej klienci za jej usługi gotowi byli płacić czterysta funtów.

Lo Chang spojrział przez drzwi po lewej burcie. Ponad relingiem, kilka mil dalej, widział linię brzegową, niby szary cień. Zazwyczaj trzymał się bliżej lądu, nawigując za pomocą punktów orientacyjnych, ale to był obszar raf Torongohok i nawet przy zanurzeniu wynoszącym dwa i pół metra, podpływanie bliżej do brzegu byłoby ryzykowne.

Cam Dao pojawiła się na mostku ze zdobioną srebrem szklanką do kawy. Sięgnął po srebrne uszko, trzymając je w jednej mięsistej dłoni, drugą ścisnął koło sterowe. Wziął głęboki łyk aromatycznej, słodkiej kawy ze skondensowanym mlekiem i aż sapnął z zadowolenia.

- Przynieś mi lancz - rzucił do Wietnamki. - Trochę *pho* i miskę *muc xao thap cam*, które tak dobrze przyrządzasz. - Mówił płynnie po wietnamsku, choć lakonicznie. Mimo że Lo Chang był etnicznie Chińczykiem, z urodzenia był także Wietnamczykiem. Wychudzony sierota osiągnął w Hanoi podczas wojny sukces i jednocześnie nabrał ciała, dając się poznać jako ktoś, kto potrafi dostarczyć praktycznie wszystko, od AK-47 i rosyjskich RPG dla rozbójników na północy czy przemytników narkotyków, po młodych chłopców i przewodniki po miejscach rozpusty dla seks-turystów.

Dał się też poznać jako człowiek niestroniący od przemocy - spędził wiele lat w roli egzekutora w Truong w gangu Van Cam Fifth Orange. Po tym jak bosowie gangu zostali zaaresztowani i powieszani w 2004 roku, Lo Chang uciekł z kraju i wreszcie osiadł w Kampong Sugut, gdzie stworzył kwitnący interes oparty na prostytutkach i szmuglu. Do wszystkich zmian w swoim życiu podchodził filozoficznie, na sposób chiński, życie ofiarowało wybór nieszczęść i możliwości. Sztuczka polegała na tym, by umieć jedno przemieniać w drugie i wracać myślami do przeszłości tak rzadko, jak tylko się da.

Kiedy wyspa Jampongong pojawiła się dokładnie naprzeciw niego, Lo Chang podjął decyzję. Wyciągnął z kieszeni obszernej białej koszuli metalowe pudełko od cygaretek Neos Pacific i wyjął platynowego dunhilla, którego odziedziczył po pechowym dentyście. Równe fale, uderzając o dziób, osiadały na nim pianą. Z pewnej odległości Jampongong wyglądała niczym marzenie o tropikalnym raj. Palmy kokosowe wieńcem otaczały białe piaszczyste plaże, dalej rozpościerały się pagórki pokryte gęstą dżunglą, zwieńczone w oddali szczytem góry, prawie zawsze w wianuszku chmur. Typowa wyspa na morzu Sulu. Takie wyspy w broszurach biur turystycznych, przeznaczonych dla idiotów typu dentysty, wyglądają bardzo romantycznie.

Problem polegał na tym, że wokół Jampongong rozciągały się szerokie na kilka kilometrów rafy przechodzące w mieliznę. Przy brzegu jednakże, między samą wyspą a Kinalubatan Point na kontynencie, przebiegał kanał szeroki na półtora kilometra, mierzący na środku przynajmniej prawie piętnaście metrów poniżej kilu *Pedang Emas*. Po obu stronach tego środkowego przejścia wznosiły się skały o ostrych zrębach tuż pod powierzchnią, za dnia kompletnie niewidoczne w wyniku gry słońca na falach, a zdolne rozorać kadłub małego statku niczym nóż, który rozciął świętej pamięci dentystę, jak później również jego partnera.

Płynąc tym kanałem, zaoszczędziłby pół dnia w powrotnej drodze do Kambong Sugut. Gdyby nie zdecydował się na tę drogę, ryzykował wypłynięcie na pełne morze i jego niepewne wody, przez co straciłby pół dnia.

- *Najis* - przeklął po malajsku. Diesel łomotał pod jego stopami, koło zdawało się wyslizgiwać z grubej dłoni. Wyspa zbliżała się z każdą mijającą minutą. Spoglądał w stronę portu, gdzie gęsta zieleń korzeniary zwisała nad wodą. Wziął kolejny głęboki łyk zimnego płynu przygotowanego przez zmasakrowaną nożem dziwkę, odstawił szklankę ze srebrnym uchwytem na wąski stoliczek pod oknem.

- *Puki mak dia* - wymruczał kolejne przekleństwo. Przekręcił koło obiema rękami, obracając statek w kierunku brzegu i kanału, który rozciągał się teraz między nimi a wyspą.

Pół godziny później Lo Chang, którego kolosalny brzuch zdążył wypełnić się przygotowaną przez Cam Dao soczystą, podsmażoną kalamarnicą saute, podlaną dużą butelką piwa Halida ze skrzyni z lodem stojącej w kuchni pokładowej, pewny siebie skierował *Pedang Emas* wokół zawietrznej strony wysokiej wulkanicznej wyspy, śledząc wzrokiem wszystkie zmiany w kolorze wody, które sygnalizowałyby mielizny lub rafy. Upewniał się także, by główny punkt orientacyjny wyspy, wysoki urwisty klif i występ wzgórza Bankoka Hill pozostawały dobrze po prawej stronie, bowiem prądy spod urwistych klifów przebiegające tuż pod powierzchnią mogły przewrócić stateczek jak zabawkę i w jednej chwili roztrzaskać go o skałę.

Choć do brzegu miał jeszcze prawie dwa kilometry, słyszał uderzenia fal o brzeg i zadrżał lekko. Roztrzaskanie o skały to było jedno, ale być wrzuconym do morza również nie stanowiło najlepszej perspektywy. Lo Chang ze względu na swoją objętość nie przepłynąłby ani kawałeczka, a zbyt wielu ludzi zdarzyło mu się wrzucić do oceanu, by nie wiedział, że tuż pod powierzchnią aż roi się od drapieźników. Już lepiej palnąć sobie w łeb niż skończyć w morzu.

Po stronie prawej burty zobaczył zatoczkę, która wrzynała się w głąb wyspy i gdyby nie przyglądał się tak uważnie, nie zostałby nagrodzony. Tuż przy kamienistym wybrzeżu, w miejscu gdzie wypływała wąska rzeka, stał na kotwicy okazały szkuner. Lo Chang uniósł w górę piękną, błękitno-żółtą lornetkę dentysty i spojrzał uważnie.

Nastawił ostrość, łódź stała się wyraźna. Była porządnie zacumowana. Dwanaście, trzynaście metrów. Ciemny kadłub, biała lśniąca nadbudówka. Na przednim pokładzie kobieta opalała się topless, rozłożyła ramiona, by złapać jak najwięcej słońca, jej wielkie piersi widać było bardzo wyraźnie, na twarz nasunęła kapelusz. Ciemnowłosa, opalona, jeszcze całkiem młoda.

Lo Chang niewiele się zastanawiając, przydusił zawór, silnik ucichł. Obrócił koło, kierując *Pedang Emas* w stronę zatoczki. Zatrzymał się tam w przeszłości po świeżą wodę i wiedział, że w tym miejscu jest dość wody pod kilem nawet przy odpływie.

Przesunął lornetkę, sprawdzając, czy na plaży i w pobliskiej dżungli nie zobaczy kogoś jeszcze. Ale nie. Tylko biały piasek, gęsta zieleń i ocienione ujście rzeki. Uśmiechnął się, jego grube wargi rozchyliły się, odsłaniając lśniące złote zęby. Poza kobietą na pokładzie mogą być jeszcze dwie osoby. Łatwizna. Spod białej koszuli zakrywającej brzuch wyciągnął stary rewolwer Nagant, który preferował od czasu Wietnamu. Siedem pełnych komór powinno aż nadto wystarczyć do tej roboty.

Całkowicie zdusił silnik i teraz zbliżali się do żaglówki w całkowitej ciszy. Dziewczyna na kokpicie najwyraźniej spała. Od chwili kiedy po raz pierwszy ją zauważył, nie poruszyła się. Uśmiech Lo Changa poszerzył się na myśl, że na pokładzie najpewniej znajdzie się zapasik alkoholu, i do tego jakieś pieniądze. Może nawet kokaina, w której całkiem się rozsmakował od czasu spotkania z dentystą. Może będzie też jakaś broń; większość ludzi na małych łódkach była uzbrojona ze względu na piratów.

Lo Changowi bardzo podobała się myśl, że jest jednym z nich. Kiedy wyobrażał sobie siebie w tej roli, widział zazwyczaj postać potężnego węża, na przykład boa dusiciela, który używa raczej brutalnej siły niż trucizny. Ważył w jednej dłoni pistolet z czasów drugiej wojny światowej. Jad ma też swoje zastosowanie. Pochylił się i zawołał w głąb rury głosowej:

- Cam Dao! - zawołał. - *Di voi toi!*

Kilka sekund później młoda kobieta wyłoniła się z kubryka położonego poniżej i weszła na wąski mostek.

- Łap się za ster - rozkazał jej po wietnamsku. - Podpływamy wolniutko.

- *Co* - skinęła głową kobieta, jej twarz nie wyrażała kompletnie nic. Doskonale wiedziała, co jej pan zamierza zrobić, ale nie mogła nic powiedzieć ani nic na to poradzić. Los półnagiej kobiety był przesądzony. Wietnamka podeszła bliżej i chwyciła za ster. Lo Chang zszedł z mostka, kierując się w stronę dziobu. Pistolet miał ukryty za plecami. Kiedy statek zbliżał się do brzegu, usiłował przybrać przyjemny wyraz twarzy i wygrzebać z pamięci tych kilka angielskich zwrotów, których nauczył się przez lata.

- Halo, ty! - krzyknął. Byli w tej chwili jakieś sto metrów od brzegu. Za późno, by jacht mógł odpalić silniki i usiłować uciec, nie żeby miało to cokolwiek zmienić. Ogromny silnik Diesla, zainstalowany przez Niemców wiele lat temu, pozwalał staremu statkowi rozwijać bez problemów osiemnaście węzłów, co wystarczało, by dogonić jakikolwiek inny na tych wodach.

- Halo, ty! - zawołał znowu. Kobieta ani drgnęła. Jeśli poza nią ktoś był na łodzi, musiał też spać. Pięćdziesiąt metrów. Kobieta wciąż nie poruszała się. Lo Chang zmrużył oczy. Wielkie piersi były jaskrawoczerwone, spalone słońcem. Najwyraźniej leżała już zbyt długo. Będąc kimś w rodzaju eksperta od sutek i ich wrażliwości, Lo Chang był pewien, że musi to już być dla niej całkiem bolesne. Czemu nie schodziła ze słońca? Dwadzieścia pięć metrów i nadal żadnego ruchu. Zaniepokojony, cofnął się od burty. Kobieta powinna się była już poruszyć. Prawie widział to, jak unosi się na łokciu, zsuwa z twarzy wielki kapelusz, może ma pod nim okulary, na jej twarzy maluje się zdziwienie, lęk.

Cam Dao obróciła koło sterowe tak, że ich statek stanął równolegle do jachtu, fala od ich dziobu uderzyła drugą jednostkę. Żaglówka zachybotowała się gwałtownie. Wielkie piersi zafalowały niczym balony wypełnione wodą, jedna noga uderzyła o drugą.

Dzieliło ich dziesięć metrów i teraz już niepokój Lo Changa zamienił się w poważną obawę. Ręce kobiety nie były rozłożone na pokładzie, ale przybite do niego. Nie widział śladów krwi, ponieważ gwoździe zostały wbite w ciało wcześniej, tuż po tym, jak rzuciła się na Fu Shenga z kuchennym nożem w ręku. Chciał uderzyć ją kolbą w twarz, ale ponieważ uchyliła się w ostatniej chwili, trafił w skroń. Śmierć nastąpiła wkrótce potem, ale nawet martwa mogła się przydać. Nadal stanowiła wabik dla takiej grubej świni jak Lo Chang, który zbyt późno pojął, że i łódź, i kobieta są pułapką. Cofał się ciężko w kierunku mostku. Kątem oka dostrzegł ruch w krzakach porastających ujście rzeki. Wyciągnął spod koszuli naganta, ale wiedział, że teraz jest już o wiele za późno.

Krzaki nie były żadnymi krzakami, tylko kamuflażem zakrywającym dziób jakiejś staroświeckiej torpedy o ostrym dziobie, prawie równie wielkiej jak *Pedang Emas*, wypływającej teraz hałaśliwie z ujścia rzeki. Widział wylot lufy ciężkiego karabinu maszynowego w kształcie dzwonka i Malaja w bliżej nieokreślonym mundurze, stojącego z uśmiechem tuż za nim. *Pedang Emas* była teraz bliżej niż sto metrów od ukrytej torpedy. Z tej odległości mogli obgryźć go do kości i zatopić, nawet nie ładując kolejnego magazynku.

Lo Chang poczuł gulgotanie w żołądku ze strachu, odbiło mu się tak, że jeszcze raz poczuł w ustach doprawione gorzką żółcią kalmary Cam Dao. Uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że szczęście się od niego odwróciło i to on wkrótce może stać się posiłkiem dla kałamarnic. Obejrzał się w stronę kobiety ukrzyżowanej na pokładzie. Nieubłaganie przyszedł mu na myśl los dentysty.

Silny poryw wiatru zdmuchnął kapelusz z twarzy kobiety o nagich piersiach, który sfrunął ponad burtą prosto do wody. Jej głowa z jednej strony stanowiła miazgę, prawe oko wyglądało jak biała plama na czerwonym mięsie. To zrobili ludzie z łodzi torpedowej.

Wiedział, że jemu mogą zrobić dużo gorsze rzeczy, wiedział też dlaczego, ponieważ teraz przypomniał sobie jacht i to, że widział już go wcześniej, chociaż wtedy kadłub był czerwony, nie zaś niebieski jak teraz, pamiętał też tę dziewczynę i jej blond chłopaka, z blizną na twarzy, który uważał, że przyprowadzenie jej do burdelu to świetny dowcip.

A najbardziej zapamiętał starego człowieka na tratwie i złote płytki zawinięte w poźółkłe strony starej wojskowej edycji *Yomiuri-Hochi* z czasów wojny. Złote płytki wciąż jeszcze leżały w sejfie jego kabiny.

Przesłuchają go, a potem to, co z niego pozostanie, wyrzucą do wody. Łódź torpedowa była już tuż obok, objijając się o jego burtę z jednej i burtę jachtu z drugiej. Patrzył na martwą kobietę, teraz już widział kłębiącą się nad nią chmurę much.

Lo Chang pochylił głowę i zamknął oczy. Jego umysł błędził przez chwilę w poszukiwaniu czegoś i nagle Lo Chang pojawił się tam, na ławce na skwerku nad jeziorem Hoan Kiem, tuż przy Wieży Żółwia, był jasny słoneczny dzień, a on cesał cudowne włosy Quyen sięgające do pasa, w jednej ręce trzymał szczotkę, a drugą je wygładzał, gdy opadały niczym czarna rtęć, ale tak naprawdę w sekrecie pieścił je, czując pod nimi jej kark, cierpiąc od młodego pożądania, wiedząc, że nigdy nie będzie niczym więcej jak tylko przedwcześnie rozwiniętym grubym chłopcem czeszącym włosy ślicznej dziewczyny.

Później jego przyjaciel Trung powiedział mu, że ona wcale go nie lubiła, tylko podobało jej się to, co z nim robiła. Czuł delikatny zapach *dao phai*, bladego kwiatu drzew brzoskwiniowych, które rosły tam, gdzie się urodził, wokół Wieży Żółwia. Zapach tej dziewczyny, Quyen. Tak dawno temu. Ale nikt nie jest nieśmiertelny. Przynajmniej nie utonie. Lo Chang otworzył oczy i ujrzał mężczyznę stojącego na dziobie łodzi z półmetrową maczetą bolo w dłoniach.

Poczuł raz jeszcze ciężar włosów Quyen w swoich dłoniach, podniósł nagant do skroni i szybko nacisnął spust, nie zawahawszy się ani przez chwilę.

18

Briney Hanson wiedział, że będą kłopoty, w niespełna dwie godziny po tym, jak zmienili kurs, będąc u szczytu półwyspu Sabah u wbrzeży Borneo, i posuwali się w stronę cieśniny Malawali. Barometr ciągle spadał, a stała fala wydłużała się, stając się jednym wielkim wybrzuszeniem, przesuwanym się pod nimi niczym pofałdowane cielsko jakiegoś ogromnego, ospałego morskiego potwora. Wiatr całkowicie ucichł, było śmiertelnie gorąco, a nad horyzontem wisiała ciężka ciemna linia, która wydawała się wciągać w siebie każdą chmurę niczym worek bez dna.

- Kłopoty? - spytał Billy Pilgrim, stając obok Hansona na mostku. Eli trzymał ster. Nawet wewnątrz sterówki słychać było, jak wzmagający się wiatr przeraźliwie gwizdże w olinowaniu statku.

- Tak - odparł Hanson. - Północ, północny wschód! - krzyknął do Santoro. Młody człowiek skinął głową i obrócił kołem, kilka sekund później ster zareagował i *Batavia Queen* obróciła się ciężko, zabierając ich dalej w morze. Fale uderzały mocniej o dziób, wznosili się i opadali rytmicznie.

- Czy to nie jest niebezpiecznie wypływać jeszcze dalej w morze?

- Owszem - znowu potwierdził Hanson. - Ale kiedy zbiera się na burzę, wolę mieć większy dystans między nami a rafami. Tam gdzie byliśmy, nie moglibyśmy manewrować.

Początkowo Hanson zamierzał prześlizgnąć się wzdłuż wybrzeża, zmykając przed tajfunem, i ukryć się w jakimś kotwicowisku, może nawet zdążyć do Kampong Sugut i tamtejszego szerokiego ujścia rzeki, ale teraz to już było niemożliwe. Zarówno radar jak i jego własne oczy pokazywały mu, że tajfun jest dokładnie przed nimi i nie ma szans, by przed nim uciec. Kolejną taktyką było spotkanie z nim na otwartym morzu, tak daleko od brzegu, jak tylko się da. Tajfun nad oceanem jest wystarczająco zły, ale tajfun gnający w stronę lądu to potwór.

Na dole w kubryku Finn pomagała Toshiemu pozamykać wszystko i przygotować kanapki na nadchodzące godziny, podczas gdy reszta załogi przywiązywała to, co było nieprzytwierdzone na pokładzie lub pod nim. Rutyna. Przeżyli już na *Queen* wiele sztormów. Z kolejnymi godzinami fale stawały się coraz szersze i coraz większe, pióropusze zakończone były długimi śladami białej piany, niczym wytoczonej z pyska jakiegoś wściekłego stworzenia - co w tym przypadku niewiele odbiegało od prawdy.

Z czasem woda z głęboko zielonej stawała się cynowo-ołowiana, a wreszcie czarna, niezgłębiona, bez śladów życia. Morświny i latające ryby szukały swych rozrywek gdzie indziej, ptaki, czując nadchodzącą burzę, odleciały już dawno.

Późnym popołudniem fale na rafach Pulau Tigaba szalały, a niebo nad głowami stało się tak ciemne, jakby zapadał zmierzch. Finn udało się dotrzeć do rozkołysanego towarzystwa w sterówce z kubkami i termosem parującej kawy. Mimo że była ciasno owinięta w stary sztormiak, który dostała od Toshiego, doszła do nich kompletnie przemoczona.

- Przez jakiś czas nic więcej ciepłego nie dostaniecie. Toshi mówi, że nawet kontrolki muszą być wyłączone w kuchni ze względu na niebezpieczeństwo.

- Ma rację - przytaknął Hanson, biorąc od niej kubek. - Przy takiej pogodzie ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to dodatkowe kłopoty w postaci na przykład pożaru.

- Przynajmniej nie pada - stwierdził Billy, wpatrując się w ciężkie morze i ciemniejące niebo.

- Tylko poczekaj. - Eli wzruszył ramionami.

Hanson przesunął się na bok, żeby spojrzeć na wskazania radaru.

- Nie wygląda to najlepiej - powiedział cicho, nachylając się nad skalą.

- Co to są te małe linie biegnące z centrum tego białego czegoś? - spytała Finn.

- Deszcz, o którym mówił twój przyjaciel - odparł Hanson. - Dużo deszczu.

- A ta dziura pośrodku?

- Oko - wyjaśnił Hanson. - Bardzo małe, bardzo mocne i bardzo niebezpieczne.

- Myślałem, że oko huraganu to miejsce spokoju - powiedział Billy, łapiąc się za kompas, podczas gdy *Queen* zaczęła kolejny raz wdrapywać się na nadchodzącą falę.

-Względnie tak - wyjaśnił Hanson. - Ale na obwodzie oka wiatr jest najszybszy i najbardziej niebezpieczny. Może rozerwać statek wielkości naszego, więc lepiej tego miejsca unikać.

- Jak to zrobimy? - spytała Finn. - Wydaje się całkiem duże.

- Jakieś dwieście kilometrów od krańca do krańca. Ale to nadal maleństwo.

- Uda nam się je ominąć?

- Może - odparł Hanson. - Ale to jak w starej historyjce o dziewczynie i tygrysie. W którą stronę, na lewo czy na prawo?.

- Czy to jakaś różnica?

- Jesteśmy poniżej równika, więc wiatr wiruje zgodnie z ruchem wskazówek zegara, w tym przypadku oznacza to ze wschodu na zachód w stosunku do naszej pozycji.

- Okay, łapię. - I wtedy nagle *Queen* osiągnęła szczyt fali, na której wykonała groteskowy skręt, przy okazji cisnąwszy Finn w poprzek sterówki prosto na Billa, któremu udało się ją złapać, zanim rąbnęła o pokład. Pomógł jej utrzymać równowagę, podczas gdy *Queen* ślizgała się po fali, by wreszcie, niczym pociąg towarowy, zwalić się w koryto między nimi. Żołądek Finn opadł, jakby znalazła się nagle w przyspieszonej windzie, potem zniknęło niebo, okno wypełniła czarna masa wody.

- Nic ci nie jest? - spytał Hanson.

- W porządku - z determinacją oświadczyła Finn, zadowolona, że nie zjadła obfitego lanczu. - Gdzie jesteśmy?

- Na lewej burcie lub na prawej - odparł kapitan; nie spuszczał wzroku z Eliego, który zmagał się ze sterem, próbując utrzymać stary frachtowiec dokładnie pod wiatr.

- Pomyśl o piłkarzu, który chce zablokować ramieniem przeciwnika. To nasza prawa burta. Na drugie ramię, które podąża za nim, działa mniejszy wiatr i mniej deszczu, to lewa burta.

- Ten piłkarz nie myśli. - Finn wzruszyła ramionami. Właśnie znaleźli się na szczycie kolejnej fali i tym razem zdążyła złapać się za stół z mapą, kiedy zaczęła się kolejna jazda w dół. Przełknęła ślinę i utzymała się na nogach.

- Powinniśmy płynąć w stronę portu.

- Tyle że wiatr nieustannie zmienia kierunek - wyjaśnił Billy, zataczając się gwałtownie na grodzie. *Queen* jęknęła i opadła na kolejną falę, spod kadłuba wyprysnęła biała fontanna.

- Dobrze mówi - powiedział ponuro Hanson. - Tajfuny nie podążają jedną ścieżką, żyją własnym życiem.

- Jednym słowem: loteria - dodał Eli Santoro, ściskając z całych sił ster.

- Niezupełnie - stwierdził Hanson. - Dlatego uciekamy na pełne morze, mamy wtedy gdzie manewrować; przez parę godzin będziemy się przyglądać tajfunowi, a potem zadecydujemy.

Maltretowana *Batavia Queen* brnęła w noc, świat skurczył się do nieskończonej serii skrętów i przechyleń to w górę, to w dół, jakby byli wagonikiem na kolejce górskiej, z jednej spienionej płaszczyzny na gładki, brzydki grzbiet drugiej. Prędkość wiatru wzrastała, takielunek zrywał się i wirował z niekończącym się piskiem, hałas był taki, że prawie nie dało się rozmawiać.

Choć wszystko było zabezpieczone brezentem, luki i kłapy uszczelnione, woda wdierała się wszędzie. Kabina, którą zajmowała Finn, od strony rufy na niższym pokładzie, była zalana, w toalecie utworzył się zator na skutek spiętrzenia się wody w zęzach, a z każdej szpary, spojenia, rury czy wentylatora wyciekała woda.

Podczas gdy spadało ciśnienie, spadała też temperatura i nawet otulona w stare, nadjedzone przez mole szetlandzkie swetry i w sztormiak, Finn trzęsła się z zimna. Najgorsze, że wszystkiego było nieustanne dygotanie, kiedy kadłub spadał z wierzchołka kolejnej fali, jakby ręka olbrzyma usiłowała rozerwać stary statek na strzępy i posłać go na dno morza.

Finn większość czasu spędzała w mesie oficerskiej, głównie siedząc z ponurą miną, przeżywając kolejne wznoszenie się i spadanie niczym przerażony pasażer samolotu, doświadczający każdego koszmarne szarpnięcia turbulencji, marząc tylko o tym, by stary kadłub nie rozpadł się, i prawie widząc oczami wyobraźni jak jęczący, skrzypiący, pokryty skorupiakami spód kadłuba unosi się, by opaść roztrzaskany.

Toshi usiłował ją skusić przemokniętą kanapką, wychylając się z kubryka, ale sałatka jajeczna, którą siekała, mieszała i przygotowywała w czasie dnia, w ciemnościach kotłowała się w jej żołądku. Była głodna, przesiąknięta wodą i bardziej niż przestraszona; pragnęła tylko jednego, żeby to się skończyło, wszystko jedno jak. Było już mocno po północy, kiedy wybrała się znowu na mostek, szukając towarzystwa w nieszczęściu.

Hanson zmienił Eliego Santoro przy sterze, poza nim na mostku był tylko Billy. Widok za oknem wydawał się jeszcze gorszy niż poprzednio. Wiatr wiał z taką siłą, że ulewa smagała okna kabiny jednolitą ścianą wody, wycieraczki włączone na najwyższe obroty nie były w stanie nic zrobić. Fale wałące w dziób i burty *Queen* sprawiały taki hałas, jakby bił ogromny dzwon.

- Nie damy rady dłużej sterować w ten sposób! - krzyknął Hanson, skręcając odrobinę w chwili, gdy Finn wchodziła do sterówki. - Fale są zbyt duże i zbyt blisko jedna drugiej! Zatopimy się lub złamiemy na pół, zanim zdołamy się odwrócić!

- Chcesz ustawić ją w kurs? - spytał przerażony i zdziwiony Billy.

- Nic na to nie poradzę! - odparł Hanson. - Nie możemy tak dalej płynąć! Złapcie się czegoś! - Obrócił koło w lewo tak mocno, jak się tylko dało.

- Co oznacza w kurs?! - krzyknęła Finn, zaskoczona nagłością ruchu.

Billy otworzył usta, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Finn przeleciała przez sterówkę i osunęła się na ziemię, podczas gdy statek wykonał slalom na ogromnej fali, która całkowicie zakryła nocne niebo, spiętrzając się przed nimi niczym ogromna pięść, z której wyprysnęła płachta oślepiającego pyłu wodnego.

Batavia Queen wślizgnęła się na kolejną falę jak surfer starający się wypłynąć na głęboką wodę, dotarłszy na szczyt zaczęła się obracać, a potem zaczęło się kolejne spadanie. Zanim Finn zdążyła się podnieść na nogi, grzbiet fali zalał pokład, wdarł się do sterówki, wypełniając ją lodowatą wodą, która w tej samej chwili wypłynęła, pozostawiając leżącą na pokładzie i krztuszącą się Finn, próbującą wypluć gorzko - słoną wodę.

W jakiś sposób Hansonowi udało się utrzymać koło sterowe, wykonał pełen obrót statkiem, rufą do rozpędzonej siły wiatru, i zaczęli uciekać wraz z ryczącym sztormem, depczącym im po piętach, ale teraz już prawie do wytrzymania. Statek nie słuchał już steru na wrzącym morzu, nie walczył z szalejącym tajfunem.

- Ustawienie się w kursie oznacza halsowanie. Czasami to dość trudne! - odkrzyknął Hanson, który wciąż zmagając się z kołem sterowym, odpowiedział wreszcie na jej pytanie. Roześmiał się ze znużeniem, wciąż krztusząc się i łapiąc powietrze, Finn z pomocą Billa podniosła się.

- Teraz mi to mówisz!

Płynęli przed siebie, pozwalając ryczącemu wiatrowi pchać statek, już nie walczyli z miażdżącą wszystko siłą cyklonu, ale mknęli przed siebie ze stale wzrastającą prędkością. Zniszczony stary statek nieuchronnie doganiało oko cyklonu i otaczające je ściany wody, nadchodzące z tyłu niczym nienasycone gardło.

Batavia Queen przesuwiała się przez otaczające ją ciemności, ryczące inferno dźwięków. Ogromne, nabrzmiące fale wynosiły ją w górę, po czym zrzucały w dół, przetaczając się przez dziób i atakując boki. Finn skuliła się na mostku, wpatrując się w rozjaśniające się niebo, kompletnie przemoczona, jej umysł był w stanie paraliżu i zastanawiała się, jak u licha zdołała w tak krótkim czasie przenieść z nudnego, względnie cywilizowanego środowiska londyńskiego domu aukcyjnego prosto w szalejący tajfun na Pacyfiku.

Wspominała Columbus, dom rodzinny i dorastanie, zastanawiała się, czy niebezpieczeństwo nie nęka jej od chwili, gdy opuściła Ohio, a głównie myślała o tym, czy umrze tutaj w odmętach niewybaczającego i okrutnego morza.

Rozległ się okropny dźwięk przypominający wystrzał z karabinu, Finn krzyknęła, dźwięk rozpląnął się w ryku wiatru. Kolejna fala uderzyła w bok statku, zabierając resztki starej szalupy wiszącej na żurawikach tuż przy mostku.

Około szóstej rano zrobiło się już całkiem jasno, a oni znaleźli się tuż przy chmurach kłębiastych otaczających oko cyklonu, ale morze nie uspokajało się. Fale zwałały się jedna na drugą z rykiem, wysyłając fontanny wirującego pyłu wodnego pod niebo, z którego spływały kurtyny deszczu. Przez przednią szybę sterówki nie było kompletnie nic widać, płynęli na ślepo przez przerażający sztorm.

Wreszcie wstał świt, dziki i wściekły, niebo spotkało się z morzem w jednej wzburzonej linii, morze przetaczało się przez *Queen*, połączone w jedno z niebem. Antena radia i kable na kołowrocie dawno już się zerwały, latały wokół niczym zerwane struny gitary. W pewnym momencie Finn była prawie pewna, że widzi przed nimi inny statek ujeżdżający oszalały ocean, ale zanim zdążyła pokazać go Hansonowi czy Billy'emu, zniknął we mgle.

Potem, nagle, kiedy wszystko ustało, cisza wydawała się jeszcze gorsza niż sztorm. Podrzućceni na falach spienionego żywiołu, przed sobą widzieli błękitne niebo i słońce.

- Oko cyklonu!

Finn zapatrzyła się. Wokół nich wznosiły się teraz czarne masy wody. Nagle drzwi sterówki otworzyły się z trzaskiem i Eli Santoro zatoczył się na mostek, ciemne włosy przylepiły mu się do czoła.

- Co się stało?! - ryknął Hanson, zmagając się z kołem.

- Byłem na dole w nawigacyjnym. Dno zbliża się bardzo szybko!

- Jak szybko?!

- Jesteśmy na stu czterdziestu sześciu metrach.

- Nieprzerwane sondowanie - zarządził Hanson. - Dajcie mi znać, jeśli zrobi się naprawdę płytko.

- *Ayeaye!* - Santoro odwrócił się i opuścił mostek.

- O co w tym chodzi?! - zapytał Billy.

- Powinniśmy być na środku morza Sulu. Dno ma być gdzieś daleko pod nami. Sto czterdzieści metrów to jakiś koszmar! Mielizna lub wyspa pośrodku niczego.

- Nie ma tego na mapach? - spytał Billy.

- Mapach? - ryknął Hanson. - Jakich mapach? Nie mamy pojęcia, gdzie się teraz znajdujemy!

- A GPS?! - krzyczał Billy.

- Spróbuj skontaktować się z satelitą przy takiej pogodzie! Nie ma szansy! - odpowiedział Hanson, przywierając do koła.

- Muszę założyć coś suchego! - krzyknęła do nich Finn. Wiedziała, że tylko im przeszkadza tu na mostku. Może okaże się bardziej użyteczna, szukając czegoś do jedzenia dla wszystkich. Dotarła do drzwi mostku, wsadziła głowę w ociekający wodą sztormiak i wyszła na zewnątrz. Przedarła się na główny pokład, używając wszystkich sił, poczekała, aż *Queen* opadnie na dół, a gdy rozpoczęła się wspinaczka na kolejną wodną górę, zataczając się, rzuciła w stronę głównego korytarza i wreszcie znalazła się w maleńkiej kajucie na rufie, którą dla siebie wybrała.

Zrzuciła przemoczone ubranie, kolejny raz przebrała się w ostatnią już parę dżinsów i przesiąknięty fajczanym dymem sweter, który pożyczył jej Run-Run. Suche skarpetki dokończyły dzieła. Wciągnęła gumowce i ruszyła znów na korytarz, kierując się do kubryka.

Kucharz Toshi i Bazooki, potężny samoński steward, napełniali termosy gorącą zupą z proszku i wody zagrzanej w elektrycznym czajniku. Zarówno mały Japończyk, jak i jego ogromny towarzysz wydawali się całkowicie spokojni w maleńkiej kuchni, gdzie panował nieopisany bałagan. W wodzie, zalewającej pomieszczenie na piętnaście centymetrów, pływały pozrywane z haków garnki i patelnie. Toshi podał Finn jeden z termosów i cztery

blaszane kubki przywiązane na sznurku, tak żeby mogła je zawiesić na szyi. Z szafki wyciągnął potężną tabliczkę czekolady i uśmiechając się szeroko, włożył ją w zapinaną na zamek błyskawiczny kieszeń jej kurtki. Próbowwała odpowiedzieć mu uśmiechem, cmoknęła ich w policzki i kolejny raz wyszła na sztorm.

Mrużąc oczy w zacinających ze wszystkich stron strugach wody, Finn szła z powrotem przez pokład w stronę zejściówki na mostek, następnie zaczęła się wdrapywać, próbując utrzymać termos, metalowe kubki podzwaniały jej u szyi podrzucane przez wiatr. Kiedy dotarła już na mostek, usłyszała niewyobrażalny dźwięk rozrywanego metalu, niczym zgrzytanie ogromnych smoczyc zębów. Potem smok zaczął wymachiwać ogonem, a statkiem zatrzęsło, jakby znalazł się w obszarze trzęsienia ziemi. Po chwili drganie powtórzyło się.

Okropny zgrzytający dźwięk rozległ się znowu, przebiegł przez cały kadłub, *Queen* przechyliła się gwałtownie, jeszcze raz przeraźliwie jęknęła, dźwignęła się i zakołysała, upadając na bok. Zupa z termosu wylała się na rękę Finn, śliskie buty pojechały po mokrej metalowej podłodze mostka, ogromna fala wdarła się, uderzając ją w plecy i wyrzucając w powietrze. Upadając, ujrzała przez chwilę zardzewiały spód *Queen* i nagle znalazła się w morzu, jej ciężkie buty do spółki z walącymi falami pchały ją nieuchronnie w dół, w chłodną, bezlitosną otchłań.

19

Finn obudziła się następnego ranka ze snu bez snów, jakby wyrwała się z objęć śmierci. Tajfun przeszedł, pozostawiając jasne błękitne niebo z białymi chmurkami wyglądającymi niczym porwane szmatki, ogrzewało ją poranne słońce - złota moneta jaśniejąca na niebie. Podczołgała się kawałek dalej po szerokiej białej plaży, uzmysławiając sobie, że już nie ma na nogach ciężkich gumowych wellingtonów, prawdopodobnie ściągnęła je kolejna fala, taka jak ta, która ją zdarła z pokładu *Batavia Queen*. Odwróciła głowę i poczuła piekący ból szyi.

Sięgnęła do bolącego miejsca dłonią i wyczuła długą drewnianą drzazgę wbity głęboko w ciało tuż poniżej szczęki. Wyciągnęła ją jednym szybkim ruchem i prawie zemdląła z bólu, kiedy wraz z drewnianym odpryskiem wytrysnęła krew. Poczuła w ustach metaliczny smak i uzmysłowała sobie, że drewno uszkodziło jej gardło, choć rana nie wydawała się szczególnie groźna. Ale co na takiej wyspie mogło okazać się groźne? Zwykła rana lub gorączka mogła ją zabić. Żadnej apteki, wszędzie tylko palmy kokosowe. Potrząsnęła

głową, starając się rozjaśnić myśli. Nie pamiętała chwili, kiedy wbijało się w nią drewno, nie pamiętała nic od momentu nagłego uderzenia fali.

Finn odkaszlnęła, wypluła krew i powoli podniosła się na nogi. Zaczęła badać swoje otoczenie. Sztorm przeszedł, ale fala była wciąż wysoka, opadała z pianą na piasek, obłoki przemieszczały się szybko po błękitnym niebie, a silny wiatr trząśł palmami.

Huragan odszedł, podobnie jak *Batavia Queen*, ale jej ślady pozostały rozrzucone na plaży. Skrzynki z ładowni, jakieś kuchenne przedmioty, kawałki drewna, resztki gumowców Finn, żywność.

Odwróciła się i popatrzyła na morze. Grzywacze przetaczały się gniewnie, wciąż ciemne i ciężkie, niosące w sobie resztkę energii sztormu. Po samym statku nie było śladu, żadnego wraku w miejscu, gdzie z taką siłą uderzyła w niewidoczną płyciznę.

Finn nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy martwić. Może była jedyną ocalałą, niczym damska wersja Toma Hanksa w *Cast Away*. Odrzuciła tę myśl i zataczając się, ruszyła przez piasek. Miała ważniejsze rzeczy na głowie, na przykład dowiedzieć się, czy na wyspie poza nią jest ktoś jeszcze. Ściągnęła z siebie przemoczony sweter, który dostała od Run-Runa McSeveneya i rzuciła go na piasek. Potem instynktownie pochyliła się, podniosła go i obwiązała sobie w pasie. Mogły ją czekać zimne noce.

Szła wzdłuż plaży plecami do potężnej dżungli porastającej ląd, idąc w stronę odległego migotania, które mogło okazać się rzeką wpadającą do morza, jakieś półtora kilometra przed nią. Sto metrów dalej natrafiła na ciało. To był Kuan Kong, Koreańczyk, który pomagał McSeveneyowi w maszynowni. Finn pewnie nie zamieniła z nim nawet słowa, ale widok ciała na plaży przeraził ją.

Leżał twarzą do ziemi z rozrzuconymi na piasku rękami, w jego krótkich siwych włosach plątały się wodorosty. Skóra na rękach i stopach robiła się już chorobliwie purpurowa, kończyny i brzuch zaczynały puchnąć w porannym słońcu. Ciało leżało na boku, z głową skrzyśconą pod dziwnym kątem, oczy zostały wydziobane przez ptaki. Finn poczuła, że zaraz wymiotuje.

Nakazała sobie w myślach uspokoić się, potem uklękła przy ciele. Zmusiła się, żeby przetrząsnąć kieszenie jego luźnych spodni i koszuli, ale nie znalazła nic użytecznego. Pomyślała, że powinna go pochować, ale potem uświadomiła sobie, że byłoby to po prostu śmieszne, szczególnie że przyływ najprawdopodobniej zabierze go do morza. Teraz musiała myśleć o sobie i o swojej niepewnej przyszłości. I jeszcze jedno. Zaciskając zęby, podpełzła do stóp martwego mężczyzny i ściągnęła z nich przemoczone buty. Były dla niej za duże, ale marsz na bosaka w takim miejscu oznaczał proszenie się o kłopoty.

Szła plażą. Jakieś sto metrów dalej natrafiła na kolejne rzeczy zmiecione z *Queen*. Najpierw piankowa poduszka i powłoczka, potem pomarańczowa torba na śmieci, w której Toshi trzymał rzeczy, które nadawały się do przerobienia. Z powłoczki i kawałka plastiku zrobiła sobie namiastkę nakrycia głowy, żeby osłabić działanie słońca, które teraz już świeciło dokładnie nad nią, pustą puszkę po coli wsunęła do kieszeni sztormiaka. Resztę poszewki porwała na paski i użyła je do przywiązania butów, zrobiła kilka kroków na próbę. Nie było fantastycznie, ale iść się dało.

Ruszyła dalej plażą. Następna na jej liście była woda i jakieś schronienie, nawet czasowe. Teraz było ciepło, ale nie wiedziała, co przyniesie noc. Kolejne pół godziny marszu doprowadziło Finn do miejsca, które widziała z daleka. Był to podmokły teren, porośnięty korzeniarką, wcinający się głęboko w ląd. Po drugiej stronie znowu rozciągała się plaża. Na wschód, od strony morza widziała grzywacze, co oznaczało, że tam musiała być ukryta rafa, w którą uderzyła *Queen*. Finn przyjrzała się bagnisku i zaczęła się zastanawiać, czy zdoła przez nie przebrnąć.

Zawahała się, z książek, które przeczytała, wiedziała, że w takich bagnach mogą czyhać różne niebezpieczeństwa, od małych jadowitych węży, przez żywiące się krwią pijawki aż po ogromne krokodyle. Bagno mogło poczekać. Ruszyła w głąb lądu wąskim paskiem piasku rozciągającym się pomiędzy nią a lasem sękatych drzew, których muskularne korzenie sięgały do słonawej wody, jakby chciały maszerować do morza.

Po kolejnych dwudziestu minutach dotarła do szczytu zatoczki, gdzie odkryła ujście wąskiej rzeki, a właściwie szerokiego strumienia, poszła kilka metrów wzdłuż niego, przykucnęła na skraju, pochyliła twarz i wypila chciwie ze złożonych dłoni. Woda była czysta i zimna, wyczuwało się w niej śladową obecność jakichś minerałów.

Po zaspokojeniu pragnienia Finn pozostała jeszcze chwilę nad wodą, opłukała twarz, a potem starannie umyła zranione miejsce na szyi. Zrobiwszy to, podniosła się i ruszyła w głąb wyspy. Droga prowadziła ją w górę, strumień błyskał i bulgotał na kamieniach, widziała płynące w górę ryby, jak złote i zielone strzały, poruszające szybko ogonami, by utrzymać się przeciw prądowi, z otwartymi pyszczkami, łapały wszystko, co im się trafiło po drodze. Wyglądały jak jakiś rodzaj jasnych sumów, wąsy wokół ich ościstych pyszczków falowały łagodnie, nietrudno je było złapać, jeśli się wiedziało, jak to zrobić.

Finn zatrzymała się i przyglądała im. Zmarszczyła czoło, myśląc, jak niby ma je łapać bez haczyka, to zmartwienie zostawiając jednak na później; wszystko w swoim czasie. Znowu Tom Hanks i Robinson Crusoe plus letnia praktyka w czasie studiów na uniwersytecie nowojorskim przy neolitycznych wykopaliskach, odkrytych na Alasce. Gdyby znalazła tu

odpowiednią skałę, łatwo wyciosałaby sobie kamienny nóż; nigdy wcześniej nie myślała, że wiedza ta może jej się przydać w praktyce. Podobnie przekonywała ją mama do matematyki, twierdząc, że nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Wykorzystanie tej akurat gałęzi wiedzy należało jednak do przyszłości.

Idąc wciąż w górę strumienia, rozglądała się w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, które mogłoby służyć za schronienie. Listowie było gęste, drzewa rosły tuż przy strumieniu, czasami tak blisko, że trudno było przejść. Dziwnie wyglądające drzewa pochylały się nad wodą. Wielkie paprocie rozpościerały na ziemi szerokie liście. Z wyższych konarów, rozpostartych niczym baldachy, zwisały pnącza.

Po kilku następnych minutach wspinaczki znalazła to, czego szukała. Brzeg strumienia cofał się, pozostawiając półksiężyc piasku, ponad którym, okryty masą liści, potężny, podziobany, wypiętrztał się blady wapień. Finn po chwili zdała sobie sprawę, że coś, co w pierwszym momencie uznała za cień, jest wejściem do jaskini.

Przez chwilę wahała się, przypominając sobie wszystkie opowieści o nietoperzach, wampirach i innych stworzeniach zamieszkujących jaskinie, potem zdecydowanie zrobiła krok do przodu i zajrzała do środka. Właśnie przeżyła tajfun i nieledwie utonęła, a teraz miałaby się bać czegoś, co zastanie wewnątrz jaskini? Zrobiła kolejny krok i przypomniała sobie skorpiony, które przebiegły po jej obutej nodze, kiedy ostatnim razem wchodziła do takiego miejsca. Teraz była prawie że bosa i ukąszenie skorpiona na pewno by ją zabiło. Ale nie tylko to. Weszła głębiej.

W środku było sucho i świeżo, dno pokrywały kamienie takie jak w strumieniu, nigdzie nie było widać śladu skorpionów ani nietoperzy, ani niczego innego. Skałę przy wejściu porastał mech. Otwór był szeroki na tyle, że mogłaby wejść z rozłożonymi na boki rękami i nie schylając głowy. Tuż za wejściem rozpościerało się większe wapienne pomieszczenie; nie było tu ani ziemi, ani korzeni drzew.

Na końcu jaskini widniało przejście do drugiego pomieszczenia, ale było zbyt ciemno, by dało się cokolwiek więcej dostrzec. Finn odwróciła się policzkiem w tamtą stronę i poczuła chłodny powiew, wiedziała więc, że musi tam być drugie wyjście. Przejście było wystarczająco szerokie, by mogła się przez nie przedostać, ale do dalszej eksploracji potrzebowała światła. Uśmiechnęła się lekko na tę myśl. Wiedziała, że z tym sobie poradzi, podobnie jak z narzędziami kamiennymi, w ogóle na razie dawała sobie lepiej radę niż Tom Hanks w *CastAway*.

Wyszła na zewnątrz i prawie godzinę zbierała względnie suche gałęzie z poszycia nad strumieniem. Znalazła mały kawałek płaskiej skały, którą wykorzystwała do zeskrobania

suchego mchu, wszystko to ułożyła u wejścia do grotty. Zdjęła sztorniak, wyjęła z kieszeni czekoladę, którą dał jej Toshi, pustą puszkę po coca-coli i wzięła się do roboty.

Mając ojca archeologa i matkę antropologa, wykładowców uniwersyteckich ze stopniem profesora, Finn Ryan nie mogła nie znać, przynajmniej teoretycznie, kilku sposobów rozpalania ognia, od pocierania patyków, metody zastosowanej przez Toma Hanksa w filmie, do nieco bardziej skomplikowanej z cięciwą, stosowanej przez Indian Ameryki Północnej, i nawet cudownie prostej z tłokiem, którą odkryła w książce *Cache Lake Country*, znalezionej w bibliotece ojca, zawierającej informacje na wszelkie możliwe tematy od robienia wnyków na zajęcia po przepisy na placuszki.

Kolejną rzeczą, jakiej się dowiedziała na temat wszystkich metod rozniecania ognia, było to, że żadna z nich nie okazała się skuteczna, żeby nie wiem jak się starać; to że Tom Hanks znalazł odrobinę huby, nie przesłonił, faktu, że drewno, jakie zebrał, musiałyby być kompletnie suche, a w dodatku z dwóch specyficznych gatunków, bardzo twarde jako tłok i miękkie jako baza. Metoda z kołczanem także wymagała doskonałej suchości i równie ekstremalnej ciepłowości, czegoś, z czego można byłoby wykonać cięciwę i tu także dwóch gatunków drewna. A mieszka na ogień nigdy nie udało jej się wykonać, choć rysunek w książce był bardzo klarowny.

Bez zapalek czy zapalniczki lub posiadania akurat pod ręką szkła powiększającego, jedyną metodą rozpalenia ognia była ta, której nauczyła się od swego przyjaciela Tuckera Noe na Bahamach mniej więcej rok wcześniej, a do której potrzeba było puszki po coli i czekolady. Wyszło to przy okazji zakładu w barze, ale co tam, idiotyczna metoda, pokazana przez starego mężczyznę, rzeczywiście działała i nie wymagała wielkiego wysiłku.

Tucker używał denka puszki piwa Kalik i tabliczki zwykłej czekolady, ale coca-cola i batonik Hersheya powinny być równie skuteczne. Przy użyciu odrobiny czekolady i skrawka poszewki, którą miała na głowie, Finn wzięła się za szorowanie nieco wklęsłego od zewnątrz dna puszki. Po pięciu minutach równomiernych okrężnych ruchów dno stało się gładkie, a po dwudziestu było lśniące niczym lusterko.

Finn znalazła małą gałązkę, roszczepiła końcówkę paznokciem i wetknęła zasuszony zwitek starego mchu w ten niby-widelec. Jakąś minutę czy dwie zabrało jej ustawienie odpowiedniego kąta, by złapać słońce i dopasować odległość między zaimprovizowaną „zapalką” a puszką, ale wreszcie pojawił się dym, a potem ogień. Finn przesunęła palący się mech na przygotowany wcześniej stosik drewna i po chwili przed jaskinią paliło się ognisko.

Zadowolona, że udało jej się stworzyć podstawę przetrwania, pozostała część poranka spędziła na poznawaniu najbliższego sąsiedztwa grotty, około południa zdecydowała się na

sjestę w chłodnym wnętrzu nowego domu, a popołudnie przeznaczyła na składanie prostego zestawu narzędzi z kawałków kamienia, który łapała, by otrzymać noże i siekiery.

Następnie przy użyciu tych narzędzi sporządziła z długiego kawałka bambusa dzidę do łowienia ryb, zaostrzyła jej koniec i zahartowała w ogniu. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, a wyspa pogrążała się w ciemnościach, Finn wykorzystwała włócznię jako rożen, na którym upiekła długiego na trzydzieści centymetrów sumę, którego złapała w strumieniu o kilka kroków od wejścia do swego nowego domu. Ryba okazała się przepyszna. Na deser zjadła połowę na wół roztopionej czekolady i, zadowolona, lekko czknęła.

Ogień, jedzenie, dużo świeżej wody i schronienie. Podstawowe potrzeby zostały zaspokojone. Następnego dnia wybierze się, żeby sprawdzić, czy ktoś poza nią został wyrzucony na tę wyspę i czy jest na niej sama. Dodała drewna do ogniska, po czym zwinęła się wygodnie w krzepiącym cieple i wreszcie usnęła, starając się nie myśleć o tym, co wydarzyło się z jej przyjaciółmi.

*

Wciąż jeszcze było ciemno, kiedy wyrwały ją ze snu jakieś trzaski rozlegające się w dżungli. Miała dość czasu, by złapać harpun, kiedy w blasku jej z trudem uzyskanego ognia ukazała się para olbrzymich cieni, zasypująca za pomocą czystego rzeczno-piasku przygasające węgle. Finn zerwała się na równe nogi z harpunem w rękę, ale jeden z cieni obrócił się i wyrwał jej broń z ręki. Już miała krzyknąć, ale duża dłoń zasłoniła jej usta i mocno ścisnęła. Poczowała woń rozkładającego się mięsa i usłyszała gwałtowny szepot:

- Ani słowa, bo cię usłyszą. Musimy uciekać stąd i to szybko.

To był głos Billy'ego Pilgrima.

20

Wślizgnęli się w dżunglę, Billy prowadził Finn za rękę, druga postać poruszała się przed nimi. Ktokolwiek to był, miał na ramionach futrzaną pelerynkę, a na głowie dziwnie wyglądający kapelusz. Buty Konga spadały jej z nóg i ciągle się potykała, kiedy biegli ciemną wąską ścieżką przez śpiący las. Jakieś ptaki krzyczały głośno, małpy trajkotały zawzięcie. Wydawało się, że obrzydliwy zapach podąża za nimi.

- Kim jest twój nowy przyjaciel? - spytała Finn, starając się nadażyć za Billym. - I dlaczego śmierdzi jak zdechła koza?

- Bo mam na sobie skórę zdechłej kozy - powiedział, nie zatrzymując się, mężczyzna.

- Mam też doskonały słuch.

- Mówił z akcentem wskazującym na wykształconego Australijczyka, co oznaczało, że najprawdopodobniej pochodzi z Nowej Zelandii. - Nazywam się Benjamin Winchester. Profesor Benjamin Winchester. Jestem biologiem ze specjalizacją ochrona środowiska i jeszcze trzy lata temu pracowałem na uniwersytecie w Auckland.

- Co wydarzyło się trzy lata temu? - wydyszała Finn.

- Tsunami i tajfun, jaki właśnie przeżyliście. Jedno spowodowało drugie. Rzadkie, ale zdarza się. - Zatrzymał się na chwilę, powęszył, po czym znowu ruszył przed siebie.

- Byłem na francuskiej jednostce badawczej Tumamotu należącej do FREMER-u.

- Co to jest Fremer?

- Francuski Instytut Badawczy Eksploatacji Mórz. Miałem stypendium przyznane przez uniwersytet w Tulonie. Badanie skrzydłonogów. W tym się specjalizuję.

- Skrzydłonogi? - powtórzyła z pytaniem w głosie Finn.

- To rodzaj planktonu, biczycowate, pseudowęże o maleńkich skrzydłach, pływają jak koniki morskie, tyle że są mikroskopijne. Zabija się je, żeby określić poziom CO₂ w wodzie, w której żyją. Są jak barometr chemii całego oceanu. Mordowałem je przez lata.

-Więc jaka jest chemia tego oceanu? - spytał Billy.

- Podobna jak powietrza nad Manchesterem czy Los Angeles - powiedział Winchester.

- Nic zdrowego.

Nie wiedziała, dokąd zmierzali, ale z pewnością droga biegła w górę. Finn ledwie mogła za nimi nadążyć. Ścieżka była błotnista, a im wyżej się wdrapywali, tym robiło się gorzej. Przejście stawało się coraz węższe i węższe. Po kilku minutach Finn była kompletnie przemoczona od wody spływającej z liści roślin, które porastały z obu stron przejście. Wreszcie ścieżka wyrównała się, Finn miała wrażenie, że znaleźli się na jakimś grzbiecie, ponad ciemną zielenią dżungli po prawej stronie w dole rozciągała się jaśniejsza płaszczyna nieba.

- Gdzie idziemy? - spytała Finn, kiedy nagle skręcili w dół na szlak szeroki na metr.

- Jak najdalej stąd - odparł profesor. - Jeśli my zobaczyliśmy twój ogień, oni mogli zobaczyć go także.

- Oni?

- *Shuai-chiao* Zanga - mruknął Winchester. - Lub może *Itto-Suihei* Taisho.

- Chińczycy? - spytała skonfundowana Finn. - Japończycy?

- Zarówno jedni jak i drudzy - odpowiedział mężczyzna w skórze kozy. - Tutaj tak naprawdę nie ma to znaczenia. Jeśli dasz im najmniejszy pretekst, pozbawią cię głowy i nasadzą ją na kij.

- Nie rozumiem. - Finn kręciło się w głowie.

- Zrozumiesz - odparł Winchester. - Wierz mi, młoda damo, zrozumiesz.

Przemieszczali się teraz ostrożnie po półce skalnej szerokiej na metr czy dwa, z jednej strony urwisko opadało prawie pionowo w dół. Finn wydawało się, że po dalszej stronie doliny w świetle gwiazd błyszczy woda. Księżycy nie było. Nagle Winchester zatrzymał się, obrócił i zniknął w ciemnościach. Finn i Billy stali samotnie na wąskiej półce skalnej.

- Gdzież on poszedł? - spytała Finn.

- Tutaj jestem - odezwał się głos Winchestera z pogłosem.

- Gdzie? - Poirytowana Finn wpatrywała się w ciemności. Widziała tylko listowie dzungli i opadającą stromo ścianę tuż obok. Billy stał za jej plecami.

- Obróć się w lewo i zrób krok do przodu - poinstruował ją głos. Finn posłuchała. Liście rozsunęły się i znalazła się w wąskiej szczelinie prowadzącej do wysoko sklepionej groty.

W odróżnieniu od ścieżki, podłoga groty była całkiem sucha, z kamienia wapiennego. Zaśniło światelko i nagle ujrzała Winchestera, który uśmiechał się w świetle migoczącej lampy wykonanej z jakiejś skorupy i bawełnianego knota. Sądząc po zapachu, jako paliwa używał tranu.

- Tędy - powiedział szeroko uśmiechnięty. Ruszył w głąb groty. Finn podążyła za migoczącym światłem, oświetlającym gładkie ściany wąskiej szczeliny. Przeszli tak jakieś trzydzieści metrów, potem nagle przesmyk zakończył się i znalazła się w ogromnej jaskini wielkości co najmniej boiska do piłki nożnej, sufit wznosił się przynajmniej na piętnaście metrów nad ich głowami; setki długich ostrych stalaktytów opadało w dół niczym rury organów w jakiejś nieprawdopodobnej podziemnej katedrze. Pełgające światło lampy wystarczyło, by dostrzec po odległej stronie groty coś, co wyglądało jak ciemna wąska wstążka oleju.

- Rzeka?

Winchester roześmiał się; był to dziwny, suchy, drażniący dźwięk, podobny do wydawanego przez zardzewiałe zawiasy, który echo rozniosło po całej ogromnej grocie.

- Strumień. Czysta zimna woda. Moja własna rzeka Styks. Wypływa stąd i zmierza do doliny.

Przeprowadził Finn i Billy ego przez grotę do małego kamiennego wyniesienia przy odległej ścianie, tuż nad strumieniem.

Tu Winchester stworzył sobie przytulny mały dom, chociaż nawet w ogromnej jaskini woń rozkładającego się mięsa, zepsutej ryby i różne zapachy fizjologiczne były wprost nie do

zniesienia. Było tam palenisko z dużego płaskiego kamienia otoczonego przez kilka mniejszych, coś, co można było uznać za piec, wykonany z szarej naturalnej gliny, oraz spory wybór narzędzi i broni.

Niektóre robione ręcznie, jak dmuchawki i bambusowe dzidy zakończone kamiennymi ostrzami, leżały na stosie tuż za ogniskiem, inne wyglądały, jakby trafiły tu wprost z muzeum, między innymi ozdobny miecz z rzeźbioną kamienną rączką oraz potężna, grubo ciosana siekiera, najwyraźniej ręcznie kuta, ale przez to nie mniej niebezpiecznie ostra.

Było też kilka w oczywisty sposób współczesnych kilofów skalnych, kilka zardzewiałych śrubokrętów, klucz hydrauliczny, a na bambusowym pałku wisiało co najmniej pięćdziesiąt bidonów w różnych kolorach na gorącą wodę. Na półce skalnej stał cały zbiór amatorsko wplecionych wiklinowych koszy do przechowywania różnych rzeczy, drewniana skrzynka z nalepką z plantacji ananasów i największy możliwy czerwony pojemnik z proszkiem do prania. Na wyłomie skalnym wisiała na skórzanym pasku staroświecka mosiężna lornetka. Ponad tymi wszystkimi domowymi skarbami zawieszony był potężny okrętowy proporzec, pomarańczowe idealne słońce na białym tle z dziwnie wyglądającymi promieniami.

- To jest flaga dowództwa marynarki japońskiej z czasów II wojny światowej - powiedział Winchester, zauważywszy na czym zatrzymał się wzrok Finn. Zdjął z występu skalnego lampę, sięgnął po małe blaszane pudełko, przysunął je do płomienia.

Otworzył pudełko, wyjął z niego odłamek ciemnej skały i coś, co wyglądało jak kawałek drewnianego samolotu. Uderzył z wprawą krzemień o ostrzałkę, wywołując iskrę, od której zapalił się zwitek huby leżącej pośrodku drewna na podpałkę. Po chwili zapłonął mały ogień. Finn znalazła płaskie miejsce obok i usiadła. Billy obok niej. Finn po raz pierwszy mogła się przyjrzeć w blasku ognia Winchesterowi, który zajął się czajnikiem i czymś, co można było uznać za liście herbaty.

Pozostawiony samemu sobie, zapomniany przez uniwersytet profesor sprawiał dość koszmarne wrażenie. Na pierwszy rzut oka wyglądał na pięćdziesiąt parę lat, był raczej niski, ale mocno zbudowany i najwyraźniej w dobrej kondycji. Kapelusz na jego głowie zrobiony był z byle jak wygarbowanej skóry dzikiej świni, ze szczecina, ale choć wyglądał groteskowo, na pewno był nieprzemakalny, a duża kłapa na plecach chroniła niczym kepi, jakich używano w Legii Cudzoziemskiej, by woda nie spływała po karku.

Pod tym nakryciem głowy, które zresztą zrzucił bezceremonialnie na bok, kiedy wstawiał czajnik na ogień, mężczyzna miał długą płataninę jasnosiwych włosów, których

najwyraźniej nie udało mu się ujarzmić. Skórę, tam gdzie ją było widać, słońce spaliło prawie na czarno, usta miał spieczone i popękane.

Jasne błękitne oczy, na wpół szalone, spoglądały niepokojąco ponad potężną brodą zakrywającą kompletnie dolną połowę twarzy. Ubranie miał zrobione z kozłej skóry, kawałków nylonowego żagla oraz czegoś, co kiedyś mogło stanowić część gumowanego impregnowanego brezentu, wszystko to połączone zostało kawałkami skóry, gałązkami przeplecionymi przez wydłubane dziurki oraz miedzianym drutem, a całość spinał ciężki pas, tak że całość wyglądała na coś pomiędzy tuniką a kiltem.

Pas był jedynym solidnym elementem w całej niezwyklej mieszance, o dziwo sprawiającej jednak wrażenie stroju. Sprzączka przy pasku była mosiężna, okrągła, starannie wypolerowana i miała te same insygnia jak flaga marynarki: nieco ekscentryczną wersję japońskiego wschodzącego słońca. W co ona się wpakowała?

Winchester, przykucnięty przy ogniu, wpatrywał się w płomień, w jego wzroku malowało się zagubienie i jakby pragnienie czegoś. Bez względu na stan ubrania, profesor uniwersytetu wydawał się nadzwyczaj sprawny jak na człowieka, który znalazł się na bezludnej wyspie, mając jedynie kilka dziwnych narzędzi i po amatorsku sporządzone dmuchawki, które miały mu umożliwić przeżycie. To był nie lada wyczyn i Finn nie omieszkała tego powiedzieć.

- Radziłbym ci zrzucić te dzinsy - powiedział łagodnie.

- Słucham? - zdziwiła się.

- Szłaś pół godziny przez dżunglę na wyspie na morzu Sulu. - Nagle roześmiał się jak szaleniec. - Pijawki. Wielkie.

Prawdopodobnie już kilka nakarmiłaś, nawet tego nie zauważywszy.

Finn wpatrywała się przez chwilę w niego, zastanawiając się, czy to żart, ale uświadomiła sobie, że on wcale nie stara się jej rozśmieszyć. Zerwała się na równe nogi i rozpięła spodnie, w tym samym momencie Billy robił dokładnie to samo. Winchester uśmiechnął się rozbawiony.

- Nagle przyszło mi do głowy, że już kawał czasu nie widziałem nagiej kobiety, w dodatku tak pięknej. Jesteś wyjątkowo ładna, moja droga. - Pokazał dłonią jej uda. - Tam masz parkę. Gatunek: *Animalia*, gromada: *Annelida*, klasa: *Clitellata*, podklasa: *Hirudineda*. Te wyjątkowo pulchne, które karmią się teraz twoją krwią, to brązowe *Hirudo medicinalis*, typowe trójszczękowce. Ich małe ząbki są ostre niczym żyłki. Drakula mógłby pozazdrościć. Wyglądają na dobrze wypasione.

Finn spoglądała na swoje uda przerażona. Pijawki były grube, pokryte śluzem, długie na dziesięć centymetrów. Delikatnie pulsowały, bezboleśnie wysysając z niej krew. Nie czuła nic.

- O Boże - wyszeptwała, zbierało się jej na mdłości. Poniżej było kilka następnych, z przodu i z tyłu nóg. Zadygotała, wsadziła rękę za majtki i ściągnęła je.

- Zdejmij je! Zdejmij je!

- Co robić? - krzyczał Billy. Winchestera wyraźnie bawiła ich panika. - Większość ekspertów uważa, że nie należy robić nic,

tylko pozwolić, żeby odpadły, jak już się nasycą. Przypalanie nie jest najlepszym pomysłem, bo wtedy ich płyny ustrojowe zostaną wprowadzone do waszego systemu, a to najlepsza droga, żeby otrzymać jakąś brzydką infekcję. Sól nie jest przyjemna w kontakcie z raną. Jeśli jednak chcecie się ich jak najszybciej pozbyć, możecie podważyć paznokciem kciuka ich główki, tam gdzie są przyssane do was, odsunąć je i wtedy odrzucić.

Billy nie zwracając uwagi na puchnące czarne potworki przyczepione do własnej skóry, pomagał Finn pozbyć się pijawek w miejscach, do których nie mogła sięgnąć; wrzucane do ognia skwierczały, a wreszcie stawały się grudką popiołu. Kiedy odrywali krwio pijące stworzenia, Winchester kontynuował wykład na temat niebezpieczeństw miejscowej flory i fauny.

- W tej okolicy mieszka tysiąc siedemset poznanych odmian pasożytniczych robaków, sto siedemdziesiąt sześć rodzajów węży, w tym pytony i kobry, jak również nieagresywny wąż jadowity z rodzaju *Bungarus*, nie wspominając o żmii łańcuszkowej. Tę dość łatwo zirytować, atakuje przy najmniejszej prowokacji. A wtedy możesz już tylko zmówić modlitwę, bo zostaje ci minuta życia, za mało, żeby podać przeciwciała. Kosztowała więcej istnień ludzkich niż jakikolwiek inny wąż na świecie. Ponadto występują tu choroby takie jak malaria, denga, cholera, tyfus, wścieklizna, zapalenie wątroby. Zadraśniesz się przy goleniu, a kilka dni później odpadnie ci szczeka. Następnie są cierniste rybki, które przyciąga zapach moczu i gdy tylko da im się szansę, wdzierają się w miejsca intymne. Raczej nie zalecałbym kąpieli. - Westchnął widząc, że Billy zrywa ostatnią lśniącą larwę z Finn i zaczyna pracę nad sobą.

- Najbardziej brakuje mi sera, szczególnie na tostach. Tutaj daje się żyć całkiem nieźle, mam mnóstwo owoców i warzyw, nie wspominając o mięsie i rybach, ale niczego, co by choć trochę przypominało ser. - Profesor potrząsnął głową ze smutkiem. - Czego bym nie oddał za kawałek cheddara albo odrobinę airedale'a! Kawałeczek srebrzystego hipi iti na krakersie. Rozsmarowany niebieski waimata na kawałku świeżego chleba. - Zerknął na Finn

wciągającą z powrotem dżinsy. - Zdziwiłabyś się, za czym tęskni mężczyzna, kiedy jest takim rozbitkiem jak ja. Naprawdę byś się zdziwiła.

- Przepraszam, że tak się zachowałam - przeprosiła Finn, siadając. - Na widok takich stworzeń cierpnie mi skóra.

- Żyjąc tutaj, musisz przywyknąć do takich dreszczy. - Winchester parsknął śmiechem. - Niewiele więcej ci pozostaje. A już z pewnością nie ma sera.

- O tym już wspominałeś - powiedział Billy. - Wyraźnie brakuje ci tu sera.

- Czy wiesz, co oznacza „tutaj”? - spytała Finn.

- Gdzieś na północ od Kagayan de Sulu - odpowiedział Winchester. - Jeśli to cokolwiek wam mówi. - Wzruszył ramionami, a potem sięgnął po kij i zdjął puszkę będącą czajnikiem z ognia na bok. Podszedł do półki, na której stało kilka metalowych kubków wyglądających na wojskowe wyposażenie. Owinąwszy kawałkiem zniszczonej szmatki czajnik, żeby go izolować, nalał parujący płyn do kubków i podał im. Finn ostrożnie upiła łyk. To była prawdziwa herbata, mocna i bardzo aromatyczna.

- *Camellia sinensis*. - Winchester uśmiechnął się, widząc jej zdziwienie. - Prawdziwa. W supermarkecie zapłaciłabyś za nią dużo pieniędzy. I trudno byłoby ci dostać świeższą. Zerwałem wczoraj z rośliny, którą uprawiam tu na stoku.

- Mówiłeś, gdzie jesteśmy - wrócił do tematu Billy.

- Tak. Na północ od Kagayan. Tyle wiem, bo statek tam się znajdował, kiedy uderzył tajfun. Ponadto musieliśmy znajdować się z dala od normalnych szlaków.

- I nikt się tu nie pojawia? - spytała Finn. - Nawet nikt z miejscowych?

- Nie przez trzy lata, od kiedy mnie wyrzuciło na brzeg

- odparł Winchester. - Nie ma żadnych miejscowych. - Dolał sobie herbaty i głośno siorbnął. - Zabiorę was jutro na Wzgórze Lunety i pokażę wam, jak to wszystko wygląda. Większość linii brzegowej to strome klify, przynajmniej po zawietrznej stronie, po nawietrznej zaś są rafy i mielizny. Żadnego miejsca, gdzie można byłoby dopłynąć i zacumować.

- Wzgórze Lunety? - powtórzyła Finn.

- *Wyspa skarbów* - podpowiedział Billy.

- Zgadza się - potwierdził Winchester. - Miejsce, w którym stary kapitan Flint zakopał swoją zdobycz.

- A także nazwa tawerny Długiego Johna Silvera w Bristolu - dodał Billy.

- Doskonale! - profesor uniósł jedną zmierzwioną brew w górę. - Dużo wiesz na ten temat.

- W dzieciństwie to była moja ulubiona książka - powiedział Billy. - To i *The Eagle of the Ninth* Rosemary Sutcliff.

- *Był sobie raz na zawsze król* - szepnął Winchester. - T.H. White.

- *The Bull from the Sea* Mary Renault - podrzucił Billy.

- CS. Lewis i *Opowieści z Nami* - westchnął nostalgicznie Winchester. - Nie zastąpią dobrego sera, ale prawie. Przez te trzy długie lata nie przeczytałem drukowanego słowa.

- Jeśli już zakończyliście waszą pogawędkę o literaturze, może byśmy przeszli do interesów - zaproponowała Finn.

- Jak dotąd zajmowaliśmy się pijawkami, japońskimi mieczami, chińskimi żołnierzami i serem. Chciałabym się dowiedzieć, profesorze Winchester, o co tu w ogóle chodzi, oczywiście, jeśli pan to wie.

- Mów mi Brian - powiedział mężczyzna w skórze kozy. Podniósł się, podszedł do półki i uchylił przykrywkę na

jednym z koszy, potem znowu usiadł i rzucił dwa lśniące w blasku ognia przedmioty, tak że wylądowały u stóp Finn i Billygo. Jeden był małą złotą sztabką ze stemplem w kształcie chryzantemy banku Nippon Ginko, drugi ciężką złotą monetą o średnicy dwóch cali z kwadratowym otworem pośrodku i chińskimi znakami na każdej ćwiartce.

- Czy uwierzycie mi, jeśli dodam tajemniczą ogromną łódź podwodną i mającą sześćset lat chińską dżonkę długości pola od rugby? Kości nosorożców, lwów i żyraf, tam gdzie w ogóle nie powinno ich być, wojna która toczyła się pół wieku po tym jak ogłoszono pokój? Skarby nieporównywalne z niczym, ukryte w sercu wygasłego wulkanu. Wyspa, która pożera statki i ludzi. I robi to już tysiąc lat?

- Uczciwie mówiąc - powiedział Billy - brzmi to jak brednie szaleńca.

Winchester wydobył z siebie jeden ze swych skrzeczących śmiechów, który odbił się echem o najodleglejsze ściany ogromnej groty.

- Uważasz, że to brzmi obłąkańczo, młody człowieku? Posłuchaj, to opowiem ci historię.

21

- Zacznijmy od faktów - powiedział Winchester, siadając wygodnie po turecku. - Dawno, dawno temu, a żeby być bardziej precyzyjnym, pod koniec czternastego wieku, w północnych Chinach, najprawdopodobniej w prowincji Yunnan, urodził się pewien człowiek, nazwany Zheng He. Był muzułmaninem, a jego ojciec i dziad byli członkami rządu. Kiedy cesarz Ming zawładnął prowincją Yunnan, Zhenga He uwięziono i wykastrowano.

Został sługą w cesarskim pałacu w Pekinie. W odpowiednim czasie trafił do armii, gdzie zdobył sławę, kolejne stopnie zawdzięczając wyłącznie własnym zdolnościom, taki chiński Richard Sharpe, bohater powieści Bernarda Cornwella, czy Hornblower, bohater powieści CS. Foreстера. Co dziwniejsze, mimo że urodził się na pustyniach Uzbekistanu, Zheng He zaciągnął się do cesarskiej marynarki i koniec końców został admirałem.

- Czytałem o tym książkę - powiedział Billy. - Ktoś napisał o nim nie tak dawno temu. Mówi się nawet, że odkrył Amerykę jakieś pięćdziesiąt lat przed Kolumbem.

- Książka miała tytuł *1421, rok w którym Chińczycy odkryli Amerykę i opłynęli świat* - przytaknął Winchester. - Autor opierał się na pewnych kontrowersyjnych mapach. Czy odkrył Amerykę, można jedynie spekulować, ale to, czego Zheng He dokonał na Morzu Południowo chińskim i Oceanie Indyjskim, jest dobrze udokumentowane. Wypłynął z Nankinu dowodząc ogromną flotą dżonek, od małych ośmiowiosłowych patrolowych łodzi długości trzydziestu metrów po ogromne, długości stu osiemdziesięciu metrów, do przewożenia skarbów, na których płynęły załogi składające się z tysiąca mężczyzn oraz żywy inwentarz, zamknięty w klatkach, przywożące z Egiptu wszystko, co się dało: od żuków gnojaków po żyrafy i słonie żyjące na trawiastych wyżynach Afryki.

- Najwyraźniej sporo wiesz na jego temat - zauważyła Finn.

- Kiedy się spędza kilka miesięcy na statku badawczym, lepiej mieć dobrze zaopatrzoną wideołeczkę. Na Tumamotu mieli całkiem spory wybór. Głównie po francusku, ale jakoś sobie z tym radziłem - uśmiechnął się. - Na Nowej Zelandii miewamy też ciekawe programy telewizyjne, nie tylko Petera Jacksona i *Władcę Pierścieni*.

- Przepraszam - szepnęła Finn.

- Nic nie szkodzi, moja droga, to koszt tego, że żyjemy na końcu świata, kilkanaście tysięcy kilometrów od kraju macierzystego.

- I brak prawdziwego cheddara - roześmiał się Billy.

- Real stilton. - W głosie Winchestera pojawiła się wyraźna tęsknota.

- Dostyc o serach - przerwała im Finn. - Opowiedz dalej o tej flocie.

- Kariera Zheng He nie była zbyt długa, trwała jakieś dwadzieścia lat. W tym czasie odbył siedem podróży, niektórzy uważają, że nawet okrążył świat. Podczas tych dwudziestu lat i siedmiu podróży stracił podczas tajfunów kilka statków. Jeden z nich był potężną dżonką pełną skarbów, dopłynęła ona właśnie tu w drodze do Chin. Z opowieści naocznych świadków i zapisów historycznych wiadomo, że w tym miejscu zdarzył się tajfun jesienią 1425 roku. Statki Zheng He były fantastycznie zaprojektowane, miały nawet wodoszczelne kajuty. Ten statek prawdopodobnie przetrwał prawie nietknięty, wraz ze swym ładunkiem i

załogą. Główna handlowa trasa prowadziła bliżej Wietnamu, więc najprawdopodobniej wiatry zepchnęły tę dżonkę z drogi. Z moich własnych badań wynika, że blisko sześćset czy nawet siedemset osób zostało rozbitkami. Historyczny zapis wskazuje, że na statkach Zhenga He podróżowało również dużo kobiet.

Mijały lata i wieki, populacja ustabilizowała się na ośmiuset osobach. Na statku były też zwierzęta, krowy, kozy, świnie, drób. Dość by rozpocząć hodowlę. Większość zwierząt wiezionych przez ludzi Zheng He na dwór Ming zdechła, chyba że zdążono je skrzyżować z miejscową fauną. Istnieje wyjątkowo złośliwy dzik, który najwyraźniej jest jakoś spokrewniony z afrykańskim guźcem oraz kilka małych jeleni, ale lwy, słonie i żyrafy zdechły, nieprzystosowane do warunków.

- Park Jurajski na morzu Sulu - powiedziała Finn.

- Coś w tym rodzaju. Nawet bardziej wyspa doktora Moreau - odparł Winchester. - Od czasu, kiedy statek się rozbił, minęło pięćset lat. Mieszkańcy nie mieli pojęcia, co się w tym czasie dzieje na świecie. Stali się tubylcami uprawiającymi kult cargo, modlącymi się do pozostałości ich przeszłości, ale już bez świadomości, do czego służą te przedmioty.

- Czyciele ładunku? - zdziwił się Billy.

- Tubylcy oddający cześć rzeczom. Moja matka się tym interesowała. Po drugiej wojnie światowej różne plemiona na Nowej Gwinei zaczęły czcić wykonane ze słomy wizerunki samolotów, które zrzuciły im zapasy na spadochronach. Uważali, że jeśli będą się żarliwie modlić, cudowne ładunki powrócą. Sama idea ma korzenie w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, kiedy to mieszkańcy po raz pierwszy mieli kontakt z odkrywcami ich ziem.

- Więc ci, którzy przeżyli, zaczęli po jakimś czasie otaczać czcią resztki statku?

- Coś w tym rodzaju. Po samym statku nie było już śladu, ale skarby oraz niektóre przedmioty ukryto w wielkiej grocie przy Amfiteatrze Wraków. Wciąż się tam znajduje.

- Amfiteatr wraków? - spytała Finn.

- Coś, dzięki czemu miejsce to żyje, można by rzec - uśmiechnął się Winchester.

- Musisz nam to wyjaśnić - powiedział Billy.

- Lepiej, jeśli wam pokażę - odparł Winchester. - Jutro, teraz warto by trochę wypocząć.

Finn spała bez snów, a obudził ją nieziemski zapach jajek na bekonie. Podniosła się zdziwiona i ujrzała zadowolonego Winchestera pochylonego nad patelnią zrobioną z denka dużej puszki z uchwytem z bambusa. Billy już także był na nogach, czekał z drewnianym talerzem w dłoni.

- Jaja od kury z Mozambiku - poinformował Winchester. - Fantastycznie się tu zadomowiły. Bekon z guźca, o którym wam wspominałem. Żółtkiem na górze czy na dole?

- Wszystko jedno - ziewnęła Finn, przecierając zaspane oczy. - Szkoda tylko, że nie ma kawy. - Wzięła od Billy'ego pełen talerz wraz z przyborem wykonanym z drewna, będącym czymś pomiędzy widelcem a łyżką.

- Ależ mamy kawę - odparł Winchester wręczając jej parujący kubek. Zdziwiona Finn upiła łyk. Kawa była wyśmienita.

- Smakuje jak starbucks - parsknęła śmiechem.

- Bo to jest starbucks - odparł Winchester. - Z Indonezji. Cały kontener przyniosło morze z tydzień temu. Jakiś frachtowiec bez wątpienia miał kłopoty. To dzieje się częściej, niż byście pomyśleli. Sam mielę ziarna, stosując staroświecką metodę, tłuczkiem w móżdżerzu.

- Starbucks, bekon, jajka i chiński skarb - powiedział Billy zmiatając śniadanie za pomocą drewnianego urządzenia.

- Czy te cuda się nie wyczerpią?

- To dopiero początek, mój chłopcze, zjadaj i ruszaj w drogę.

Zanim skończyli śniadanie, słońce zdążyło już zawędrować w górę po bezchmurnym niebie. Przed wyruszeniem Winchester dał im paski wysuszonej, prymitywnie wygarbowanej koziej skóry, żeby owinęli sobie łydki.

- Nie będą się was czepiać różne paskudy - wyjaśnił.

- A wierzcie mi, że jest ich tu całkiem sporo. - Tak przygotowani opuścili jaskinię.

Ścieżka skalna prowadząca wzdłuż grani była sucha, pokryta cienką warstwą ziemi. Drzewostan składał się głównie z gęstych mahoni, o grubych, wysokich na trzydzieści metrów pniach, z ich rozłożystych gałęzi zwieszały się kolorowe owoce.

- To jak spacer po raj. - Finn wciągnęła w płuca intensywny świeży zapach.

- Wszystko jest dobrze - odparł sucho Winchester - dopóki nie nastąpisz na grzechotnika. Lubią ten typ poszycia. Po dziewięćdziesięciu sekundach nie żyjesz.

- Jak wyglądają? - spytała Finn.

- Jak podłoże - odparł. - Prawie nie można ich dostrzec.

- Jesteś prawdziwą skarbnicą dobrych wiadomości - rzucił Billy.

- Stonogi, krocionogi, czarne skorpiony, nawet zabójcze rośliny. Dżungla to nie miejsce dla mięczaków.

Szli tak dobrą godzinę, przez większą część czasu pod górę i po dobrze oznaczonej ścieżce. Zgodnie ze słowami Winchestera, były to szlaki zwierząt, ale Finn nie była tego całkiem pewna, tu i tam były miejsca, wyraźnie wytrzebione jakimś ostrzem.

- Czy starałeś się stąd wydostać? - spytał Billy. - Czy choć próbowałeś?

- Na początku myślałem o tym - rzekł profesor. - Ze zbuduję tratwę i znajdę szlak wodny.

- I? - zachęciła go Finn.

- A potem usiadłem i poważnie się nad tym zastanowiłem. Zadałem sobie pytanie, dlaczego na tych wyspach nadal zamieszkują ludzie i dlaczego nigdy nie widziałem ani śladu łodzi czy tratwy. I doszedłem do wniosku, że tubylcy musieli też kiedyś próbować, ale z jakiegoś powodu zaniechali tych prób.

- Z jakiego powodu? - spytała Finn.

- Wiele lat temu wyszła książka pod tytułem *Papillion*

- powiedział Winchester. - Opowiadała o mężczyźnie, który próbował uciec z Diabelskiej Wyspy.

- Steve McQueen zagrał potem tego Francuza - wtrącił Billy. - A Dustin Hoffman prawie ślepego fałszerza. Nie bardzo mnie to przekonało.

- Nie mówię o grze aktorskiej - przerwał mu Winchester.

- Tylko o ucieczce.

- Czy oni nie popłynęli na workach z orzechami kokosowymi?

- Owszem - powiedział Winchester. - Tylko że w rzeczywistości to by się nigdy nie udało. Możecie mi wierzyć, na tej cholernej wyspie jest dość orzechów, żeby każdy wypłynął na nich z tysiąc razy. Ale nic z tego. Uniemożliwią to skutecznie prądy i przyływy.

Nagle wyszli z dżungli, znaleźli się na skalistym szerokim cyplu, jakieś stóp trzysta metrów nad brzegiem, na który morze wyrzuciło Finn. Dokładnie na przeciwko nich, głęboko w dole widać było w odległości półtora kilometra od brzegu linię fal załamujących się na rafach. Nawet tu, gdzie stali, słychać było ich głucho uderzenia.

- W szkole moją mocną stroną była matematyka, jako jeden z nielicznych naprawdę rozumiałem trygonometrię. Zrobiłem z bambusa teodolit i jakiś rok temu pomierzyłem rzeczywistą wysokość tych fal na dole, ot tak, żeby nie wyjść z wprawy. Nawet w spokojny dzień sięgają dziesięciu metrów. Przy odpływie morze jest jeszcze bardziej wzburzone. Żadna tratwa nie pokona tych raf nawet przy najspokojniejszym morzu, a próba odbicia tratwy od strony klifów równałaby się samobójstwu.

- Musi być jakieś przejście przez rafy - powiedział Billy, przysłaniając dłonią oczy i badając okolicę. - Po prostu musi. Jeśli to, co mówiłeś o Zheng He, jest prawdą. Jeśli dżonka ze skarbami dopłynęła do brzegu, musi być jakieś miejsce, którym da się przedostać między rafami. Przepłyniemy tamtędy.

- Podczas tajfunu - powiedział Winchester. - W tym właśnie sęk.

- Co masz na myśli? - spytała Finn, przenosząc wzrok ze stromego zbocza na plażę, a potem na morze. Poza niebem i morzem, które łączyły się gdzieś w oddali, nie było nic. Finn nagle poczuła się mała i samotna w obliczu niezmiernie przestronnej przestrzeni. Spędzić tu lata w całkowitej samotności musiało być czymś strasznym. Odwróciła się do Winchestera, żeby coś powiedzieć, ale zobaczywszy w kątku jego oka łzę, odwróciła się z powrotem w kierunku morza. Milczała.

- Czasami, kiedy przychodzę tu w nocy, żałuję, że nie jestem astronomem - powiedział cicho Winchester. - W jasną noc widać tu wszystkie gwiazdy, jak miliardy diamentów na nieskończonym czarnym welwecie nieba.

Stali tak jeszcze chwilę, spoglądając na morze, zagłębieni w swoich myślach, wreszcie Winchester odwrócił się. Finn i Billy ruszyli za nim w dżunglę, kierując się kolejną ścieżką, prowadzącą w głąb lądu.

- Coś wspominałeś, że tajfun stanowi problem? - wysapał Billy, przedzierając się przez gęsty las za mężczyzną w koźlej skórze.

- Niezupełnie problem - odparł z przekonaniem Winchester. - Prawie na sto procent zawdzięczacie mu życie.

- Zatrzymał się i odwrócił ku nim. - Jak dużo wiecie na temat tajfunów?

- Nie za wiele.

- Wywołują coś, co nazywane jest sztormową falą, wznoszenie się wody w centrum sztormu, które potrafi spowodować, że podłoże w danym miejscu podnosi się lub opada. W zależności od tego jak płytka jest woda przy lądzie, rezultat może być katastrofalny.

- Fala sztormowa Katriny miała dziewięć metrów - przytaknęła Finn.

- Katrina? - powtórzył Winchester z pytaniem w głosie.

- Czy o czymś nie wiem?

- Huragan, który przeszedł nad Zatoką Meksykańską. Można powiedzieć, że zniszczył cały Nowy Orlean.

- Niestety się zawsze czai. - Winchester pokiwał głową ze zrozumieniem. - Przyzna to każdy, kto wie cokolwiek na temat huraganów. No cóż, dziewięć metrów to mniej

więcej połowa fali, która was przyniosła. Zgodnie z moimi pomiarami, osiągnęła siedemnaście. Bez wątpliwości był to supertajfun.

- Wydaje mi się, że rozumiem. - Finn wyobraziła sobie sztorm, który przeżyli. - Chcesz nam powiedzieć, że fala podniosła wodę tak wysoko, że przepłynęliśmy ponad rafą, ale kiedy opadła, statek wylądował na mieliźnie.

- Coś w tym rodzaju - powiedział Winchester. - Cała ta wyspa jest jak pułapka na homary. Topografia przypomina olbrzymi lejek z wyspą pośrodku. Można się tu dostać, ale nie ma mowy, by się stąd wydostać. Zrozumiecie to lepiej, kiedy dojdziemy na szczyt Wzgórza Lunety i będziecie mieli dobry widok na Amfiteatr Wraków.

Minęła kolejna godzina, słońce wspięło się nad korony drzew i zrobiło się naprawdę gorąco. Spływali potem, a wokół chmarami gromadziły się komary i małeńkie, równie dokuczliwe muszki. Otaczająca ich dżungla buzowała życiem, co objawiało się przede wszystkim ich uszom - docierała do nich cała gama różnych brzmień, od delikatnego szmeru wiatru w liściach ponad ich głowami, przez cykanie małych insektów, po niespodziewane krzyki przeróżnych egzotycznych ptaków. Czuli się niczym w środku najhałaśliwszego filmu o Tarzanie, jaki kiedykolwiek powstał.

Wreszcie drzewa i poszycie zaczęły się przerzedzać, Winchester zatrzymał ich ruchem dłoni.

- Nie wychylajcie się - powiedział cicho. Postukał palcem w lornetkę. - Nie mam pojęcia, czy tubylcy też coś takiego mają, ale nie chciałbym ryzykować, że nas zobaczą tu na wzgórzu.

Winchester, czołgając się, przesunął do przodu, Finn i Billy sunęli tuż za nim. Dotarli do prawie łysego fragmentu zbocza na szczycie wzgórza i tam wyjrzeni. Widok zapierał dech.

Pięćdziesiąt metrów od miejsca, z którego wyglądali, z wąskiej szczeliny w skale wytryskiwał wodospad, spadając z hukiem po stromym zboczu. Musiał być równie wysoki co wodospad Yosemite; pionowa, ciemna, lśniąca skała przecinała ogromną dolinę, pokrytą bujną zielenią niczym zmoczone ostrze siekiery.

Dolina rozciągała się co najmniej na trzydzieści pięć kilometrów, a na samym dnie lśniła jasno, niczym błękitny klejnot, laguna połączona z morzem pęknięciem, szerokim może na półtora kilometra, między dwoma stromymi klifami; podobnie strome ściany wznosiły się naprzeciwko Wzgórza Lunety. Całość wyglądała jak gigantyczna filizanka z pęknięciem z boku.

Jezioro, szerokie na kilka kilometrów, upstrzone było małymi, nieregularnymi wysepkami, stanowiąc jakby model zewnętrznego morza. Brzeg prawie doskonale okrągłego

zbiornika wodnego otaczały szerokie białe plaże obramowane palmami. Finn nie omieszkała tego skomentować.

- To kaldera - wyjaśnił Winchester. - Pozostałość po wybuchu wulkanu. Jak Krakatau, Jezioro Kraterowe w Oregon czy Rotorua w Nowej Zelandii.

- Jak ono jest duże? - spytał pełen podziwu Billy.

- Zgodnie z moimi wyliczeniami, w najszerszym miejscu ma siedemdziesiąt dwa kilometry i ponad dziewięćdziesiąt długości.

- Ależ to niewiarygodne! - ekscytował się Billy. - Musi być widoczne na zdjęciach z satelity i mapach!

- Z pewnością - spokojnie odparł Winchester. - I co z tego? Przez połowę czasu skrywają je chmury, nic też nie wskazuje, by okolica była zamieszкана. Na wyspę dotrzeć można tylko podejmując ogromne ryzyko i to w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach, więc kto będzie ryzykował?

- skrzywił się. - Szaleniec, który rządzi najbliższym krajem, nie jest na tyle chciwy, by wycinać tutaj drzewa, wystarcza mu reszta Malezji. Przynajmniej na razie.

- To jest to miejsce - nagle Finn zrozumiała. - W tym miejscu rozbił się statek Willema van Boegarta w czasach Rembrandta. Stąd pochodziły jego skarby. Jednak on znalazł sposób, by stąd uciec, wrócił do Holandii i założył swoje imperium.

- I tego miejsca szukał właśnie Pieter Boegart kilkaset lat później - dodał Billy.

- Holender? - zapytał zdziwiony Winchester.

- Poznałeś go? - spytał Billy.

- Widziałem, jak go zabrali - powiedział Winchester.

- Tubylcy.

- Kiedy? - Finn sama była zdziwiona, że los tego obcego człowieka tak bardzo ją porusza.

- Jakiś miesiąc temu. - Winchester wzruszył ramionami.

- Choć nie prowadzę kalendarza. Ale myślę, że od tego czasu upłynął jakiś miesiąc.

- Jak się tutaj dostał? - chciał wiedzieć Billy. - Czy nie mówisz, że bez fali sztormowej to niemożliwe?

- Zgadza się. Dostał się w jedyny możliwy sposób, jaki pozwala ominąć rafy. Przyleciał. - Profesor w kozłej skórze pokazał swoim brudnym kościstym palcem taflę olbrzymiego jeziora. - Tam wylądował. To był stary jednosilnikowy Norseman, jeszcze z czasów wojny. Latały nad Pacyfikiem. Miały zasięg około tysiąca kilometrów. Musiał skakać z wyspy na wyspę w poszukiwaniu tej właściwej.

- I co się wydarzyło? - Finn wpatrywała się w odległy błękitny krąg na dole.

- Kilka razy przeleciał nad wyspą na niewielkiej wysokości. Słyszałem go bardzo dobrze, więc tubylcy również. Schodziłem właśnie po wodę i widziałem, jak ląduje. Zanim jednak to się stało, wojownicy już czekali. Wyciągnęli go z kokpitu, samolot zatopili, wszystko to bez zbędnych ceregieli.

- Nie zabili go?

- Nic takiego nie widziałem - odparł Winchester. - Wyciągnęli go z kokpitu, wrzucili na jedną z tych swoich wojennych łodzi i zabrali na brzeg. Potem już go nie widziałem.

- Nie próbowałeś mu pomóc? - spytał Billy.

- Jak? - zdziwił się Winchester. - Od trzech lat robię, co mogę, żeby się na nich nie natknąć. To nie są kanibale, ale trudno ich nazwać cywilizowanymi, skoro do ich rozrywek należy ucinanie ludziom głowy i wsadzanie na bambusową żerdź; nieraz to widziałem i nie mam ochoty dołączyć do szeregu.

- Skąd wiedziałeś, że to Holender? - spytał podejrzliwie Billy.

- Ponieważ na kadłubie widniały wielkie pomarańczowe litery układające się w napis BOEGART LINE - odparł Winchester. - Czy pomyliłem się?

- Ja bym poszedł za nim - powiedział zapalczywie Billy.

- To ich wyspa. Ich obyczaj. Mieszkają tu od sześciu wieków, ja jestem tutaj nawet nie sześć lat, a wy nawet mniej niż sześć dni. Nie macie pojęcia, na co się porywacie. - Zdjął z szyi lornetkę i podał ją Finn. - Spójrz tylko - powiedział. Podniosła ją w górę podążając za palcem Winchestera.

- O mój Boże - wyszeptała. To, co wcześniej wzięła za małe wysepki, okazało się czymś zupełnie innym.

- Co to? - spytał niecierpliwie Billy.

- Statki - odpowiedziała. - Setki statków. Całe cmentarzysko. - Na niektórych nadal dało się odczytać nazwy. *MV Marcalla*, *SS Docteur Angier*, *SS Sebago*, *SS City of Almaco*, *SS Norma C*, *USS Geiger*, *MV Coolsingel*, *SS Morgantown Victory*. Były wszędzie, zniszczone wyspy dawnych jednostek, o których zapomniał czas. Niektóre z nich, jak *Geiger*, były statkami wojennymi. Z kolei *City of Almaco* był olbrzymim i wyglądającym niezwykle sędziwie tankowcem.

Były też starsze, przegniłe drewniane kadłuby, coś, co mogło być kiedyś jakimś wczesnym parowcem, a jego potężne kominy wyglądały niczym czarnozielone pnie; wszystkie te wraki dotarły tutaj przez lagunę, niektóre spoczywały jedne na drugich, inne stały pojedynczo. Na drugim krańcu jeziora, jakieś dwieście czy trzysta metrów od brzegu

ujrzała coś, co najprawdopodobniej było resztkami samolotu Pietera Boegarta. Przed na wpół zatopionym kadłubem wystawała z wody patrolowa torpeda ze zmiążdżonym dziobem. Przesunęła dalej szkła i jej oczom ukazał się znajomy kształt. Nastawiła lepiej ostrość.

- To *Queens!* - Frachtowiec leżał tuż przy połączeniu jeziora z rafą, na wpół na plaży, przechylony na bok tak, że doskonale widać było zardzewiałe dno.

Ale nigdzie nie dostrzegła śladu życia. Cała sterówka została zmiążdżona, z miejsca gdzie Finn leżała, widać też było, że sztorm wyrwał przedni luk i towarowego żurawia. Cały kadłub pośrodku był zapadnięty, co wskazywało, że i tylna część statku musiała być zniszczona. Rufa *Batavia Queen* leżała pomiędzy palmami, w miejscu gdzie kończyła się plaża. Był to bolesny, nieszczęsny koniec dla każdego statku, nie mówiąc już o takim, jaki się znało i o jaki się dbało. To było jak śmierć przyjaciela.

- Daj mi spojrzeć - poprosił Billy. Finn podała mu lornetkę.

- Ani śladu waszych przyjaciół? - spytał Winchester.

- Nie - odparła Finn.

Billy przeszukiwał wzrokiem wrak *Batavia Queen*. Opuścił lornetkę.

- Czy mogli przeżyć? - spytał.

- Wszystko jest możliwe - odparł Winchester. - Wam dwojgu to się udało.

- Gdyby dostali ich w swe ręce tubylcy, gdzie by ich zabrali? - zapytała Finn.

- Mają trzy osady, wszystkie trzy znajdują się po dalszej stronie wyspy.

- I do której by ich wzięli? - zapytał niecierpliwie Billy. Winchester wskazał na szeroki urwisty pagórek prawie dokładnie naprzeciwko nich.

- Tam jest rzeka, która spływa z góry do morza. Największa z wiosek leży tuż przy ujściu. Nie wiem, czy ma jakąś nazwę.

- Jak się tam dostać? - chciał wiedzieć Billy.

- Najlepiej trzymać się od niej jak najdalej.

- Możesz nas tam zaprowadzić?

- Żeby znaleźć Holendra? - rzucił szyderczo mężczyzna w koźlej skórze. - I waszych przyjaciół?

- I uratować ich - odparł Billy. - Co w tym złego? Winchester dotknął mosiądzu lornetki.

- A co się stało z tymi chłopakami? - Jakimi chłopakami?

- Takie lornetki to *Feldstechers* firmy Zeiss. Specjalnie wyprodukowane dla cesarskiej japońskiej marynarki w 1942. Admirał Yamamoto miał taką. Mówię o takich chłopcach.

- I mamy się niby przejmować kilkoma rozbitkami z czasów drugiej wojny światowej?
- zachnął się Billy.

- Nie, macie się przejmować ich dziećmi - odparł mężczyzna w koźlej skórze. - Z wielkimi mieczami i staroświeckimi czapkami z daszkiem z tyłu. To nimi powinniście się przejmować.

22

- To potwór - powiedział Billy, wpatrując się w ogromny kadłub wielkości wieloryba, zalegający w namorzynowym bagnie. Był to olbrzymi, długi na sto czterdzieści metrów cebulasty metalowy kształt z naroślą niczym garb, biegnącą wzdłuż górnej powierzchni, wielka pancerna wieża dowodzenia była częściowo zgnieciona, oznakowanie 1-404 wciąż, choć słabo, widoczne pod zbierającą się przez pięćdziesiąt lat warstwą rdzy, porostów i brudu. Cały statek pokrywała wijąca się płatanina korzeni i pnączy.

- To stamtąd zabrałeś flagę - domyśliła się Finn.

- Przeprowadziłem też małe dochodzenie - skinął głową Winchester. - Japończycy nie zbliżają się do niego, podejrzewam, że to jakiś przesąd.

Leżeli na trawiastym skraju piaszczystej wydmy na krańcu Amfiteatru Wraków. Po ich prawej stronie, poniżej piaszczystego wzniesienia rozciągała się plaża, a przed nimi mokradła. Za plecami mieli dżunglę porastającą wzgórza i doliny, ciągnącą się dalej w głąb wyspy. „Terytorium wroga”, tak ten obszar nazywał profesor.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - mruczał Billy. - Nie sądziłem, że Japończycy ani ktokolwiek inny miał tej wielkości łodzie podwodne podczas wojny.

- Większe były potem dopiero atomowe - powiedział Winchester. - Ta tutaj to Sen Toku 400 Class. Nie zrobili ich za wiele, myślę że zaledwie cztery czy pięć. - Wskazał dłonią groteskowo wyglądający wrak. - Widzicie to wgniecenie na przodzie? W tym miejscu miały być przewożone samoloty. Trzy, ze złożonymi skrzydłami. Wciąż tam są. Przeznaczone do misji specjalnej, wysadzenia Kanału Panamskiego, miały na pokładzie materiały zaawansowane technologicznie. Od czasu do czasu marzy mi się wydobyć jednego z nich, żeby odlecieć stąd, tyle tylko że nikt mi nie udzieli lekcji latania. - Roześmiał się chrapliwie. - Ta była pełna złota i srebra w sztabach. Najprawdopodobniej płynęła do bazy niemieckich u-bootów we Francji. Srebro i złoto stanowiło zapłatę za rzadkie surowce, których Japończykom zaczęło brakować. Nie był to pierwszy kurs.

- O tym też widziałeś film na statku badawczym? - spytał Billy.

- Nie, to mi opowiadał ojciec - odparł Winchester, potrząsając głową. - Służył w ANZAC... korpusie wojsk Australii i Nowej Zelandii. Był więźniem wojennym w obozie Sandakan na wybrzeżu Borneo.

Profesor zerknął na Billy'ego spod brzegu koziej czapki.

- Druga wojna światowa to nie był tylko Hitler, naziści i Pearl Harbor. Ludzi tutaj znacznie bardziej interesowały Tojo i Yamamoto niż Luftwaffe i Rommel.

- Ani jedno, ani drugie nie jest teraz ważne - powiedziała Finn. - Natomiast ważne jest, byśmy odnaleźli naszych przyjaciół. - Zapatrzyła się na to, co pozostało z olbrzymiej łodzi podwodnej złapanej w pułapkę trzęsawiska. - Ilu ludzi powinniśmy się obawiać?

- Trudno powiedzieć - odparł Winchester. - Wydaje mi się, że łódź obsługiwali *rikusentai*, tak ich nazywał mój ojciec, japoński odpowiednik żołnierzy piechoty morskiej. Mieli zielone mundury, nie khaki, jak prości żołnierze japońscy. Na początku musiało być ich dwustu, może trzystu. Nie mam pojęcia, ilu przeżyło. Nigdy nie widziałem ich więcej na raz niż trzech czy czterech, wydaje mi się, że nie mają stałych domostw jak Chińczycy. Polują w małych grupach.

- Jak udało im się przeżyć? - spytał Billy. Winchester wzruszył ramionami.

- Zabijali. Na początku mieli więcej broni niż dawniejsi mieszkańcy, ale byli mniej liczni. Musieli napadać chińskie wioski, by zdobywać kobiety i jedzenie. Teraz jedni trzymają się od nich z dala. - Znowu uniósł ramiona. - Między Japończykami a Chińczykami nigdy nie było zbytnej miłości; jedni myślą o drugich, że tamci są gorsi. - Winchester uśmiechnął się. - Tak jak Amerykanie i muzułmanie.

- Albo jak Brytyjczycy i Australijczycy - wypaliła Finn w samoobronie.

- Jak są uzbrojeni? - spytał Billy, wracając do tematu.

- Znalazłem przeróżne zardzewiałe pistolety typu Nambu i karabiny Arisaka, ale dawno już musiało im zabraknąć amunicji - powiedział Winchester. - Widziałem tylko, że noszą ceremonialne miecze *katana*, widocznie mieli je oficerowie, a poza tym stare bagnety. Włócznie, łuki, może dmuchawki. Używają też dziwnych urządzeń przypominających kusze, widziałem je z raz czy dwa.

- Polują? - spytała Finn.

- Owszem, i od czasu do czasu zabijają. Nie dla sportu, albo dla sprawdzenia męskości, jak w dawnych klanach myśliwskich na Borneo czy w innych częściach Malezji, czy na Filipinach. Każda z tych dwóch grup wydaje się kontynuować tradycje swojej nacji. Lokalni Chińczycy są zorganizowani w jednostki rodzinne, Japończycy wydają się preferować samowystarczalność, rodzaj socjalizmu w pojedynkę. Przyglądałem się, jak małe

dzieci polują ze swymi kolegami. Jeśli jednemu uda się coś złapać, dzielą się po równo. Nie wydaje się, by mieli jakieś specjalizacje. Każdy poluje, każdy gotuje, każdy buduje chatę, każdy zbiera drewno. Kobiety i mężczyźni tak samo. Bardzo efektywne.

- Najwyraźniej dobrze się im przyjrzałeś - powiedziała Finn.

- Jestem naukowcem, to moja natura. A wroga należy dobrze poznać. W moim interesie jest śledzić ich ruchy i trzymać się od nich jak najdalej - dodał znacząco.

- Czy wiedzą, że jesteś tutaj? - spytał Billy.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Winchester. - Nigdy nie przyłapałem ich na tym, by mnie śledzili. Mówiłem już wam, że staram się nie zwracać na siebie uwagi.

Wietrzyk wiejący nad wydmą ugiął gęstą bladą trawę, przynosząc zapach soli. Finn odwróciła się i spojrzała na rozległą taflę jeziora, zamkniętą w porośniętych dżunglą ścianach dawnego wulkanu. Metalowe i drewniane wyspy starych statków wyglądały niczym szkielety dinozaurów na tle ciemnej nieruchomej wody. Kilkaset metrów od nich przewrócony kadłub hydroplanu Pietera Boegarta spoczywał niczym ogromna dziecięca zabawka, odrzucona i zapomniana.

W dali Finn widziała zamglony lejkowaty wylot ku schowanej lagunie. Ponad nią niewielka wełnista chmura w kształcie purchawki wędrowała powoli po jasnoblękitnym niebie. Próbowała wyobrazić sobie, jak wyspa wygląda z satelity. Winchester miał rację. Plamka na oceanie. W najlepszym razie jak to, czym była, porośnięty dżunglą wygasły wulkan z wewnętrzną laguną, otoczony niebezpiecznymi rafami.

Była pewna, że wiedzeni ciekawością ludzie pojawiali się tutaj od czasu do czasu, wiedziała też, co musiało im się wtedy przydarzyć. Żeglarze, rozpaczliwie potrzebujący wody i pożywienia, którzy wierzyli, że pokonają w niewielkiej łodzi rafowisko, płacili cenę w chwili, gdy dobijali do brzegu. Dzieciaki poszukujące plaż, takich jak na filmie z Leonardo DiCaprio lub doskonałych miejsc do nurkowania. Bezdietne pary żeglujące wokół ziemi. Tubylcy z pewnością wystawiali czujki, rezygnując z nich tylko na czas sztormów, które przyniosły tu Winchestera i *Queen*, szybko dowiadawali się o niechcianych odwiedzinach. To miejsce było niczym pajęczyna, w którą dała się złapać.

- Zastanawiam się, jak Willemowi van Boegartowi to się udało - powiedziała Finn. Wylądował na wyspie dokładnie w ten sam sposób, co ona, Billy i Winchester, ekspert w koźlej skórce od skrzydłonogów. - Został tu wyrzucony na brzeg, a jednak znalazł sposób, by się stąd wydostać. I w dodatku zabrał stąd fortunę.

- Chyba nie rozumiem, do czego zmierzasz - powiedział Billy.

- Jak tego dokonał? - zadała retoryczne pytanie Finn. - Profesor mówi, że to niemożliwe, ale Willemowi udało się czterysta lat temu i to obładowanemu skarbami. Musi być droga, o której nie wiesz, profesorze. Taka, o której nie wiedzą tubylcy ani ci, którzy się uratowali z łodzi podwodnej. To jedyne wyjaśnienie.

- Nie ma takiej drogi - odparł ze współczuciem Winchester. - Uwierz mi, moja droga. Inaczej już bym ją znalazł.

- Może nie szukałeś dość energicznie - powiedziała Finn.

- Może powinniśmy na chwilę zostawić ten temat - wyszeptał Billy. - Mamy towarzystwo. - Pokazał ruchem szczęki.

Pięć postaci maszerowało gęsiego wzdłuż plaży. Pierwszy, na przedzie, ubrany był w poszarpane szorty i równie postrzępioną koszulę, wyblakłe, lecz wciąż można było stwierdzić, że kiedyś miały kolor zielony. Na głowie miał kepi z klapą osłaniającą kark przed słońcem. Z przodu widniała gwiazda w koronie, niegdyś czerwona, teraz bladoróżowa.

W jednej ręce niośł swobodnie miecz, w drugiej bambusową dzidę, której czubek lśnił w słońcu niczym miedź. Czarne włosy obcięte były krótko przy skórze. Miał ciężkie buty i owijacze jak Winchester, choć raczej wyglądały na bawełniane. Na pierwszy rzut oka wyglądał na dowódcę grupy, szedł przed resztą, uważnie rozglądając się wokół.

Za nim dwie kobiety niosły w siatce na kiju coś wyraźnie ciężkiego. Siatka wyglądała na gęsto tkaną z jakiegoś grubego sznura. Najprawdopodobniej rattan, pomyślała Finn. Widziała tę roślinę w dużej obfitości, gdy wędrowała przez dżunglę. Obie kobiety ubrane były w proste sarongi i poszarpane koszule w tym samym odcieniu zieleni, co strój mężczyzny na przedzie. Miały na głowach kapelusze z szerokich liści, były boso i nie miały broni.

Mężczyzna idący na końcu był dużo młodszy, nieledwie dziecko, z przepaską na biodrach, w rękę dzierżył bambusową dzidę. W nosidle przerzuconym przez ramię niośł dzienny połów, kilka dużych ryb ze skrzelami przebitymi bambusem.

- Jeśli skręcą tutaj, jesteśmy ugotowani - wyszeptała Finn, nie spuszczać wzroku z nadchodzącej grupy. Serce waliło jej mocno.

- Tak, wtedy będziemy ugotowani - zgodził się Billy. - Chyba że zmierzają na trzęsawisko.

- Za mną - powiedział Winchester. Ześlizgnął się z wydmy i ruszył biegiem w stronę korzeniary, trzymając się miejsc porośniętych gęstą trawą, robiąc wszystko, by uniknąć piasku, na którym zostawiłby ślady. Zatrzymał się na skraju mokradła, ponagłając ich gestem.

Zbiegli za nim po wydmiu, a dalej ruszyli przez trawę, nie zatrzymując się, aż dopadli Winchestera, przycupniętego i odwróconego plecami do ciemnej cuchnącej wody.

- Padnij - wysyczał Winchester. - Wysmarujcie się mułem. - Spojrzał na płomienne włosy Finn. - Szczególnie twoje włosy!

Zrobili, co im kazał, tak jak on przycupnięci w płytkiej, cuchnącej wodzie. Finn sięgnęła dłońmi po błoto, które rozsmarowała po twarzy i włosach. Siedząc w wodzie, starała się nie myśleć, co może pływać w otaczającym ją mule, uniosła się tylko na tyle, by widzieć, co się dzieje na wydmiu. Chwilę później pokazał się oddział, szli gęsiego po piaszczystym pagórku. Wyglądało tak, jakby kierowali się w stronę jakiejś ścieżki prowadzącej do dżungli, gdy nagle dowódca zatrzymał się. Rozejrzał się uważnie po koronach drzew, a potem spojrzał w stronę mokradła.

- Coś zobaczył - wyszeptał Billy.

- Ani drgnijcie - ostrzegł profesor.

Finn nie spuszczała z niego wzroku. Mężczyzna rzucił jakieś rozkazy i reszta grupy zniknęła na ścieżce prowadzącej w głąb lasu. Dowódca stał w tym samym miejscu co wcześniej, rozglądając się z uwagą, skupiony na drzewach ponad nim. Przyłożył dłoń do ucha, najwyraźniej nasłuchując. Panowała cisza, tylko wiatr szumiał cicho w koronach drzew i serce Finn waliło z całą mocą. Wreszcie obrócił się wolno o trzysta sześćdziesiąt stopni z wyciągniętym przed siebie, niczym wskazówka zegara, mieczem. Po chwili jednak ruszył za pozostałymi, kierując się w głąb dżungli.

- Poczekajcie - wyszeptał Winchester. Panowała kompletna cisza.

- Czemu? - spytał Billy.

- Poczekajcie - powtórzył Winchester. - To może być trik.

- Musimy natychmiast wracać do groty - przynaglił go Billy. - W ogóle nie powinniśmy byli ruszać się nieuzbrojeni. Zawsze trzeba mieć jakiś plan.

Jedyną rzeczą, którą dałoby się od biedy uznać za broń, był długi kawałek bambusa, którego Winchester używał jak buławy.

- Myślę, że poszedł sobie - powiedział wreszcie profesor. Podniósł się z mułu, który ściekał teraz po nim. Billy pomógł podnieść się Finn, spoglądali na siebie rozbawieni.

- Bardzo atrakcyjnie wyglądasz - parsknął śmiechem Billy. Finn starała się ztrzeć dłońmi z głowy i twarzy mażącą się masę, której zapach drażnił jej nos.

- Obawiam się, że twój przyjaciel ma rację - powiedział Winchester. - Nasza mała wyprawa badawcza była źle zaplanowana. Musimy jak najszybciej wrócić do groty. Jeśli ten człowiek coś zauważył, wpadniemy w poważne kłopoty. Mogą wysłać za nami patrol.

Finn szybko sprawdziła, czy nie ma na sobie pijawek, ale koźle skórki od Winchestera okazały się skuteczne. Ruszyli trawiastym stokiem ku diunie.

- Idąc plażą, zostawimy ślady - powiedziała Finn.

- Nie, jeśli pójdziemy blisko morza. Przyplływ - wyjaśnił profesor - zmyje nasze ślady.

- Ruszajmy więc - ponaglił ich Billy. Wsunął się z wysokiej trawy. W tym samym momencie usłyszeli nagły niepokojący krzyk, tylko o kilka kroków dalej.

- *Otaku! Teiryuu! Sate!* - Częściowo ubrany dowódca grupy rybackiej wyszedł z cienia z mieczem gotowym do walki. Pozostali odcięli lewą stronę, tak że ucieczka przez wydmy była niemożliwa. Finn, Billy i Winchester znaleźli się w pułapce. Mogli albo iść w stronę miecza lub cofać się na mokradła.

- Co teraz robimy? - spytała Finn.

Mężczyzna z mieczem zrobił krok naprzód, machając hipnotycznie bronią w przód i w tył. Chłopiec przesunął się bardziej w prawo, okrążając ich, dzida mierzyła w ich kierunku.

Winchester przesunął się w prawo, wykonując pozorowany ruch w kierunku wydmy.

- *Yamate kudusai!* - wykrzyknął Japończyk w kapeluszu.

- *Wakamarewasu?* - W zasadzie nie było to pytanie. Finn nie zrozumiała ani słowa, ale intencja była całkiem jasna.

- *Datne!* - odkrzyknął chłopiec z dzidą. Obaj, i on, i dowódca, zbliżali się. Finn cofnęła się w kierunku mokradła.

- Jesteśmy w poważnych kłopotach - powiedział Billy.

- Jego nie interesują żadne negocjacje.

Nagle mężczyzna z mieczem rzucił się ze wzniesionym ostrzem na Winchestera, pomiędzy jego zaciśniętych zębów wyrwał się krzyk wściekłości. Profesor podniósł kij, by zablokować wściekły atak, ale w sekundę później zrozumiał, że wymierzone uderzenie w głowę było trikiem. Zamiast spuścić ostrze w dół, mężczyzna niczym tancerz wykonał obrót na pięcie, przenosząc ostrze tak, by przeciąć profesora na pół z boku.

Winchester próbował blokować uderzenie, ale nie miał szans. W tym samym momencie chłopiec uniósł swą dzidę, zamachnął się i posłał lśniący miedzią grot w stronę Finn.

W tejże chwili rozległy się trzy przenikliwe trzaśnięcia, jedno po drugim. Mężczyzna z mieczem zatrzymał się w pół obrotu, kapelusz spadł mu z głowy, za nim popłynęła fontanna krwi i tkanki, podczas gdy cała górna połowa jego czaszki stała się krwistą miazgą.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na porwanej koszuli chłopca pojawiły się dwie czerwone plamy, a on sam osunął się na ziemię. Mężczyzna z mieczem, martwy, opadł

jak szmaciana lalka, nie wypuszczając z rąk miecza w geście ataku. Strzały odbiły się echem po całym Amfiteatrze Wraków.

- Co się dzieje? - zapytał zaskoczony Billy, wpatrując się w ciała. Obrócił się, by spojrzeć na równie zaskoczonego Winchestera. - Czy nie mówiłeś czasem, że ci ludzie już od dawna nie mają amunicji?

- Nie mają - potwierdził Winchester.

- Ale ja mam - odezwał się ktoś po angielsku, ale z silnym obcym akcentem. I ich oczom ukazał się przysadzisty mężczyzna w wojskowym mundurze, z maczetą za pasem i z wielkim pistoletem automatycznym w prawej ręce.

- Nazywam się Fu Sheng - powiedział mężczyzna. - Chodźcie szybko, jeśli chcecie uwolnić swoich przyjaciół.

23

Fu Sheng opowiedział im swoją historię. Bardzo przypominała ich własną. Także był rozbitkiem. Tajfun złapał go, kiedy pilotował *Pedang Emas* w stronę miejsca, które zdradził im wreszcie gruby pirat Lo Chang. Łódź wyrwała się sztormowi tylko po to, by trafić w sztormową falę, która rzuciła ich na rafy i roztrzaskała. Zgodnie z jego słowami, tylko on i jego pan, Chińczyk imieniem Khan, przeżyli sztorm oraz jego następstwa.

Po dośściu do siebie mężczyźni rozdzielili się w poszukiwaniu źródła świeżej wody. Fu Sheng, wracając na umówione miejsce, ujrzał, jak jego przyjaciela i dowódcę zabierają jacyś dzicy.

Podążał za nimi w pewnej odległości, przyglądając się bezradnie, jak jego towarzysz znika pomiędzy zabudowaniami położonymi nad rzeką spływającą z gór, a wpływającą do morza przy mokradłach porośniętych korzeniarą. W tym właśnie miejscu Finn ocknęła się na plaży. Zgodnie ze słowami Fu Shenga, w wiosce mieszkało około dwustu tubylców.

- Czy on mówi o Japończykach, czy o tak zwanych tubylcach? - spytał cicho Winchestera Billy.

- O tubylcach - odparł profesor.

- Jak mamy pokonać dwustu ludzi? - spytała Finn.

- Nie wspominając o Japończykach - dodał Billy. - Strzały musiał usłyszeć każdy, kto mieszka na tej wyspie.

- Te strzały także uratowały nam życie - powiedziała Finn. - Nie bardzo podoba mi się jego aparycja, ale ma karabin i najwyraźniej wie, jak go używać.

- Musimy ułożyć jakiś plan - powiedział Billy. - Wydaje mi się, że nasz przyjaciel Fu Sheng idąc tutaj,

już go sobie przygotował - mruknął Winchester, podążając za mocno zbudowanym mężczyzną w wojskowym stroju maskującym, który przedzierał się szybko przez gęsty las. Wdrapywali się w górę, idąc stale na zachód, przedzierając się przez dżunglę i obchodząc mokradło. Jezioro zostało z tyłu.

Szli tak ponad godzinę, zatrzymując się co kilka minut, by nasłuchiwać, ale towarzyszył im jedynie nieustanny szczebiot ptaków i pokrzykiwanie małp. Poza tym nic. Jeśli Japończycy wysłali patrol na poszukiwanie zaginionej grupy rybackiej, zrobili to po cichu.

Wreszcie dotarli do szerokiego bulgoczącego strumienia, który spadał z wysokiej krawędzi amfiteatru i płynął po potężnych kamieniach. Brzegi były strome, wyglądały na śliskie od nieustannego pylenia wody.

-Tutaj - oświadczył Fu Sheng, pokazując dłonią. Finn przyjrzała się uważnie. Do wystających korzeni drzewa przywiązana była ciężka lina zwisająca nad strumieniem. Została wykonana z kilku mocno splecionych pasków rat-tanu, na których w odstępach co trzydzieści centymetrów zrobiono węzły. Poprzez pył wodny Finn widziała także drugą linę przygotowaną tak, że była rozpięta nad samym strumieniem. Był to prymitywny most z jednym sznurem rattanowym, by się go trzymać, i drugim, na którym można było oprzeć stopę, dolna lina była dwa razy grubsza od górnej. Gdzieniedzie między dwiema linami tkwił bambus, którego zadaniem było utrzymać liny w napięciu i rozdzielone.

- Genialne. - Na Winchesterze zrobiło to bardzo duże wrażenie.

- Drabinki - uśmiechnął się Billy. - Zastosowali węzły żeglarskie.

- Drabinki? - nie zrozumiała Finn.

- Na statkach pirackich w ten sposób wiąże się z lin drabinki - wyjaśnił Billy. - Żeglarze wdrapują się po nich na niższe żagle.

- Na dżonkach przewożących skarby mieli też takie - przyznał Winchester. - Pozostałość przeszłości.

- Idźcie - rozkazał Fu Sheng. - Pojedynczo.

Finn ruszyła pierwsza, zrzuciła w dół ponad most linę z węzłami i najpierw niepewnie, ślizgając się, potem mocno wieszając się na górnej linie, przesuwiała nogi. Przyglądając się jej, Fu Sheng trzymał karabin automatyczny w pogotowiu, a jego czujne ciemne oczy przeszukiwały otaczające ściany hałaśliwej dżungli. Następny przeszedł Billy, potem

Winchester. Ten ostatni był w połowie drogi, kiedy nagły podmuch wiatru potrząsnął drzewami i odrażająca czapka z kozy sfrunęła i spadła do wody.

- A niech to! - wykrzyknął profesor. - Moje najlepsze nakrycie głowy.

- Niewielka strata - roześmiał się Billy, stojący na brzegu koło Finn. Podmuchowi wiatru towarzyszyło równie nagłe pojawienie się ciemnej chmury: nagle zaczęło padać. W jednej chwili deszcz przeszedł w ulewę, druga strona strumienia zniknęła kompletnie za ścianą deszczu. Winchester tkwił w połowie przejścia a Finn i Billy w sekundę przemokli do nitki. Umknęli pod bezpieczne schronienie, jakie dawał ogromny baldachim gigantycznego sękatego drzewa, spod którego przyglądali się, jak Winchester zmaga się z dziko szarpanym wiatrem mostem. Wreszcie udało mu się. Ślizgając się po mokrym podłożu, dotarł do stojących pod drzewem Finn i Billy'ego.

- A niech to szlag! - ciężko oddychał profesor. - To naprawdę coś!

Odwrócił się, patrząc, jak Fu Sheng zatknął pistolet za pas, zjechał po linie w dół i stanął na moście. Deszcz wciąż padał, wielkie krople spadające na liście robiły taki hałas, że nie dało się rozmawiać, chyba że krzycząc. Przynajmniej zakończył kakofonię ptasich i małpich okrzyków.

Pirat pokonał już ponad połowę mostu, we mgle, która wstawiała nad strumieniem, był ledwo widoczny. Nagle rozległ się dźwięk przypominający buczenie owada i prawie w tej samej chwili Fu Sheng stracił równowagę i krzyknął. Długa na stopę bambusowa strzała pojawiła się jak za sprawą magii. Sterczała z jego ramienia, z drzewcem ozdobionym kolorowymi piórami, w strugach deszczu wyglądała jak plama koloru. Na koszuli pirata wykwitła plama krwi.

Finn obróciła się, by zobaczyć, kto posłał strzałę. Ale nie dostrzegła nikogo. Napastnik był niewidzialny. Wyskoczyła w stronę mostu, ale Billy złapał ją za ramię i zatrzymał.

- Straciłaś rozum? - wrzasnął. - Chcesz zginąć! Rozległ się kolejny brzęk i strzała wylądowała wśród

liści nie dalej niż o trzydzieści metrów od miejsca, w którym stał Billy. Pociągnął Finn na ziemię. Winchester dołączył w jednej chwili do nich. Spoglądali na Fu Shenga, kołyszącego się na drabince. Kolejna strzała minęła go o włos.

Sięgnął ręką, złapał drzewce strzały tkwiące w ramieniu, zamarł na moment i wyszarpnął je. Musiało być to bardzo bolesne. Zaciskając zęby, stawiał nogi na kolejnych stopniach i wreszcie dotarł na brzeg. Tym razem Finn zerwała się i podbiegła do niego.

Objęła go ramieniem w pasie, a w tym samym momencie kolejna strzała przeleciała niebezpiecznie blisko, ale trafiła w krzaki tuż obok.

- Pomóżcie mi!

Billy i Winchester rzucili się do przodu, wciągając Finn i pirata we względnie bezpieczny obszar poszycia tuż przy wielkim drzewie. Finn oparła Fu Shenga o pień i przyjrzała się strzale tkwiącej w ramieniu. Przypominając sobie wszystko, czego nauczyła się podczas lekcji anatomii, jakie miała na pierwszym roku akademii, uznała, że strzała nie trafiła w klatkę piersiową, tylko w mięsień naramienny, przecięła go i wyszła z drugiej strony.

Nie było to tak poważne, jak wyglądało. Bolesne, ale przynajmniej nie zostały uszkodzone płuca ani żadna ważna arteria. Kolejne dwie strzały, jedna po drugiej, przeleciały przez liście tuż obok Finn, po jej prawej ręce. Jedna trafiła w pień, odbiła się i spadła na ziemię.

Obróciła Fu Shenga, by obejrzeć ranę z drugiej strony. Sądząc po ilości krwi, strzała była tylko kawałkiem bambusa zahartowanego nad ogniem. Ani śladu metalu. Sięgnęła, by wyciągnąć główkę strzały, ale Winchester powstrzymał ją.

- Nie.

- Dlaczego?

- Na ich strzałach jest trucizna. Widziałem, jak zabili w ten sposób dzika. - Jesteś pewien?

- Chcesz zaryzykować?

- Nie mogę jej tu zostawić!

Fu Sheng gasł, powieki mu zatrzepotały, usta zbladły.

Finn zerwała garść trawy i liści z poszycia, owinęła je wokół naostrzonego końca strzały, po czym wyciągnęła ją jednym szarpnięciem. Fu Sheng jęknął z bólu. Jego powieki zatrzepotały znowu, otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć.

- Dziękuję pani - wyszeptał. Jego gruba dłoń sięgnęła do pasa. Wyciągnął zza niego karabin i wcisnął jej do ręki. Musiał ważyć z dwieście kilo.

- Czy masz pojęcie, jak tego używać? - spytał Winchester. Była to egipska podróbka beretty 91 z 1950 roku. Finn przypomniała sobie, jak jej przyjaciel Michael Valentine pokazywał jej jak strzelać z jego wielkiego starego colta.45. Przesunęła bezpiecznik i ustawiła przełącznik ognia na stan półspoczynku.

- Tak, wiem, jak go używać - powiedziała.

- W kieszeni na piersi - poinstruował ją Fu Sheng. - Są jeszcze trzy magazynki. W każdym po dziesięć naboii.

Na rybaków zużył trzy naboje. To oznaczało, że w magazynku było jeszcze siedem, i trzydzieści w zapasie. Trzydzieści siedem naboji przeciw dwustu tubylcom. Wróciło do niej wspomnienie dziecka zamordowanego rok wcześniej w slumsach Kairu i dzisiejsze padające ciało chłopca na plaży. Wiedzieć, jak się obsługuje broń, to nie to samo, co zabijać za jej pomocą. Finn zamknęła bezpiecznik i wepchnęła rewolwer do tylnej kieszeni dżinsów. Deszcz przechodził. Więcej strzał już się nie pojawiło.

- Pechowy patrol? - spytał cicho Billy, nie spuszczać wzroku z dżungli. Deszcz przechodził równie szybko, jak się rozpoczął. Obok Finn Fu Sheng pojękiwał z bólu, ściskając ranę wolną ręką. Nagle znieruchomiał. Finn przyłożyła palec do tętnicy szyjnej na jego potężnym karku. Nie wyczuła pulsu. Pirat nie żył. Spojrzała na zegarek. Truciznie, której użyto, wystarczyły niecałe trzy minuty, by go zabić, choć sama rana nie była śmiertelna.

- To nie był żaden patrol. Po prostu czekali przy moście. Musieli usłyszeć strzały. Wiedzieli, że nadchodzimy z tej strony - powiedział profesor.

Finn spoglądała przez chwilę na ciało Fu Shenga, potem odwróciła się do Winchestera.

- Czy wiesz, o której wiosce mówił?

- Tak, to największa z nich. Widziałem ją z pewnej odległości. Ma bambusową palisadę z trzech stron, a z czwartej jest rzeka. Prowadzą do niej dwie bramy.

- Jak wysoka jest ta palisada?

- Nie bardzo. Może mieć półtora metra, ale nie da się przez nią przejść. Wierzchołki są zaostrome jak strzały, mogą być też zatrute. - Mówiąc to, wskazał na wyrwane z ramienia pirata drzewce.

Finn ostrożnie podniosła złamaną strzałę i powąchała końcówkę. Nic nie poczuła. Ujrzała delikatne smugi jakiejś białej klejącej się substancji w pęknięciu bambusa. - Skąd biorą truciznę?

Winchester sięgnął dłonią i mocno poklepał sękaty pień drzewa.

- Stąd. Jeśli natniesz pień, otrzymasz mleczko roślinne zwane *upas*. Wydaje mi się, że chodzi o *Antiaris toxicaria*. Glikozyd nasercowy. Jeśli dobrze pamiętam z moich biologicznych studiów, występuje pod nazwą *antiarin*. Tutaj jest dość pospolity. - Skrzywił się. - Działa tak, jakby dostało się dużą dozę naparstnicy. Serce eksploduje w piersi.

- Rzadki - powiedziała Finn. - I pewnie uzyskanie go to ciężka praca. W dodatku deszcz by go zmył. Wątpię, by go używali na palisadę.

- Możesz sobie wątpić - powiedział Winchester. - Ale zapewniam cię, że nie zamierzam przyłączyć się do przechodzenia przez nią.

- A od strony wody? - spytał Billy. Spojrzał na strumień, który właśnie pokonali.

- Żyją w niej bardzo nieprzyjemne stworzenia. Trzeba by przepłynąć przynajmniej trzysta metrów - coś, czego ja po prostu nie jestem w stanie zrobić - wtedy znaleźlibyście się w środku wioski. Z tego, co widziałem, całe ich życie skoncentrowane jest wokół rzeki.

- Nie jesteś w stanie przepłynąć trzystu metrów? - spytała Finn.

- W ogóle nie jestem w stanie przepłynąć ani kawałka - odparł Winchester. - Nigdy się nie nauczyłem.

Billy przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- I jesteś biologiem specjalizującym się w tematyce morskiej?

- To nie był wymóg przy obronie doktoratu - odparł sztywno profesor.

- Jak udało ci się przeżyć, kiedy statek zatonął? - spytał Billy.

- Zawsze miałem kamizelkę ratunkową na podporządku. Załoga nabijała się ze mnie. Z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że przeżyłem jako jedyny.

- No cóż, nie możemy stać tutaj wyklócając się - powiedziała Finn. - Musimy podjąć jakąś decyzję.

- Powinniśmy wrócić do grotty - powiedział Winchester. - Prawdopodobieństwo wskazuje, że nie mamy szans, a dzięki naszemu martwemu przyjacielowi straciliśmy element zaskoczenia.

- W tym cały problem - sprzeciwiła się Finn. - Teraz już wiemy, że tu jesteśmy, zarówno Japończycy, jak i tubylcy. Będą nas szukać i wreszcie znajdą, jedni albo drudzy.

- Nawet nie wiemy, czy ten wasz Holender jeszcze żyje

- odpowiedział starszy pan. - Już dawno może być martwy, podobnie jak ten Khan.

- Mogą być jeszcze inni rozbitkowie z naszego statku

- powiedział Billy. - Musimy spróbować.

- A potem wymyślimy, jak wydostać się z tej wyspy - powiedziała Finn.

- Już ci mówiłem, że to niemożliwe - powiedział poirytowany Winchester. - Tego się nie da zrobić.

- Owszem, da - oświadczyła podnosząc się Finn. Deszcz przestał padać, słońce znowu mocno świeciło. Z ziemi unosiła się ciepła mgła.

- Jest droga. Musi być.

24

Było południe, kiedy dotarli do grani na szczycie skały otaczającej Amfiteatr Wraków, a po kolejnej godzinie zobaczyli rzekę. Następnie zeszli przez dżunglę, kierując się wzdłuż

rzeki. Między drzewami od czasu do czasu niebiesciło się morze. W innych okolicznościach mogłaby to być wspaniała wycieczka, marzenie tych, którzy kochają naturę, pełną egzotycznych roślin, ptaków i wszelkich objawów nieujarzmionej natury. Ale każdy krok przybliżał do konfrontacji z tym, czego żadne z nich sobie nie życzyło.

- To jakieś głupie żarty - pomrukiwał gniewnie Winchester, kiedy schodzili po spadzistym stoku, tuż przy rzece.

- Wasz holenderski wujek, czy kimkolwiek on jest, może już dawno nie żyć, poza tym nie mamy żadnych gwarancji, że tubylcy złapali właśnie jego.

- A co z przyjacielem człowieka, który nas uratował?

- spytała Finn. - Czy jego też mamy zostawić na pastwę losu?

- Przeżywają najlepiej przystosowani, jeśli chcecie wiedzieć - powiedział Winchester.

- Dla mnie on nie ma znaczenia.

- Uratował ci życie - powiedział cicho Billy.

- Więc teraz ja mam poświęcić swoje? - drwił Winchester. - To nie jest jakiś remake *Beau Geste'a*, to prawdziwy świat. Udało mi się przeżyć tu trzy lata, trzymając się od nich z daleka i nie ulegając złudnym nadziejom. - Potrząsnął głową i uderzył bambusowym kijem o ziemię. - Dawno powinniśmy być w mojej jaskini i zastanawiać się, czym napełnić nasze żołądki, a nie dyskutować o zatrutych strzałach.

- Posłuchaj - powiedziała doprowadzona do rozpaczki Finn. - Przynajmniej musimy się dowiedzieć, kto jest naszym przeciwnikiem. A chcę to zrobić, póki jeszcze widzę własne dłonie. Nie sądzę, by ktokolwiek z nas chciał zostać na dworze, kiedy już będzie ciemno. - Szła dalej ścieżką, nadal śliską i błotnistą po deszczu. Zgodnie z jej orientacyjnymi obliczeniami, pokonali już pół drogi do jaskini.

Idąc na przełaj, wyszliby na krawędź ponad doliną po jakiejś godzinie, dwóch intensywnego marszu. To dawało im godzinę przy świetle dziennym, by obejrzeć wioskę tubylców i ułożyć sobie jakiś plan. Usiłowała nie spoglądać na Winchestera ani Billy'ego. Jak na razie trzymała się dzielnie, ale tak naprawdę nie bardzo wierzyła we własne słowa. Była wykończona i bała się.

Przez chwilę pozwoliła myślom wędrować i nagle zaatakowało ją wspomnienie cebulowych placków na Crouch End. Gdyby Lord Billy i Pieter van Boegart nie wkroczyli w jej życie, siedziałyby teraz w swoim mieszkanku, zajadałyby je, oglądając któryś z odcinków *Archiwum X* na swoim nielegalnym telewizorze. To plus kieliszek taniego czerwonego wina ze sklepu Emira po drugiej stronie ulicy i czułaby się doskonale. A zamiast tego uganiała się po parującej dżungli na zapomnianej wyspie gdzieś pośrodku oceanu, zastanawiając się, czy

lekkie swędzenie, jakie czuje na łydce prawej nogi, nie oznacza wielkiej, łąpczywej pijawki lub może obżerającego się komara. W duszy obiecała sobie, że jeśli uda jej się wyjść z życiem, skończy na zawsze z przygodami. Jak na razie najlepszym, co jej się przytrafiło, było to, że nie nastąpiła na jadowitego węża.

- Do czasu - mruknęła do siebie.

- Słucham? - zapytał grzecznie Billy, idący tuż za nią.

- Nic takiego - odpowiedziała. Sięgnęła dłonią i trzepnęła się po łydce, a potem szła dalej, wciąż czując aromat cebulowych placuszków.

Kiedy dotarli na skraj wioski, zaczynał zapadać zmrok. Pierwszą oznaką, że są już blisko, był węcierz ustawiony w bystrej wodzie. Zrobiono go z kawałków bambusa ustawionych tak, by złapała się ryba nadająca się do zjedzenia, a przepłynęły mniejsze. Sprytna, naturalna metoda kontroli środowiska. Pozostałości na pobliskich skałach wyraźnie świadczyły, że ryby były tu też patroszone. Kawałek dalej natknęli się na mały domek na bambusowych palach, z nasączonymi tłuszczem stojakami silnie pachnącymi dymem drzewnym.

W tym momencie oddalili się od rzeki, wchodząc bardziej w głąb lądu, i posuwali się powoli przez przeredzoną dżunglę, rozglądając się i nasłuchując. Dostrzegali coraz więcej oznak ludzkiej aktywności: małe poletka, najwyraźniej uprawne, ścięte drzewa, kolejną wędzarnię i wydeptane ścieżki. Znaleźli nawet skórkę owocu, którą ktoś wyrzucił pod nogi. Widzieli też i czuli dym. Dym pachnący jedzeniem. Wreszcie doszli na skraj dżungli i zobaczyli szeroki, oczyszczony pas ziemi, za nim gęstą palisadę z bambusa. Grube kołki, zaostrzone na końcu i połączone solidnymi ratanowymi sznurami. Za palisadą widoczne były spadziste dachy, kryte grubymi warstwami snopków tworzących strzechę. Przycupnęli na skraju dżungli i przyglądali się otoczeniu. Nigdzie nie było widać ani śladu paniki czy większej aktywności. Dochodziły ich słabe odgłosy, przytłumiony dźwięk drewnianego młotka, śmiech, okrzyki dziecięcej radości, wykrzykiwanie matki do dziecka. Posługiwano się tu bez wątplenia jakąś odmianą chińskiego, ostry, prawie gardłowy dialekt kompletnie nie przypominał śpiewnego malajskiego czy filipińskiego.

- I co teraz? - spytał Billy, patrząc przed siebie.

Po prawej stronie ogrodzenia, tuż za palisadą rozciągała się dżungla. Po lewej ziemia schodziła ku rzece. Tuż przy palisadzie był rodzaj rampy i kilka długich czółen, każde wyraźnie wydrążone z pojedynczego pnia. Jedna łódź zrobiona została z dwóch ogromnych pni drzewa połączonych razem za pomocą pajęczyny bambusowych kijów, tak że powstał katamaran. Łódź była zaopatrzona w ciemnobrązowy żagiel złożony jak wachlarz, wykonany

z jakiegoś roślinnego włókna i wzmocniony kawałkami bambusa. Poniżej masztu, pomiędzy dwoma pniami, widniała duża platforma również z bambusowych palików. Siłą napędową był żagiel, ale także dwa tuziny wiosł. Całość wyglądała, jakby mogła pomieścić trzydziestu do czterdziestu pasażerów. Wojowników.

- Czy to jest ta łódź wojenna, o której mówiłeś? - wyszeptała Finn.

- Tak - przytaknął Winchester. - Tyle tylko, że wtedy na rufie znajdowało się coś na kształt tronu. Teraz go nie ma.

- Można by pomyśleć, że taka łódź mogłaby się przedrzeć przez rafy - powiedział Billy.

- To samo przyszło mi do głowy - rzekła Finn. - Ale może oni nie chcieli stąd odchodzić. Może im się tu spodobało i postanowili pozostać. Tego się nie dowiemy.

- Najwyraźniej nie przejęli się nami - skomentował profesor. - Nie widzę żadnych straży, nie natknęliśmy się też na nikogo poza tym łucznikiem przy moście.

- Czym mają się martwić? - spytał Billy. - Jesteśmy rodzajem publiczności mimo woli, nie sądzicie? I oni to wiedzą.

Winchester obejrzał się niespokojnie. Zmarszczył czoło, spoglądając na ciemniejące niebo.

- Już jest ciemno - powiedział. - Powinniśmy ruszać. Widzieliśmy, co mieliśmy zobaczyć.

- Chcę wejść do środka - powiedziała Finn.

- Nie bądź wariatką! - parsknął Winchester. - Nie mówisz poważnie!

- Przebyliśmy długą drogę w poszukiwaniu Pietera Boegarta. Nie odejdę teraz ot tak sobie.

- Równie dobrze on może już nie żyć.

- Dowiemy się tego. Mogą też być tam inni.

- To tylko spekulacje!

- Więc może powinniśmy się dowiedzieć.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytał Billy, przyglądając się uważnie palisadzie.

- Mówiłeś, że są dwa wejścia. - Finn zwróciła się do Winchestera.

- Od strony rzeki i po drugiej stronie ogrodzenia - powiedział profesor ponuro. - Ale nigdy się tamtędy nie dostaniecie.

- Dlaczego?

- Ponieważ stoją tam cholerne straże, dlatego, i wejścia są na dodatek zamknięte. - Wzruszył ramionami. - Nie da się tak po prostu wejść i rozejrzeć.

- Na ogrodzenie nie damy rady się wdrapać - zastanawiał się Billy. - Nawet stąd widać, że paliki są niezwykle ostre. I mogą być pokryte trucizną, jak strzały, choć to rzeczywiście mało prawdopodobne.

- Więc? - spytała Finn. - Gdzie nas to prowadzi?

- Dość łatwo moglibyśmy przeciąć palisadę. - Podniósł w górę maczetę, którą zabrał martwemu Fu Shengowi.

- Usłyszysz cię - powiedział Winchester. - To niemożliwe.

- Nie, jeśli coś odwróci ich uwagę - podrzuciła Finn.

- Na przykład co?

- Jakiś hałas. Strzały w powietrze lub coś w tym stylu.

- A co powiecie na ogień? - Billy uśmiechnął się.

- Mam ze sobą soczewkę - powiedział Winchester. - Ale słońce jest już za słabe.

Przykro mi.

- A ja nie wzięłam ze sobą czekolady i coca-coli - zmartwiła się Finn.

- Ale ja tak - powiedział Billy. - Sięgnął do kieszeni wyblakłej koszuli i wyciągnął jaskrawoniebieską, zupełnie zwyczajną zapalniczkę Bic.

- Skąd ją masz, na Boga? - spytała Finn.

- To ostatnie, co pamiętam, zanim statek poszedł na dno. Płomień w piecyku gazowym w kubryku zgasł i Toshi poprosił mnie, żebym go zapalił. Widocznie, kiedy zapłonął płomień, automatycznie schowałem zapalniczkę do kieszeni i zapiąłem ją. Potem przewróciliśmy się i wszystko zgasło.

- Działa?

Billy kliknął. Pojawił się płomień. Finn sięgnęła po zapalniczkę i spróbowała jeszcze raz. Znowu w ciemnościach pojawił się płomień. Trzydzieści dziewięć centów w supermarkecie, obok pokrojonej wołowiny. Ile może znaczyć taka mała rzecz. Przepaść między cywilizacją a epoką kamienną. Między ugotowanym a surowym. Odrzuciła myślenie antropologa i oddała Billowi zapalniczkę.

- No to mamy plan - powiedziała.

25

Pochodnia wirowała w ciemnościach, rozrzucając iskry, wykonując zwroty i fikołki ponad ostrymi zębami palisady. Potem druga partia związanych suchych gałęzi przeleciała przez płot, po niej kolejne dwie, a z tych ostatnich unosił się dym.

Dwie ostatnie wiązki nasączone zostały białą żywicą wydobytą z pomocą maczety z pnia wysokiego drzewa upas, rosnącego tuż poza obszarem wioski. Jeśli gumista substancja była tak trująca, jak twierdził Winchester, istniała szansa, że dym wywoła gorsze skutki niż płomienie.

Sto metrów dalej, niedaleko rzeki, Finn i Billy czekali w cieniu drzew na alarm. Kilka chwil po tym, jak ujrzeli wirujące płomienie pochodni, usłyszeli pierwsze okrzyki przerażenia.

- Spójrz! - Finn spoglądała przed siebie z zapartym tchem. Nawet z tej odległości widać było, jak ogień rozszerza się. Pochodnia wylądowała na dachu jednego z domów, przepaliła wilgotną górną warstwę i dotarła do suchej strzechy. W kilka chwil cała konstrukcja stanęła w płomieniach.

- To powinno ich zająć na chwilę.

- Idziemy! - krzyknął Billy.

Przebiegli przez pusty plac niczym duchy chronione przez zmierzch - długie cienie padające w świetle zachodzącego słońca.

Dotarli do palisady i tam się zatrzymali, przez chwilę nasłuchując hałasów wzrastającego zamieszania i trzasku odległych płomieni. Po lewej stronie Finn kątem oka widziała ciemną, gładką powierzchnie rzeki i sylwetki czółen na brzegu, długie wiosła oparte porządnie o ławki wiosłarzy. Nikt ich nie pilnował.

- Teraz - wyszeptła do Billy'ego. Jej przyjaciel wzniosł w górę ciężkie, na wpół okrągłe ostrze potwornie groźnie wyglądającej maczety i zaczął uderzać w bambus, wyrąbując w nim dziurę. Nie zabrało mu to dużo czasu. Pochylił się i zajrzał przez nowe wejście do wioski. Odwrócił się do Finn.

- Pośrodku stoi budynek na bambusowych palach, sześćdziesiąt centymetrów ponad ziemią. Po jego lewej i prawej stronie są mniejsze domki.

Finn zamknęła oczy, próbując przypomnieć sobie układ starożytnych siedlisk, po których się włóczyła jako dziecko, spędzając czas z mamą i ojcem na Jukatanie. Tamte wioski budowane były najczęściej wokół centralnego placu lub ołtarza, domy, zarówno mieszkalne jak i inne, wznoszone były centrycznie. Gdzie trzymaliby więźniów, gdyby ich mieli?

- Budynki, w których mieszkają ludzie, będą miały okna dla bogów - powiedziała wreszcie, przypominając sobie stare opowieści, które słyszała od matki. - Szukajmy takiego domu, w którym zamknięte są drzwi i okna.

- Okna dla bogów? - wolno powtórzył z pytaniem w głosie Billy.

- To wspólne dla większości kultur w takiej lub innej formie, na przykład tubylczy Ajnowie w Japonii mają małe okienka w swych prostych domkach, aby duchy miały łatwy dostęp i, co równie ważne, mogły bez problemu się wydostać. Starożytni Europejczycy nazywali je liniami geomantycznymi albo liniami mocy. Kultura Nazca w Peru;

Rzymianie budowali zgodnie z nimi swe drogi, a setki tysięcy pielgrzymów wędrowało jedną z tych „duchowych dróg”, zwaną Drogą Świętego Jakuba, która wiodła przez góry w Hiszpanii. Chińczycy też je mają - to pseudonauka feng shui, przyczajony smok opiera się na zasadzie, że duchy mogą opuścić bez przeszkód każde pomieszczenie. Zamknięte okna i drzwi będą oznaczać, że coś jest w środku uwięzione.

- Szukaj jakiegokolwiek budynku o zamkniętych drzwiach i oknach - powiedziała.

- To wszystko?

- To wszystko, co przychodzi mi do głowy, chyba że są przywiązani na głównym placu wioski.

- Zawsze optymistka - mruknął Billy.

- Idę pierwsza. Trzymamy się razem. Jeśli się rozdzielimy, wiesz, co masz robić.

- Nigdy nie należy dyskutować z kobietą, która ma za pasem wielki pistolet - powiedział z całą powagą.

Finn obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, wyciągnęła pistolet z kieszeni dżinsów i przebiegła przez dziurę w palisadzie.

Wioska za bambusową ścianą była zadziwiająco porządna i czysta. Stało tam jakieś dwadzieścia małych chat, zbudowanych z grubego bambusa. Parę większych sprawiało wrażenie, jakby służyły celom komunalnym. Wszystkie miały ściany wplecione z rattanu i ciężkie strzechy na stromych dachach. Tak jak Finn przypuszczała, wszystkie miały też otwarte małe okienka i otwarte drzwi.

Dzięki wysiłkom Winchestera, trzy budynki najdalej położone od miejsca, w którym znajdowali się teraz Finn i Billy, stały w płomieniach, podobnie jak spora część palisady. Widać było sylwetki ludzi wokół płonących domów, niektórzy próbowali walczyć z płomieniami za pomocą bambusowych mat. Bez większego sukcesu.

- Tam! - wskazał Billy. Sześć metrów dalej, tuż przy palisadzie stała duża chata ze starannie zakrytymi otworami okiennymi i dokładnie zamkniętym wejściem. Było tam kilka niezgrabnie wyglądających stopni, które prowadziły do czegoś na kształt werandy otaczającej budynek z trzech stron. Na szczycie schodów stała potężna postać ubrana w ozdobnie haftowaną tunikę, dzierżyła niewiarygodnie wyglądający topór wojenny z jasno błyszczącym ostrzem, w którym odbijały się złowrogo płomienie pożaru.

Ostrze topora osadzone było w bambusowym trzonku, długim, sięgającym do głowy mężczyzny. Wyglądał jak zapaśnik, z lśniącymi czarnymi włosami i niesformą czarną brodą, która zakrywała większą część dołu twarzy. Twarzy z przeszłości, o rysach starożytnego chińskiego wojownika. Kiedy przyglądali mu się, jakiś głos zawołał z ciemności. Strażnik przesunął się do przodu, odkrzyknął coś, a potem zbiegł po schodach, kierując się w stronę ognia w drugim końcu wioski.

- Mamy szczęście - wyszeptła Finn. Poczekali chwilę, by mężczyzna odbiegł kawałek i wtedy ruszyli do chaty. Weszli po schodach i otworzyli drzwi.

Pomieszczenie miało trzy metry na trzy, na podłodze leżały maty. Na małym stole stała lampka z migoczącym płomieniem. Czterech mężczyzn ze związanymi rękami i nogami siedziało na ławie w odległym końcu, z łokciami unieruchomionymi na bambusowym kiju.

- A niech mnie gęś kopnie. Toż to panna Ryann we własnej osobie! - Run-Run McSeveney potrząsając głową uśmiechał się do niej z ławki. - Prawie mnie pani przestraszyła, tak wchodząc tu!

- Co tam się dzieje? - spytał Briney Hanson.

- Odwrócenie uwagi - odparła Finn. - Przetnij im więzy - powiedziała do Billy'ego. Trzecim mężczyzną siedzącym na ławie był Eli Santoro, pierwszy mat na *Batavia Que en*. Uśmiechnął się szeroko do Billy'ego, kiedy ten rozciął szorstkie rattanowe liny. Czwarty mężczyzna, ubrany w zniszczony mundur polowy, z włosami obciętymi w sposób charakterystyczny dla mieszkańców Borneo, siedział cicho.

- Nie ma nikogo więcej? - spytała Finn.

- Obawiam się, że nie. - Hanson podniósł się i rozcierał nadgarstki, krzywiąc się z bólu.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - powiedziała Finn, ważąc w dłoni pistolet. - Na zewnątrz palisady czeka nasz przyjaciel. Możemy wyjść przez dziurę. Kierujcie się ku rzece, ukradniemy jedno z ich kanu.

- Będą nas gonić - ostrzegł Hanson.

- Jeśli nasz przyjaciel dobrze wykonał swoją robotę, to raczej nie - odparła Finn. - Do tej pory już wszystkie łodzie poza tą jedną powinny być zepchnięte na rzekę.

- Panno Ryan - zaczął Hanson. - Jest coś, co powinna pani wiedzieć...

- Zostaw to na później - przerwała mu Finn. - Idziemy! Billy przeciął maczetą ostatnie więzy. Przy pomocy Eliego odsunął ławkę i wyrąbywał dziurę w macie tylnej ściany. Chata miała posłużyć jako osłona w drodze do dziury w palisadzie. Usłyszeli kroki, Finn obróciła się, podnosząc w górę pistolet.

W drzwiach stała wysoka postać w ochronnej skórzanej zbroi, z łukiem na ramieniu i z wielkim mieczem w prawej dłoni. Podobnie jak strażnik przy drzwiach, miała w sobie coś z odległej przeszłości. Pośrodku klatki piersiowej, na medalionie wielkości talerza widniał atakujący smok.

Ogromny medalion zaśnił w świetle oliwnej lampki. Mężczyzna uniósł w górę miecz i zrobił krok do przodu. Stał oko w oko z Finn. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Twarz, włosy, broda wikinga, wszystko to było nie do pomylenia.

- Pieter Boegart! - wyszeptała.

- Ja cię znam - powiedział wojownik zamierając. Wpatrywał się w Finn z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie, znałeś moją mamę - powiedziała Finn. - Maggie Ryan. Żonę Lymana Ryana.

- Maggie - powiedział mężczyzna. - To ty jesteś małą córeczką Maggie. Spotkaliśmy się raz, ale to było dawno, dawno temu. Właśnie nauczyłaś się chodzić. Maggie była taka z ciebie dumna. - W głosie mężczyzny czuło się ból. - Tak naprawdę nie wierzyłem, że tu dotrzesz.

- Nie uwięzili cię - powiedział Billy.

Rudowłosa mężczyzna wyglądał na skonfundowanego.

- Uwięzić? Dlaczego mieliby mnie więzić?

- Samolot. Winchester widział, jak cię zabierają.

- Uratowali mnie. Silnik się zatarł, kiedy lądowałem. - Mężczyzna zmarszczył brwi. -

Kim jest Winchester?

- Nieważne - powiedziała pośpiesznie Finn. - Wychodzimy.

Rudowłosa mężczyzna spojrzał przez ramię.

- Nadchodzą. Idźcie. Nie rozumieją, dlaczego pozwoliłem wam odejść. Pospieście się, zanim będzie za późno.

- Chodź z nami! - poprosiła Finn.

- Wróciłem tu, żeby pozostać. To jest moje miejsce, mój dom. To są moi ludzie.

- To szaleństwo! - wykrzyknął Billy.

- W takim razie jestem szalony - odparł Boegart. - Jeśli nie będę ich chronił, świat tu przybędzie i zniszczy ich. Dlatego właśnie wróciłem.

- W takim razie dlaczego chciałeś, żebyśmy cię szukali?

- Pomyślałem, że jeśli okażecie się ludźmi, którzy mnie znajdą, może również okażecie się ludźmi, którzy rozumieją, czego chcę tutaj dokonać. Uratować choć mały kawałek przeszłości, uczynić go bezpiecznym od tak zwanej cywilizacji. - Odwrócił się i

jeszcze raz spojrział ponad swym ramieniem, potem znowu zwrócił się do Finn. - Musicie już odejść - prosił. - Odejdźcie z wyspy.

- Ale jak niby mamy to zrobić? - spytał Billy.

- Tą samą drogą, którą ja odszedłem - powiedział Pieter Boegart. - Tą samą, którą odszedł Willem van Boegart kilkaset lat temu. *Fugio Ab Insula Opes Usus Venti Carmeni*.

- Motto znad drzwi gabinetu osobliwości - powiedziała Finn.

- Dobra dziewczynka - powiedział Boegart. - A teraz idź już!

Billy wyrąbał w tylnej ścianie chaty na tyle dużą dziurę, że teraz każde z nich po kolei wyskakiwało przez nią w ciemność. Billy wychodził przedostatni. Odwrócił się do Finn:

- Czas iść - powiedział do niej.

- Dobrze - odparła. - Spotkamy się nad rzeką. - Odwróciła się plecami do drzwi.

Pieter Boegart uśmiechnął się, uniósł potężny miecz jakby w pożegnalnym salucie.

- Zobaczymy się jeszcze, obiecuję - powiedział. Uśmiech na jego twarzy przeszedł w coś innego. - Wyglądasz zupełnie jak twoja mama. - Wyszeptał i już go nie było, zniknął w nocy i w swoim czasie. Coś szarpnęło sercem Finn, ale po chwili podążyła za Billym przez dziurę w ścianie.

Ruszyła za pozostałymi, ich postacie były tylko cieniami na tle palisady. Drogę oświetlał ogień płonących chat, Finn zanurkowała w wyrąbanej dziurze. Nie było ani śladu pogoni. Mieszkańcy wioski zajęci byli gaszeniem pożaru.

Na brzegu rzeki ujrzała, że Winchester wykonał swoją pracę perfekcyjnie. Kilka łodzi spływało w dół z prądem rzeki. Jej przyjaciele siedzieli już na pozostawionym czólnie, podczas gdy potężna postać Eliego Mtukudji utrzymywała wąski stateczek na brzegu, a on wypatrywał Finn. Ruszyła biegiem w ich stronę.

W milczeniu wskoczyła na pokład i w tym momencie poczuła, jak Eli odpycha łódź i przechodzi na rufę. W ciemności ktoś włożył jej w ręce wiosło. Ciężka długim, przepięknym piórem zimną wodę, czuła, że się przesuwiają. Wreszcie z jej oczu popłynęły łzy, wspomnienie wysokiego brodatego mężczyzny w starożytnej zbroi pojawiło się z pełną wyrazistością, z jego obrazem pod powiekami pomagała kierować czólnem, wyprowadzając je na środek rwącej rzeki, ku odległemu morzu. Udało im się. Przez moment przynajmniej byli wolni.

26

Rzeczny prąd, obfity po ostatnim deszczu, unosił ich szybko w stronę morza. Po lewej stronie świeciła piana, powstająca nieustannie przy uderzeniach grzywaczy o odległe rafy. Po

prawej, jakieś dwieście metrów w stronę brzegu, od którego odpłynęli, rozciągała się dżungla, w tej chwili ciemniejszy cień na tle doskonale czarnej tropikalnej nocy. Słychać było jedynie uderzenia fal, wszystkie inne dźwięki zamarły. Minęły trzy godziny i wciąż nie było śladu pogoni.

Przed dwunastą poczuli się zmęczeni i tempo wiosłowania spadło. Przypłył pracował teraz przeciwko nim, więc jedyne, co mogli zrobić, to utrzymywać pozycję, żeby nie rzuciło ich na rafy. Wreszcie, kiedy złoty błysk rozjaśnił niebo, a obszar dżungli pojawił się na jego tle wyraźnym kształtem, dotarli do szczeliny w kształcie dziurki od klucza, miejsca, z którego można się było dostać do Amfiteatru Wraków w centrum wyspy.

- Spójrzcie - powiedział Winchester z zaokrąglonego dziobu czółna, wskazując brzeg.

Finn wpatrywała się zmęczonym wzrokiem we wstający świt. W pierwszej chwili nie widziała nic, tylko plażę i gęstą dżunglę tuż dalej, ale potem oczy przyzwyczyły się i dostrzegła, jak między wzgórzami pojawia się wąski pasek dziennego światła.

- Fala znowu zmienia kierunek - odezwał się cicho Billy ze swego stanowiska pośrodku wąskiego kanu. - Jeśli będziemy utrzymywać się zgodnie z prądem, dotrzemy do Amfiteatru Wraków bez żadnego problemu.

Finn i milcząca mężczyzna z dziwnie obciętymi włosami, na wzór tubylców, włożyli wiosła do wody, kierując łódź tak, by fala pchała ich w stronę brzegu. W kilka minut później znaleźli się pomiędzy wysokimi ścianami przesmyku, wpływając między strome skały ukrytego kanionu. Woda szemrała wokół nich, w dżungli porastającej dawny wulkan zaczynały odzywać się pierwsze ptaki, pierwsze głosy poranka.

- Powiedział coś po łacinie - mruknął mężczyzna z dziwnie obciętymi włosami, odzywając się po raz pierwszy od chwili ucieczki z wioski.

- Zgadza się - potwierdziła Finn.

- Najwyraźniej uważał to za odpowiedź na twoje pytanie, jak opuścić to miejsce.

- Tak - odpowiedziała. Sama zastanawiała się nad tym przez ten czas, kiedy wiosłowali, pokonując dystans dzielący ich od morza.

- Co takiego powiedział? - spytał mężczyzna. Fala pływowa uderzała z większą siłą, obracając ich i znosząc niebezpiecznie blisko skalistej ściany. W tym miejscu nie było plaży, tylko postrzępiona skała, drzewa trzymały się tej drobiny ziemi, która ją pokrywała. Mężczyzna mocno uderzył wiosłem, inni zrobili to samo, dzięki czemu przesunęli się z powrotem w stronę środka przesmyku.

- *Fugio Ab Insula Opes Usus Venti Carmeni* - powiedział z irytacją Billy. - Uciekam do mej ukrytej wyspy skarbów na skrzydłach muzyki - przetłumaczył.

- Nie - powiedział mężczyzna z włosami obciętymi jak tubylcy. - Niezupełnie.

- A co ty wiesz na ten temat? - spytał Billy.

- To z *Odysei* Homera - tłumaczył bez cienia urazy. - Spędziłem wiele godzin w szkole, tłumacząc całe partie w ramach kary za wagarowanie. - Roześmiał się cicho. - Ten fragment odnosi się do Kirke i jej wyspy. Niektórzy uczeni uważają, że Homer swój pomysł zaczerpnął z księgi Gilgamesza, której bohater ucieka tunelem w miejscu, gdzie słońce wchodzi na niebo.

- Jak ty byś to przetłumaczył? - spytał Billy.

- „Uciekam z mojej ukrytej wyspy skarbów na skrzydłach muzyki. Słowo „ab” oznacza „z”, a nie „do”. - Wzruszył ramionami. - To byłoby bardziej na temat.

- A wiecie, że on ma rację - wtrącił się Winchester. - Mówię o łacinie. Ja też studiowałem Homera. *Virtutem paret doctrina*, i całe to „Niech edukacja uczyni cię pełnym człowiekiem”. Scot's College.

- Przetłumaczyłem poprawnie - bardzo sztywno powiedział Billy.

- Czy tu jest takie miejsce? - spytała Finn, zwracając się do Winchestera, siedzącego z przodu łodzi.

- Jakie miejsce? - zapytał, nie przestając wiosłować.

- Tunel, w którym pojawia się słońce. Coś związanego z wiatrem. Muzyką. Nie wiem - powiedziała sfrustrowana. Zdanie nie dawało zbyt wielu możliwości.

Całkiem nagle przypominające fiord zamknięcie szczeliny prowadzącej do amfiteatru skończyło się i wypłynęli na ogromną, prawie doskonale okrągłą lagunę, która niegdyś stanowiła serce wściekłego wulkanu.

Winchester odezwał się:

- Jest pewna grota, byłem tam raz podczas mojego pierwszego roku na tej wyspie. Od tego czasu nie myślałem o niej. Tam na końcu jest rodzaj jamy.

- Jama na końcu morskiej groty? - mruknął Run-Run McSeveney. - Takie miejsca znane są z dawnych cholernych opowieści gaelickich. - Zanurzył wiosło w wodzie, pochmurny jak zawsze.

- To są pozostałości powulkaniczne - wyjaśnił Winchester. - Rodzaj tunelu wentylacyjnego. - Zamarł, wpatrując się gdzieś daleko, zapatrzony w mgłę wznoszącą się ponad dżunglą. - Natrafiłem na to miejsce podczas polowania. Muszę przyznać, że zrobiło na mnie wrażenie. Najpierw nie było nic, a potem jakby się stało obok eksplodującej rury z parą.

- Jest takie miejsce w Południowej Dakocie - powiedział Billy. - Rodzice wzięli mnie tam, gdy byłem mały. Wietrzne groty czy coś w tym rodzaju.

- Czy nazwałbyś to miejsce muzycznym?

- Przypuszczam, że tak - odparł Winchester. - Jeśli nie jest się bardzo umuzykalnionym. Mnie bardziej kojarzyło się z jakimś potężnym gwizdkiem.

Nadchodząca fala przesunęła ich w stronę ponurego cmentarzyska wraków, które o poranku wyglądało jeszcze bardziej ponuro niż zazwyczaj. W milczeniu przepłynęli obok jakiegoś rozkładającego się wraku starożytnego szkunera, maszt już dawno przegnił, ciemny kadłub podziurawiły różne morskie stworzenia. Stary statek był dziś anonimowy, nazwa wypisana na pawęży została już zmyta wiele lat temu. Po prawej stronie z mgły wynurzały się resztki *Batavia Queen*. Przed nimi widać było kilkanaście innych wraków i zniszczone resztki starego jednosilnikowego hydroplanu, którym Pieter Boegart powrócił na wyspę.

- Czy pamiętasz, gdzie to jest? - spytała Finn.

- Oczywiście - odparł Winchester. Podniósł wiosło, by wskazać na kalderę, koliste zagłębienie w szczytowej części wulkanu. - To tam, gdzie widać te dwa wzgórza. Nazywam je Lwami. - Właśnie w tym momencie słońce wzniosło się na tyle, że oświetliło rzeźbę terenu. Winchester miał rację. Dwa wzgórza wyglądały dokładnie jak prężące się do skoku, spoglądające na siebie lwy.

- Tunel w miejscu, gdzie słońce wyrusza na swą podniebną wędrówkę - odezwał się Khan.

- Tak może być. - W głosie Billa słychać było podniecenie. - Pasuje.

- Za szybko się przemieszczamy - odezwał się Briney Hanson, spoglądając ponad wodą. Falowanie i wirowanie wody uniemożliwiało dobrą widoczność, ukryte pozostałości pochwyconych w pułapkę statków były zupełnie niewidoczne. - Powinniśmy zacumować na zawietrznej któregoś z tych starych wraków i poczekać, aż przypływ się uspokoi. Przemieszczać się tak jak teraz jest zbyt niebezpiecznie, możemy w coś uderzyć.

- Zaiste, ma rację - dołączył się do przestrogi McSeveney, zerkając za burtę.

- To śmieszne, przecież wszystko doskonale widzę - odezwał się od strony dziobu Winchester. - Woda jest tak czysta, że widać nawet dno. - Nagły wir pchnął ich na pochylony na bok wrak starego tankowca *City of Almaco*, długi, przerdzewiały komin pochylony nad rufą i żurawie były we mgle całkowicie niewidoczne. Wiry wodne, walczące między sobą, przez chwilę rzucały łodzią, jakby była listkiem, i nagle profesor w koźlej skórze zorientował się, że płynie w przeciwną stronę do zamierzonej. Spanikowany Winchester na wpół podniósł się, chwytając ławkę, by się podnieść.

- Siadaj! - ryknął na niego Hanson. - Przewrócisz nas!

- Ty nędzna pokrako! - wrzasnął McSeveney, usiłując ustabilizować łódź. - Przewracamy się!

Było za późno. Nagły ruch Winchestera pchnął czółno w innym kierunku. Prąd uderzył nimi o bok starego tankowca i w jednej chwili łódź przewróciła się na bok. Winchester stracił wiosło, rozpaczliwie usiłował je złapać, w jednej chwili wszyscy znaleźli się w wodzie.

Pełen koszmar nadszedł bez zapowiedzi w chwili, gdy Finn znalazła się pod wodą. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje. Potem poczuła przeszywający ból na policzku a następnie, niczym kolejne smagnięcie biczem, w miejscu gdzie miała gołą skórę na brzuchu, gdzie podciągnęła się koszula. Zachłysnęła się od nagłego bólu i rzuciła ku powierzchni, walcząc o odrobinę powietrza. Kolejne bicze smagały ją po rękach i nogach. Jakby z daleka, przez zasłonę bólu usłyszała krzyk Winchestera, że nie potrafi pływać. Udało jej się unieść jedną rękę, żeby ściągnąć coś, co przywarło do jej twarzy, poczuła piekący ból na dłoni i policzku. I w tej chwili ujrzała koszmar, jaki rozciągał się tuż przed nią.

Wszystko wokół niej było jedną wielką masą bulgoczącego, falującego śluzu. Skuszona ciepłą wodą ogromna kolonia meduz wybrała się z przypiływem do jeziora we wnętrzu Amfiteatru Wraków. Bezmyślny koszmar rozpościerał się teraz niczym obsceniczny półprzezroczysty pulsujący dywan zakrywający powierzchnię wody.

Przeżrana tym widokiem Finn zaczęła młócić wodę rękami, starając się odepchnąć pulsujące stworzenia jak najdalej. Kilka palących witek zwisających pod galaretowatymi ciałami dotknęło jej nóg. Wrzasnęła z bólu. Ze wszystkich sił usiłowała się wyrwać z wody.

Obracając się, Finn na wpół świadomie ujrzała ogromny półksiężyc płynący w stronę plaży, jego dwa końce były niczym rozłożone ramiona. Obracając się i dławiąc, próbowała zlokalizować czółno. Znajdowało się nie dalej niż piętnaście metrów od niej, próbowała płynąć w tamtą stronę, otoczona przez purpurowe szkarady. Ich kolonia, rozciągająca się na sto pięćdziesiąt metrów, sięgała na jakieś trzysta w głąb, była śmiertelną pułapką, otaczającą ją niczym szlam, niczym groteskowe pole minowe.

Na jej drodze znajdowała się jeszcze mała plama wlokących się z tyłu organizmów, robiła wszystko, by je wyminąć. Były małe, ich przypominające kwadraty pęcherzyki jeszcze nierozwinięte, kiedy pulsując sunęły w jej stronę, sznureczki oczu były wyraźnie widoczne, jak czarne cętki na błoniastym ciecie.

Ich parzydełka lekko dotknęły jej i aż zachłysnęła się z bólu. Krzyknęła, usiłując, choć coraz słabiej, walczyć z tymi stworzeniami, udawało się jej jeszcze utrzymać głowę nad

powierzchnią, a potem śmiertelny jad zaczął docierać do jej krwioobiegu. Wiedzała, że za chwilę tak osłabnie, że nie da rady płynąć.

Jak przez mgłę, na skraju świadomości odnosiła wrażenie, że słyszy głos Billego wołający jej imię, ale pomoc nadchodziła zbyt późno. Meduzy otaczały ją zewsząd. Każdy delikatny ruch fal, połączony z ich pulsującą energią, przynosił kolonię coraz bliżej, ofiara zostanie podzielona równo przez wszystkie głodne stworzenia. Finn opadała w głąb wody, jad wyciągnął z jej ciała wszelką siłę.

Otworzywszy oczy ujrzała, co znajduje się pod powierzchnią, i aż się wzdrygnęła - tak było to przerażające. W tej chwili straciła wszelką nadzieję. W słabym świetle poranka szkaradna flotyła porażała niczym piekielna wizja w zielonobłękitnej wodzie. Miliony macek, niektóre delikatne niczym ludzkie włosy, inne grube jak liny, spływały z galaretowatych kopuł na górze, nieskończony, hipnotycznie falujący las śmiertelnych włókien, które już teraz owijały się wokół ciała Bena Winchestera monstrualną płataniną, powoli ale skutecznie wciągając go w centrum roju, wysysając z jego ciała składniki pokarmowe, aż wreszcie wyssała wszystko, co się tylko da wykorzystać.

Finn przypomniała sobie, że słyszała kiedyś, iż tonięcie można nazwać śmiercią we śnie, ale to była śmierć w niekończącym się koszmarze i nawet gdy osuwała się w głąb, jej dłonie poruszały się, a resztki instynktu nakazywały przesuwać się ku powierzchni.

Poczuła skurcz w klatce piersiowej, to resztką powietrza uciekała z płuc. Obraz zatarł się, ostatnim co zobaczyła przed śmiercią, była blada twarz Winchestera, przypominał mitologiczną Meduzę, jego włosy w strąkach były niczym skłębione węże. Potem obraz zamazał się. Odpłynął ból i usłyszała jeszcze, jak ostatni raz ktoś woła jej imię, a potem była już tylko ciemność i bicie serca, które powtarzało się echem w skroniach.

27

Obudziła się w raju. Dokładnie ponad jej głową przez jasnozielone liście przeświecało słońce, czuła jakiś silny korzenny i egzotyczny zapach.

- *Mijn kind* - ktoś powiedział cicho i łagodnie. Pozwoliła, by głowa opadła jej na bok i w tym momencie ujrzała okoloną rudą brodą twarz Pietera Boegarta. Klęczał koło niej. Znajdowali się na wielkiej polanie, prawie na szczycie amfiteatru, łąkę porośniętą falującą trawą otaczały kwitnące drzewa.

- *Mijn kind* - powiedział znowu bardzo czule. W oczach miał łzy, próbowała się uśmiechnąć, ale tępy ból przez chwilę zwyciężył, był tak silny, że aż jęknęła.

- Spałaś - powiedział mężczyzna z rudą brodą. Spróbowała spojrzeć w drugą stronę.

Leżała z głową na kolanach Billy'ego Pilgrima. Siedział oparty o wysokie drzewo upas na skraju polany. Daleko poniżej, poprzez drzewa widać było błękitnozieloną wodę śmiertelnej laguny.

- Dali ci lekarstwo. Słodki ocet z trzciny. Żeby uśmierzyć ból. O mało nie umarłaś.

- Jak się tu znalazłam? - zmrużyła oczy.

- Przynieśliśmy cię. - Billy uśmiechnął się do niej. Na jego twarzy widać było kilka czerwonych placków w miejscach, gdzie i jego dopadły zabójcze macki meduz. Finn zobaczyła, że pozostali siedzą w pobliżu, wszyscy wyglądali na wycieńczonych, a tubylcy pomagali im, przemywając miejsca oparzenia substancją, którą czerpali z oplecionych rattanem mis podobnych do urn. Żadne nie wydawało się uzbrojone. Wśród nich znajdowały się dwie kobiety, ich czarne włosy wymyślnie spleciono skórzanymi rzemykami. Byli wszyscy, z którymi płynęła czółnem. Wszyscy poza Winchesterem. Wzdrygnęła się, przypominając sobie ich ostatnie spotkanie.

- Gdzie jesteśmy?

- Przy lwach Winchestera - powiedział Billy. Zdjął pasemko jej włosów z twarzy. - Czy jesteś w stanie wstać, czy chcesz jeszcze odpocząć?

- Dam radę - powiedziała. - Tak mi się wydaje. Spróbowała się podnieść z pomocą Boegarta i Billy'ego.

Najpierw na kolana, ale poczuła się słabo i oparła się o Billy'ego. Boegart uważnie się jej przyglądał, sprawdzając, czy naprawdę sobie poradzi. Z pozostałych tylko Khan stał gotowy do drogi. Ponieważ miał nogi i ręce gołe, kiedy poszedł pod wodę, wydawało się, że wyszedł też najgorzej poparzony.

- To on cię wyniósł z wody - powiedział Billy. - Bez wątpienia uratował ci życie.

- Umarłaś - powiedział po prostu Khan. - Meduzy były młode, przynajmniej większość z nich, ale ty jesteś najdrobniejsza, więc by cię zabiły, tak jak się to stało z waszym przyjacielem w kozłej skórze. Nie mogłem na to pozwolić.

- Dziękuję - powiedziała Finn. Co więcej mogła powiedzieć?

- A ty? - Finn spytała Pietera Boegarta, niepewna co myśleć o tym dziwnym mężczyźnie z rudą brodą, który mógł być jej naturalnym ojcem. - Dlaczego jesteś tutaj?

- jeden z naszych zwiadowców ujrzał meduzy. Wiedziałem, że znajdziesz się w niebezpieczeństwie. - Zamilkł. - Nie byłem też pewien, czy na tyle dobrze znasz łacinę, żeby przetłumaczyć instrukcję *Grootoatera*, Willema.

- Ja nie znałem - roześmiał się Billy.

- Chodźcie - powiedział Pieter, łagodnie biorąc Finn za rękę. - Jest coś, co muszę wam dwojgu pokazać. - Przeszli przez polanę, a potem pochyłą ścieżką, która wiła się przez dżunglę jakieś sto metrów, by doprowadzić ich do małej skały wypiętrzonej nad kalderą. Na samym końcu wypiętrzenia znajdowało się prawie niewidoczne pęknięcie w skale.

- Wejdz - powiedział.

Ustawiła się bokiem i wślizgnęła przez wąskie przejście, za którym znajdowała się niewielka pusta jaskinia, po lewej ręce mimo mroku widać było przejście do kolejnego pomieszczenia, a na końcu groty widniał doskonale okrągły otwór. Usłyszała cichy dźwięk i poczuła na twarzy pachnący solą wiatr.

- Z końcem przyływu dźwięk cichnie - wyjaśnił Pieter Boegart. - A gdy nadchodzi przyływ, ciśnienie powietrza powoduje rezonans, tak że czasami bywa tu całkiem głośno.

- Uciec z mojej ukrytej wyspy skarbów na skrzydłach muzyki - powiedziała Finn. - Ten tunel prowadzi do morza?

- I do kolejnej groty. Tam znajdziecie łódź. Nie za dużą, ale na tyle pojemną, że wszyscy się na niej zmieścicie. Jest bardzo stara, ale można jej zaufać. - Roześmiał się. - Oczywiście nie tak stara jak ta, którą musiał dla siebie zbudować *Grootoater* Willem. - W jego oczach pojawiły się iskierki. - Od strony morza groty nie da się zobaczyć, chyba że się o niej wie, nie ma tam żadnego nabrzeża, ale woda jest czysta, nie ma żadnych skał ani niczego, co może wam przeszkodzić. - Odwrócił się w stronę Billy ego. - Słyszałem, że żeglujesz. Czy potrafisz nawigować, kierując się gwiazdami?

- Tak - przytaknął Billy.

- Trzymaj Małą Niedźwiedzicę za plecami, a Syriusza i Wielkiego Psa przed sobą na horyzoncie. Po czterech dniach żeglugi dopłyniesz do wybrzeża Sandakanu, tam będziecie bezpieczni. Tak zrobił *Grootoater* Willem i tak zrobiłem również ja. - Rudobrody mężczyzna zamilkł na chwilę. - Muszę wam zaufać - powiedział wreszcie. - Tego, co zobaczycie, nie może ujrzeć nikt więcej, tylko wy dwoje. - Ruchem dłoni wskazał im cień po lewej ręce, ruszył w tym kierunku, Finn i Billy poszli za nim. Cień uformował się w mroczne przejście do kolejnej groty, dużo większej od pierwszej. Szczelina w skale przepuszczała pojedynczy promień słońca, ale to wystarczało.

Całą grootę wypełniały skarby. Starożytne zbroje ze złotych blaszek połączonych złotym drutem pokrywały figury z jadeitu. Złote i srebrne sztaby ustawione były w stopy aż po sklepienie, złote naczynia ułożone w rzędy. Setki metalowych skrzyń, takich, jakie używano na dawnych parowcach, z otwartymi wiekami, wypełnione były złotymi monetami i płatkami po same brzegi.

Hebanowe postacie dawno zapomnianych afrykańskich królów, kryształowy słoń wielkości arbuza lśniący niczym diament. Rząd kryształowych czaszek, stos złotych oszczepów, ogromna trumna pokryta lśniącym metalem. W złotych oprawach mieniły się szmaragdy, szafiry i rubiny. Wysokie srebrne głowy tatuowane złotem. Inkrustowane tablice i rytualne stoliczki przepięknej roboty.

Doskonale odtworzona ludzka ręka trzykrotnie powiększona, z dwoma palcami złożonymi jak przy modlitwie. Dziwna brodata postać stojącego na dwóch nogach byka o ludzkich oczach, pokrytego *lapis lazuli* i ubranego w złotą suknię. Przedmioty z Afryki, z Indii i ze wszystkich miejsc leżących pomiędzy nimi, perły, diamenty, kość słoniowa i jeszcze więcej złota. Pomieszczenie wydawało się ciągnąć w nieskończoność.

- Skarby imperium - powiedział Pieter Boegart. - Spuścizna Willema.

- Spuścizna dla kogo? - spytał Billy zdławionym głosem, szeroko otwartymi oczyma wpatrując się w skarby ukryte w grocie. - To jak szukać sokoła maltańskiego i dowiedzieć się, że istnieje naprawdę.

- Te skarby przyniosłyby jedynie śmierć ludziom, którzy tu żyją - powiedział Pieter. - Wystawiłyby ich na śmierć równie pewną, jak przed plutonem egzekucyjnym. A to, co zostało w japońskiej łodzi podwodnej, jest jeszcze gorsze. Trzy tony złota i srebra przewożone do Reichsbank w Berlinie, a może, co gorsza, do tajnych sejfów w Bernie i Genewie, by zabezpieczyć przyszłość nazistów. Jest tu dość skarbów, by masę ludzi przyprawić o szaleństwo. Kto będzie sobie rościł prawo do tej wyspy? Borneo? Malezja? Filipiny? Muzułmanie, chrześcijanie, wasz przyjaciel o włosach obciętych jak tubylec z Borneo i o twarzy przywódcy? - Na chwilę zamilkł. - Czy wiecie, kim on jest?

- To człowiek, który próbował nas porwać w Londynie. Jego ludzie wysadzili naszą łódź. - Finn zamilkła. - Przybył tu, bo liczył, że nas tu spotka.

- Nazywa się Khan. El Piligroso, Tim-timan, Ostatni Wyznawca - tak nazywają go Filipińczycy. Kolejny Fidel Castro czy inny Che Guevara. Człowiek z zasadami, którego jedynym sposobem na to, by czynić dobro, jest czynić gwałt. Uczciwy fanatyk. Szalony poszukiwacz prawdy. Gdyby zdobył te skarby, z pewnością rozpocząłby wojnę i może nawet ją wygrał.

Pieter rozpostarł ramiona i powoli obrócił się wokół.

- A podczas tego, co by się działo, ludzie, którzy mieszkają na tej wyspie, zginęliby, albo jako ofiara, którą trzeba złożyć dla sprawy, albo przez chciwość ludzi. Temat na kolejny reality show lub wydanie specjalne „*National Geographie*”. Kolejny pomysł na trasę w Euro-Disneylandzie.

- W takim razie dlaczego nam to pokazujesz? - spytał Billy. - I dlaczego mówisz nam to wszystko?

- Żebyście wiedzieli, jakie będą konsekwencje, jeżeli komuś o tym opowiecie. Żeby nie kusiło was, by wrócić tu i odszukać to miejsce. - Spojrzał na Finn udręczonym wzrokiem.

- Żebyście tu nigdy więcej nie powrócili.

- Straciliśmy wszystko - powiedział Billy. - *Batavia Queen*, moja łódź... - Wzrok młodego człowieka ślizgał się po nieprzebranych stosach lśniącego bogactwa.

Pieter Boegart uśmiechnął się.

- Macie jeszcze mój dom przy Herengracht - powiedział. - I gabinet osobliwości, który należał do Willema. To więcej niż potrzeba dla każdego. - Jego uśmiech rozszerzył się. - Sam to powiedziałeś, mój chłopcze, to jak odnalezienie prawdziwego Sokoła Maltańskiego. Bardzo trafne.

Z zewnątrz doszedł ich nagły dziwny, dudniący dźwięk, znajome trzepotanie, które Finn rozpoznała natychmiast.

- Helikopter!

Wybiegli z grotu na małe skalne wypiętrzenie. Helikopter był już wyraźnie widoczny, zataczając koło nad Amfiteatrem Wraków, kierował się dokładnie ku nim. Leciał prościutko, bez żadnych wahań, jakby doskonale wiedział, gdzie ma dotrzeć.

Khan stojąc na łące poniżej, uważnie przyglądał się nadlatującej maszynie. Była to Westland Gazelle ze znajomym kadłubem w kształcie wydłużonej kropli i wirnikiem z tyłu w kształcie wachlarza. Błękitno-złota, w kolorach singapurskich sił powietrznych, miała też z boku emblemat złotej lwiej głowy, ale Khan wiedział, że to tylko pozory. Helikopter mógł pomieścić czterech do pięciu ciężko uzbrojonych żołnierzy, wyposażonych w broń od małych pistoletów po przeciwpancerne pociski kierowane typu HOT i dwudziestomilimetrowe działka. Służyły do ataku na czołgi oraz łodzie podwodne i były naprawdę zabójcze.

- Aragas - powiedział ciemnowłosy kapitan frachtowca, który stał się jego współwięźniem w wiosce.

- Znasz go? - spytał Khan, nie spuszczając wzroku z helikoptera, który zbliżył się już na jakieś pięćset metrów. Jeśli mieli uciekać, trzeba to było robić już. Kapitan statku nie poruszył się.

- Przybył tu za mną - powiedział niedbale Hanson. - Szuka ciebie.

- Mnie?

Kapitan przytaknął, jakby z roztargnieniem, przypatrując się helikopterowi. Pozostali podnieśli się na nogi i patrzyli również. Tubylcy rozplęnęli się w otaczającym lesie.

- Dał mi satelitarny telefon. Szantażował mnie. Telefon musiał gdzieś zostać na wraku. Z pewnością miał zamontowany transponder GPS i w ten sposób doprowadził go do nas. Przykro mi.

- Mnie nie - powiedział Khan. - Prawdę mówiąc, jestem wdzięczny za możliwość konfrontacji. Od dawna jej oczekiwałem. Cieszę się, że będę miał to już za sobą.

Hanson popatrzył na niego. Czy śmierć może być dobrym rozwiązaniem? Przez chwilę to rozważał. Dla niego nie miało to znaczenia. Po tym, jak stracił *Batavia Queen*, nie miał nic, więc nic też nie motywowało go do walki0 przetrwanie. A na pewno nie miał zamiaru uciekać przed sadystycznym maniakiem jak *senior* Lazło Aragas, pyzatympolicjantem o uśmiechu Draculi.

- Naprawdę przyjechał tu po ciebie?

- Po mnie i po złoto, które uważa, że tu znajdzie. Od zawsze opowiada o japońskiej łodzi podwodnej, która zniknęła gdzieś na tych morzach wypełniona złotem.

- Wcale bym się nie zdziwił - powiedział Hanson.

- Spójrz tylko na tę lagunę w dole. To jest możliwe.

- To tylko mrzonka - powiedział Khan. - Marzenie głupca, sen marzyciela. Wyspa Sztormów.

Helikopter z rykiem zawrócił nad ich głowami, by wylądować powyżej, wirnik miał powietrze przy wtórze gniewnego wrzasku silników, korony drzew kładły się ku ziemi, gdy schodził do lądowania niczym ogromny owad. Finn, Billy i czerwonołłosy przywódca tubylców pojawili się na ścieżce z góry. Helikopter wreszcie wypuścił podwozie, wirnik zaczął zwalniać. Potem zatrzymał się całkowicie, otworzyły się boczne drzwi kabiny i pojawił się w nich Aragas w białym garniturze, czarnych okularach i kapeluszu typu borsalino w dłoni. Rozejrzał się dzikim wzrokiem po polanie. Za nim z helikoptera wysunęło się czterech mężczyzn w czarnych kombinezonach i kominiarkach na twarzach - stroju sił specjalnych singapurskiej policji zwanej STAR. Każdy z czterech mężczyzn miał w dłoniach albo karabin automatyczny typu SAR21 albo karabin maszynowy typu MP5. Wyglądali jak bohaterowie kreskówek o wojownikach ninja dwudziestego pierwszego wieku. Niczym ożywiona gra wideo. Za paskami zatknięte mieli automatyczne glocki 17, w kaburach przystosowanych do szybkiego wyjmowania.

- Jak miło, że wszyscy wyszliście mi na spotkanie - powiedział szykowny mężczyzna w olśniewająco białym garniturze. Kiedy wirnik już się zatrzymał, Aragas założył na głowę borsalino.

- Pani pewnie jest panną Ryan - powiedział, zatrzymując się przed nią z krótkim ukłonem. Wymanikiurowanym palcem wskazującym pokazał jej policzek. - Nieprzyjemnie - mruknął z zaskokiem. - Wygląda na bardzo bolesne.

- Kim pan jest? - spytała Finn.

- Zbir - powiedział Hanson. - Szantażysta.

- Znasz go? - spytał Billy Hansona.

- Spotkaliśmy się raz czy dwa.

- Judasz powinien być nieco miłszy dla swego nowego pana - rzekł Aragas. I mruknął pod nosem. - Jeszcze nauczę cię manier. - Szedł powoli dalej, zatrzymał się przed Pieterem Boegartem.

- O! - zdziwił się. - Przysłowiowy syn marnotrawny. Dziedzic fortuny żyjący niby nowy biały radza tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. - Aragas potrząsnął głową. - Wasz kolonialny sposób myślenia nie przestanie mnie zadziwiać.

- Przez chwilę przyglądał się, potem wyciągnął dłoń i przeciągnął palcem po starożytnej zbroi Pietera. - Interesujący kostium. - Uśmiechnął się. - Chciałbym zobaczyć skarby, które mu towarzyszyły.

- *Zwijn* - powiedział Pieter. Aragas aż krzyknął z uciechy.

- Nazywasz mnie świnia? Musisz wiedzieć, że jestem praktykującym muzułmaninem. Modłę się sześć razy dziennie.

- Ale twym jedynym bogiem jest chciwość - powiedział Khan, stając przy boku Pietera.

- Tak jak twoim jedynym bogiem jest wojna.

- Rewolucja - poprawił go Khan.

- Żadna różnica - odparł Aragas, odwracając się z szyderczym wyrazem twarzy. Powrócił do Finn i uśmiechnął się szeroko. - Powiedz swojemu wujowi, czy kimkolwiek on jest, żeby wyznał, gdzie leżą skarby, bo jeśli nie, to tych czterech facetów zabije wszystkich twoich przyjaciół, a potem zgwałci cię, jeden po drugim.

- Tylko jej dotknij, a zginiesz - powiedział Pieter. W jego lodowatym głosie brzmiała siła. Aragas sięgnął pod marynarkę i wyciągnął z kabury pod ramieniem mały krótkolufowy rewolwer.

- Mam helikoptery, mam ludzi z karabinami maszynowymi. Mam ludzi, którzy pracują dla mnie w Londynie. W Holandii zresztą też. Obawiam się, że nie jest pan dla mnie przeciwnikiem, panie Boegart.

- To byli pańscy ludzie - powiedziała Finn, nagle zrozumiawszy. - Przed Courtauld.

- I ci, którzy wysadzili moją łódź! - wykrzyknął Billy.

- Oczywiście - odparł Aragas. - Obserwowałem wszystkie działania Khana za granicą. On doprowadził mnie do was, tak jak wy doprowadziliście mnie do waszego wędrującego wuja i do skarbu, którego szukam od lat. Do mojego złota.

- Jesteś szurnięty - powiedział ponuro Hanson.

- A kogo to obchodzi? - zapytał Aragas. - To ja odstrzelę śliczną główkę panny Ryan, jeśli jej krewniacy nie zaczną mówić. - Podniósł lufę pistoletu i odciągnął kurek. Odwrócił odrobinę głowę i wyrzucił z siebie lakoniczny rozkaz: - Jeśli któryś się wtrąci, zabić go!

Mężczyzna znany niegdyś jako James How Ling Singbat Alaidin Sulaiman Khan, a teraz po prostu jako Khan Tim-

Timan, Ostatni Wyznawca, z nieprawdopodobną prędkością wyciągnął spod koszuli pistolet automatyczny, ten sam, który miała przy sobie Finn, kiedy wyciągał ją spomiędzy kolonii meduz. Jego szybka dłoń nacisnęła raz na spust i prawe szkło w okularach Aragasa stało się proszkiem. Przód koszuli policjanta pokrył się czerwienią od krwi, która popłynęła z jego głowy. Kapelusz borsalino odleciał.

Pieter Boegart wrzasnął głośno:

- Padnij! Wszyscy na ziemię!

Jednemu z czterech mężczyzn stojących za osuwającym się ciałem Aragasa udało się wyciągnąć glocka i władować strumień nabojów w klatkę piersiową Khana, zabijając go na miejscu, ale to było wszystko. Pozostali zdążyli paść na ziemię.

Gonne, rodzaj prymitywnej broni palnej, używany był w armii chińskiej już około 1300 roku, a może i wcześniej. Rozwój technologii, jak na przykład odkrycie kuszy, na zawsze zmienił oblicze wojny.

W pierwszych *gonnes* używano bambusowych rur, ale bardzo szybko zostały zastąpione przez rury wykonane z żelaza lub brązu, mniej więcej o długości czterdziestu sześciu centymetrów, na początku ustawiano je oparte na przykład o drzewo, potem na specjalnie przygotowanym obiekcie zwanym kołyską.

Napełniana ubitym czarnym prochem, ta prymitywna armatka mogła wyrzucić z siebie żelazną kulę wagi od stu siedemdziesięciu do czterystu pięćdziesięciu czterech gramów, odpalenie odbywało się przez wolno spalający się lont wychodzący z tyłu lufy. *Gonne* strzelając na odległość do stu metrów, była dość celna.

Sześćset lat przed tym, zanim czterech żołnierzy elitarniej jednostki singapurskiej STAR postawiło stopę na tej wyspie, za pomocą takiej właśnie broni można było zrobić dziurę wielkości ludzkiej pięści, przebijając lśniąca metalową zbroję. Cienkie kewlarowe

kamizelki noszone przez czterech mężczyzn nie stanowiły żadnej ochrony w chwili, gdy dwudziestu tubylców wypaliło ze swych *gonnes*, oddając makabryczną i obrzydliwie cuchnącą salwę.

W kilka sekund latające *żelazo* wypatroszyło wszystkich czterech komandosów, zamieniając żywe istoty w poszatowane podroby leżące na ziemi. Więcej niż połowa pocisków trafiła w żołnierzy, ale ponieważ broń nie należała do najcelniej szych, kilka kul trafiło także w helikopter.

Kabina przestała istnieć wraz z pilotem, a po chwili pół tony wysokooktanowego paliwa eksplodowało i to co pozostało z kabiny, w jednej chwili stało się białą chmurą. Rozrywająca uszy eksplozja przeniosła się echem po niecce, aż stała się jednym wielkim grzmiotem, który powoli zamierał.

Dym rozpląwał się w powietrzu, ocalali ludzie podnosili się na nogi, pokaszając od siarczanego pyłu, a z lasu wychodzili ukryci żołnierze, gromadząc się przy swym dowódcy. Wyspa Sztormów zaliczyła kolejny wrak i kilka nowych ofiar.

- Dobry Boże - powiedział Briney Hanson, spoglądając na miejsce, gdzie stało wcześniej czterech komandosów. Była tam tylko czerwona miazga, a za nią resztki płonącego helikoptera.

- Na was już czas - powiedział Boegart, pomagając Finn podnieść się na nogi.

Patrzyła na rozzerwane ciało Khana, który nawet po śmierci nie wypuścił z rąk karabinu.

- A co z nim? - spytała. - Uratował mi życie.

- Nim się zajmijemy - powiedział łagodnie rudobrody. - Chodź ze mną.

Oflankowani dwoma rzędami starożytnych milczących żołnierzy, wchodzili ścieżką pod górę, a potem przez wąskie przejście wkroczyli do grotty. Pieter poprowadził ich prosto przed siebie tunelem wentylacyjnym do morza.

Zgodnie z obietnicą, była tam przycumowana łódź, dość staroświecka, zbudowana na zakładkę z płytek drewnianych i metalowych, z ośmioma wiosłami, dwoma żaglami i masztem, który się bardzo łatwo wkładało. Jeszcze chwilę zajęło im czekanie, aż przypływ napelni grotę wodą na tyle, by mogli wypłynąć na otwarte morze, z którego miejsce to wyglądało jak jeszcze jeden kamienny głaz na końcu rafy. W wysokich słojach mieli wodę na dziesięć dni, a jedzenia na dwa razy tyle.

- Który z nas bierze się za ster? - spytał Billy Brineya Hansona.

- Będziemy się zmieniać. - Starszy mężczyzna uśmiechnął się. - A kiedy się zmęczymy, nauczymy młodego Elię niebiańskiej nawigacji.

- Pamiętacie moje wskazówki? - spytał Pieter. Billy przytaknął.

- Mała Niedźwiedzica za nami, a Syriusz i Wielki Pies z przodu.

- Druga gwiazda na prawo i prosto aż do rana - powiedziała Finn. Nachyliła się i pocałowała rudobrodego w policzek.

Kiedy fala zaczęła się podnosić, a wiatr śpiewać, Finn poczuła, że sól w powietrzu wyciska jej z oczu łzy. Muzyka starego Willema.

- Nie było dość czasu - powiedziała do niego, kiedy wszyscy po kolei wsiadali do łodzi.

- Nigdy go nie ma, dziecko. Obawiam się, że taki już jest świat.

- To nie fair - powiedziała, pozwalając łzom płynąć.

- Życie nie jest fair. Ale jest drocenne, więc trzymaj się go tak długo jak się da, aż do końca przygody. - Pocałował ją delikatnie i uśmiechnął się. - Powiedz mojemu bratankowi, że miał rację co do ptaka. - Poglaskał ją po policzku. - Żegnaj.

- Żegnaj - powiedziała, ale jego już nie było.

Epilog

W Amsterdamie padał deszcz, stukał niczym kościstym natarczywym palcem w okna, dachy, drzwi. Przy takiej ulewie niektórzy ludzie spędzali samotnie czas w barze, dręczeni złymi myślami.

Finn i Billy stali w gabinecie osobliwości Willema van Boegarta, pokoju, który na jego prośbę został zmieniony przez wielkiego mistrza holenderskiego Rembrandta, kiedy ten malował portret kupca. Portret, który spowodował, że znaleźli się po drugiej stronie świata.

Zgodnie z jego słowami, po czterech dniach żeglugi z Syriuszem nad dziobem dotarli do północnego wybrzeża Sandakanu. Hanson, Eli i Run-Run McSeveney trafili na wybrzeża Dżakarty w poszukiwaniu kolejnego statku, ale z małą nadzieją, że go znajdą, a Finn i Billy powrócili do Amsterdamu, aby zakończyć sprawy Pietera Boegarta i sprzedać dom przy Herengracht, by zrekompensować straty Billy'ego spowodowane zniszczeniem łodzi. Czekali na Derlagena, który miał przybyć z dokumentami do podpisu. Ani Finn, ani Billy nie powiedzieli ani słowa o wyspie i ukrytych tam skarbach.

Billy spacerował po małym pokoju, biorąc od czasu do czasu jakiś przedmiot, by po chwili odłożyć go z powrotem. Przez chwilę ważył w dłoni gigantyczne jajo, które miało jakoby należeć do ptaka jakiegoś wymarłego gatunku, po czym odłożył je także. Finn stała w sekretnych drzwiach, przyglądając się swemu przyjacielowi i myśląc o wszystkim, co im się przydarzyło.

- Miałem takie marzenie - odezwał się Billy z tęsknotą w głosie. - Od momentu, w którym twój przyjaciel w Courtauld... - Szukał w pamięci nazwiska.

- Profesor Schneegarten - odpowiedziała Finn.

- O właśnie! O niego mi chodziło - powiedział Billy. - Schneegarten! - Podniósł słoń ze zmumifikowaną głową w środku i przyjrzał się jego zawartości. Potem odstawił słoń na stół i podjął swoją wędrówkę.

- Marzenie - przypomniała mu Finn.

- Właśnie - powiedział Billy kiwając głową. - Od chwili, kiedy twój profesor zdjął płótno i odsłonił pod spodem prawdziwego Rembrandta, marzyło mi się, że odnajdziemy fortunę starego Willema van Boegarta, kupimy jakiś cudowny odratowany statek i będziemy żeglować po siedmiu morzach i oceanach w poszukiwaniu zakopanych skarbów i przygód. Nazwalibyśmy się Poszukiwaczami Skarbów i zrealizowalibyśmy na podstawie naszych przygód dokument telewizyjny. Mielibyśmy sponsorów tak jak wasi amerykańscy kierowcy wyścigowi. Reklamowalibyśmy francuskie wina za dożywotnie dostawy. Podobnie z żelazem do włosów i pastą do zębów. Kupilibyśmy papugę, którą nazwałbym Kapitan Flint. Johnny Depp wybrałby się z nami na ryby.

- Trochę więcej skarbów, trochę mniej przygód - roześmiała się Finn. - Ja biorę żel do włosów. I zapomnij o papudze. Strasznie brudzą.

- To był taki piękny sen - westchnął Billy.

Finn wędrowała wzrokiem po pokoju. Nagle zmarszczyła czoło.

- Dwa razy o tym wspomniał - odezwała się wreszcie. - Co?

- Gdy byliśmy na wyspie. Powiedziałeś, że to jak znaleźć sokoła maltańskiego, tyle że prawdziwego. A potem, tuż przed naszym odpłynięciem, powiedział: „Powtórz mojemu kuzynowi, że jeśli chodzi o ptaka, to miał rację.”

- Nie łapię.

- W *Sokole maltańskim* wszyscy szukają ptaka, który ma być ukrytym skarbem, złoto, diamenty czy coś w tym guście ukryte pod farbą. Są gotowi zabić, żeby tylko go dostać, a na końcu okazuje się, że ptak jest fałszywy. Grubas skrobie po nim nożem, ale to jest tylko ołów.

- Sidney Greenstreet. On gra tego grubasa, Kaspara Gutmana.

- Powiedziałeś, że skarby w grocie są niczym sokół maltański, tylko prawdziwe.

- Nadal nie rozumiem. - Billy spoglądał na nią zdziwiony. - Krążysz wokół tematu.

- Nie chodzi o kręgi - w głosie Finn pojawiła się ekscytacja - ale o warstwy. Tak jak ukrycie Rembrandta pod tanią podróbką...

Billy wpatrywał się w dziewczynę. Po chwili rozejrzał się po pokoju i ozdobnej tapecie pokrywającej ściany i sufit. Przedstawiała rośliny, ptaki, wszystkie rodzaje zwierząt, małe i duże.

- Dżungla - wyszeptał.

- Skarb jest w dżungli - uśmiechnęła się Finn. - Tak nam powiedział. Że wciąż mamy dom przy Herengracht, a gabinet osobliwości to więcej niż potrzeba dla każdego.

Finn zobaczyła długi sztylet, który najprawdopodobniej służył młodemu Willemu van Boegartowi podczas pierwszej wyprawy. Przyłożyła ostrze do ściany i podważyła tynk. Posypał się pył, podważyła większy kawałek, wchodząc głębiej nożem w ścianę. Nagle pod białą powierzchnią tynku błysnął głęboki rubinowy blask. Teraz pracowała już dużo ostrożniej i po chwili wyciągnęła krwisty kamień wielkości jajka drozda. Sam jeden wart był fortunę, a było ich tam setki, nie, tysiące. Znowu zagłębiła nóż pomiędzy ornamentami, wycięła kwadrat trzydzieści sześć na trzydzieści sześć centymetrów. Pod grubą warstwą tynku lśniło złoto.

- Oto co ukrył Rembrandt - powiedziała Finn, wpatrując się w ścianę. - Sam pokój, bo to on jest skarbem! - Nacisnęła mocniej nóż. Gdzieś na dole rozległ się odgłos dzwonka.

- To musi być Derlagen - powiedziała Finn.

- Powiedz mu, żeby sobie poszedł - odezwał się Billy. - Właśnie bierzemy się za remont. - Zatrzymał się w drzwiach z uśmiechem. - Ciekaw jestem, która jest teraz godzina w Dżakarcie?